Jerome Jerome Klapka
Trzech panów w łódce
nie licząc psa

Jerome K. Jerome

Trzech panów w łódce nie licząc psa

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Trzej inwalidzi. Cierpienia Jerzego i Harrisa. Ofiara stu z górą śmiertel- nych chorób. Cenne recepty. Leczenie niedomagań wątroby w dziecięcym wieku. Dochodzimy do wniosku, że jesteśmy przepracowani i należy nam się odpoczynek. Tydzień na głębokich wodach? Jerzy proponuje Tamizę. Montmorency zakłada protest. Pierwszy wniosek przyjęto większością trzech głosów przeciw jednemu.

Było nas czterech — Jerzy, William Samuel Harris, ja i Montmorency. Siedzieliśmy w moim pokoju, paliło się i rozmawiało o tym, jak źle jest z nami — źle, rzecz jasna, z punktu widzenia medycyny. Wszyscy czuliśmy się kiepsko i to coraz bardziej nas niepokoiło. Harris miewa takie szalone zawroty głowy, że odchodzi od zmysłów. Jerzy powiada na to, że jemu też czasem kręci się w głowie i nie wie wtedy, co się z nim dzieje. A mnie popsuła się wątroba. Nie może być co do tego żadnej wątpliwości, bo właśnie przeczytałem prospekt patentowanych pigułek na wątrobę, w którym dokładnie opisano rozmaite objawy, pozwalające określić, czy komuś dolega wątroba. Mam wszystkie te objawy.

Bardzo to dziwne, ale jeszcze mi się nie zdarzyło, bym przeczytał ogłoszenie o jakimś najnowszym specyfiku i nie doszedł do nieodpartego wniosku, że cierpię właśnie na opisaną tam chorobę, i to w jej najbardziej złośliwej postaci. Za każdym razem diagnoza ściśle odpowiada temu wszystkiemu, co sam odczuwam.

Pamiętam, jak raz poszedłem do Muzeum Brytyjskiego, bo chciałem zapoznać się ze sposobami leczenia pewnej, drobnej zresztą, dolegliwości, jaka mnie wówczas

nawiedziła. Był to, jeśli dobrze pamiętam, katar sienny. Wziąłem książkę i przeczytałem wszystko na ten temat. Potem nieco się zagapiłem. Bezmyślnie przewracałem kartki i ni stąd, ni zowąd zacząłem studiować choroby. Choroby w ogóle. Nie pamiętam już, w której z nich pogrążyłem się najpierw. W każdym razie był to jakiś straszliwy, siejący spustoszenie dopust boski — i zanim przebiegłem wzrokiem połowę wykazu „objawów ostrzegawczych", zdałem sobie jasno sprawę, że się ta zmora do mnie przyplątała.

Przez chwilę siedziałem bez ruchu, zmrożony przeraźliwym strachem. Potem z rozpaczliwą rezygnacją zacząłem znów przewracać kartki. Zatrzymałem się na gorączce tyfoidalnej... przeczytałem objawy... Odkryłem, że jestem chory na tyfus — musiałem go mieć dobrych kilka miesięcy nic o tym nie wiedząc. Ciekaw byłem, co jeszcze mnie gnębi. Dojechałem do tańca świętego Wita i wyszło na jaw, że — jak się tego spodziewałem — święty Wit też mnie nie ominął. Mój wypadek coraz bardziej mnie interesował, postanowiłem więc zbadać go aż do samego dna. Przystąpiłem do rzeczy w porządku alfabetycznym. Przeczytałem najpierw o artretyzmie. Dowiedziałem się, ze cierpię na artretyzm i że za jakieś dwa tygodnie zacznie się ostry stan zapalny. Brighta choroba, jak się o tym z ulgą dowiedziałem, nawiedziła mnie w postaci takiej jakiejś odmienionej, że mogłem z nią żyć sto lat. Cholerę za to miałem z ciężkimi komplikacjami, a z dyfterytem już się chyba urodziłem. W pocie czoła przewertowałem litera po literze cały alfabet i w końcu okazało się, że tylko jednej choroby na pewno nie mam: puchliny kolan, na którą cierpią panny służące, jeśli za dużo klęczą.

Zrazu czułem się tym niemile dotknięty — puchlina kolan wyraźnie mnie zbagatelizowała. Dlaczego nie mam puchliny kolan? Czemu ona tak ostentacyjnie trzyma się ode mnie z daleka? Po chwili jednak zwyciężyły uczucia mniej zachłanne. Pomyślałem sobie, że mam wszystkie inne choroby znane farmakologii, i ochłonąłem z egoistycznych

zapędów — postanowiłem obejść się bez tej puchliny kolan. Najbardziej złośliwa podagra czepiła się mnie, jak się teraz okazało, choć nic o tym nie wiedziałem, a na żółtaczkę cierpiałem niezawodnie od dziecka. Po żółtaczce nie było już w tej encyklopedii żadnej choroby, nic zatem więcej dolegać mi nie mogło.

Siedziałem pogrążony w zadumie. Jakże ciekawym okazem — myślałem sobie — muszę być z lekarskiego punktu widzenia, co za kapitalny nabytek dla profesorów medycyny. Studenci nie potrzebowaliby „obchodzić” szpitali, gdyby mieli mnie, bo sam byłem szpitalem. Mieliby tylko dwie rzeczy do zrobienia: pochodzić koło mnie i odebrać dyplom.

Następnie zastanowiłem się, ile mi jeszcze zostało życia. Spróbowałem sam się zbadać. Szukałem pulsu. Najpierw w ogóle nie mogłem się go domacać. Nagle, ni stąd, ni zowąd, zaczął bić. Wyjąłem zegarek i liczyłem uderzenia. Dorachowałem się stu czterdziestu siedmiu na minutę. Spróbowałem odszukać serce. Nie mogłem znaleźć własnego serca! Przestało bić. Później doszedłem do wniosku, że przez cały czas było na swoim miejscu i biło, ale to już nie moja wina. Opukałem się dokładnie z przodu, od — że tak powiem — pasa do głowy, obstukałem z grubsza obydwa boki i zapuściłem się aż na plecy. Nic jednak nie wyczułem ani nie usłyszałem. Spróbowałem obejrzeć język. Wystawiłem go, ile tylko się dało, zamknąłem jedno oko, a drugim usiłowałem mu się przyjrzeć. Zdołałem zobaczyć tylko koniuszek języka, co przyniosło mi jednak pewien pożytek; upewniłem się ostatecznie, że to szkarlatyna.

Kiedy wchodziłem do czytelni, byłem zdrów i szczęśliwy. Wyszedłem stamtąd ledwie trzymając się na nogach — nędzny strzęp ludzki.

Udałem się do mojego lekarza. To mój serdeczny przyjaciel. Bada mi puls, ogląda język i wypowiada się na temat pogody, ilekroć zechce mi się chorować, i za wszystko

to nie bierze ani grosza. Pomyślałem więc, że trzeba mu się zrewanżować i właśnie teraz iść do niego.

Czego trzeba doktorowi? — mówiłem sobie. — Trzeba mu praktyki. A więc będzie mnie miał. Wyciągnie z mej osoby więcej praktyki niż z tysiąca zwykłych banalnych pacjentów, z których każdy ma jedną chorobę, a najwyżej dwie.

Poszedłem więc prosto do mego przyjaciela. Zastałem go w domu.

Doktor pyta mnie:

— Co powiesz? Co ci dolega? A ja na to:

— Nie będę zabierał ci czasu, mój stary, opowiadaniem o tym, co mi dolega. Życie jest krótkie i mógłbyś rozstać się z nim, zanim zdążyłbym skończyć. Powiem ci za to, co mi nie dolega. Nie mam puchliny kolan. Dlaczego jej nie dostałem, tego nie wiem, ale fakt pozostaje faktem. Natomiast mam całą resztę.

Tu opowiedziałem mu, jak doszedłem to tego odkrycia.

Kazał wywiesić język, zajrzał mi do środka, złapał za przegub, palnął w pierś, kiedy najmniej się tego spodziewałem — to świństwo, inaczej tego nie mogę nazwać — i natychmiast poprawił bokiem głowy. Potem usiadł, napisał receptę, złożył i dał mi do ręki. Schowałem ją do kieszeni i wyszedłem.

Nie zaglądając do recepty poszedłem do najbliższej apteki. Aptekarz przeczytał i oddał mi receptę mówiąc, że tych rzeczy nie sprzedaje.

Pytam się go:

— Czy pan jest aptekarzem? Odpowiada:

— Owszem, tak. Gdybym był równocześnie sklepem spółdzielczym i pensjonatem, byłbym do pańskiej dyspozycji. A że jestem tylko aptekarzem, nie dam rady.

Przeczytałem receptę. Brzmiała tak:

1 funt befsztyka z 1 but. porteru co 6 godzin

1 10-milowy spacer co dzień rano 1 łóżko co dzień wieczór punkt 11-ta. I nie nabijaj sobie głowy rzeczami, których nie rozumiesz.

Usłuchałem zaleceń przyjaciela i skutki okazały się — przynajmniej dla mnie — zbawienne, bo zostałem przy życiu i nadal pozostaję.

Wracając jednak do tego prospektu pigułek na wątrobę, muszę przyznać, że pojawiły się u mnie objawy, i to całkiem niedwuznaczne. Najwyraźniej zaś wystąpił „zupełny brak chęci do jakiejkolwiek pracy”.

Jak mnie to dręczy, tego nie da się opisać. Od najwcześniejszego dzieciństwa cierpię z tego powodu katusze. Już jako chłopczyk nie miałem bodaj jednego dnia wolnego od tej choroby. A oni nie wiedzieli, że to wątroba. Wiedzy lekarskiej daleko wówczas było jeszcze do jej dzisiejszego poziomu i ludziska moją niechęć do pracy skłonni byli przypisywać lenistwu.

— Ej, ty obrzydliwy leniuchu! — krzyczeli. — Wstałbyś i zapracował na siebie, próżniaku! — tak wołali, nie wiedząc oczywiście, że jestem chory.

W ten sposób, zamiast dostawać pigułki, zbierałem kuksańce. Może się to komuś wydać dziwne, a jednak to bicie po głowie często przynosiło mi ulgę, przynajmniej doraźną. Przekonałem się, że wtedy wystarczyło dostać raz w ucho, abym zaraz nabrał ochoty pójść, gdzie trzeba, i zrobić to, czego ode mnie żądano, a dziś na taką kurację pudełko pigułek to jeszcze za mało.

Często, bowiem, proszę państwa, owe proste, staroświeckie leki są skuteczniejsze niż cała dzisiejsza apteka.

Siedzieliśmy tak z pół godziny opisując sobie nawzajem nasze choroby. Wyłożyłem Jerzemu i Williamowi Harrisowi, jak się czuję, gdy wstanę rano. William Harris opowiedział nam, w jakim stanie kładzie się spać. Jerzy zaś stanął na dywaniku przed kominkiem i nader trafnie, z wielką siłą wyrazu zagrał nam scenę, wyobrażającą, jak się czuje w nocy.

Jerzy ubrdał sobie, że jest chory, choć naprawdę ma końskie zdrowie, proszę mi wierzyć.

Właśnie zapukała do drzwi pani Poppets zapytując, czy zjedliśmy kolację. Uśmiechnęliśmy się smutno do siebie i odparliśmy, że trudno — trzeba będzie coś niecoś przegryźć. Harris powiedział nawet, że nierzadko odrobina pożywienia w żołądku jest tamą powstrzymującą rozwój choroby. Pani Poppets wniosła tacę, przesiedliśmy się do stołu i poigraliśmy ze zrazikami w sosie cebulkowym, a potem z szarlotką.

Musiałem być wtedy bardzo słaby, bo ledwie minęło pół godziny, a już zupełnie przestałem się interesować jedzeniem — co mi się nigdy przedtem nie zdarzało — i nie miałem ochoty na ser.

Po spełnieniu obowiązku pokrzepienia ciała napełniliśmy jeszcze raz szklanki, zapaliliśmy fajki i podjęliśmy dyskusję na temat stanu naszego zdrowia. Co nam właściwie dolega, tego żaden z nas dobrze nie wiedział, ale pod jednym względem byliśmy jednomyślni: wszystkiemu winne jest przepracowanie.

— Potrzebny jest nam odpoczynek — powiedział Harris.

— Odpoczynek i radykalna odmiana — podchwycił Jerzy. — Nadwerężenie mózgów wywołało ogólną depresję całego systemu nerwowego. Jeśli zmienimy otoczenie i nie będziemy musieli myśleć, szybko odzyskamy równowagę.

Jerzy ma kuzyna, który w rejestrach policyjnych figuruje jako student medycyny, nic więc dziwnego, że podejście lekarskie jest u niego niejako cechą rodzinną.

Zgodziłem się z Jerzym i zaproponowałem, abyśmy zaszyli się w jakiejś staroświeckiej mieścinie, z dala od zgiełku gawiedzi, i tam prześnili słoneczny tydzień wśród sennych uliczek — w jakimś zapomnianym przez ludzi zakątku, ukrytym przez czarodziejki, dokąd nie dociera gwar świata, w jakimś dzikim orlim gnieździe na urwisku Czasu, gdzie ledwie byłoby słychać daleki i słaby odgłos wzburzonych bałwanów dziewiętnastego wieku.

Harris powiedział, że to bujda z chrzanem. Zna — twierdził — takie urocze zakątki. Wszyscy kładą się tam spać

o godzinie ósmej, „Kuriera” nie dostaniesz za żadne skarby świata, a po tytoń musisz gonić dziesięć mil.

— Nie — zakończył — jeśli chcecie odpoczynku i odmiany, nie masz nic lepszego nad morską wycieczkę.

Tu ja stanowczo zaprotestowałem. Wycieczka morska dobrze nam służy, jeśli trwa dwa miesiące, ale tydzień na morzu — to okropność.

Odpływasz w poniedziałek żywiąc błogą nadzieję, że czeka cię wielka przyjemność. Powiewasz chusteczką na pożegnanie przyjaciołom, zapalasz swą największą faję i paradujesz po pokładzie z taką miną, jakbyś był kapitanem Cookiem, sir Franciszkiem Drakem i Krzysztofem Kolumbem w jednej osobie. We wtorek wolałbyś, żeby cię tu nie było. W środę, czwartek i piątek żałujesz, żeś wcześniej nie skonał. W sobotę jesteś zdolny przełknąć nieco bulionu, posiedzieć trochę na pokładzie i z bladym uśmiechem odpowiadać poczciwym ludziom, którzy się pytają, jak się teraz czujesz. W niedzielę zaczynasz znów chodzić i normalnie jeść. A w poniedziałek rano, kiedy z walizką i parasolem w ręku stoisz przy poręczy burty gotów do zejścia na brzeg — właśnie wtedy morze zaczyna ci się na dobre podobać.

Pamiętam, jak mój szwagier wybrał się raz na małą wycieczkę morską dla poratowania zdrowia. Kupił bilet z Londynu do Liverpoolu i z powrotem. Kiedy znalazł się w Liverpoolu, jedynym jego pragnieniem było sprzedać bilet powrotny.

Opowiadał mi, że latał po mieście i oferował go ludziom z szaloną wprost obniżką ceny i sprzedał wreszcie za osiemnaście pensów jakiemuś młodzianowi o wyglądzie wątrobiarza, któremu właśnie lekarze zalecili morskie powietrze i gimnastykę.

— Morskie powietrze! — zawołał szwagier, wtykając, jak umiał najserdeczniej, bilet w rękę młodziana. — Ha! Będziesz pan miał tyle morskiego powietrza, że ci go wystarczy na całe życie. A gimnastyka? Ba! Będziesz miał

więcej gimnastyki, siedząc na tym statku, niż gdybyś fikał koziołki na suchym lądzie.

Sam — to znaczy mój szwagier — wrócił pociągiem. Oświadczył, że Kolej Północno-Zachodnia wcale dobrze służy jego zdrowiu.

A znowu jeden mój znajomy wybrał się na tygodniową wycieczkę przybrzeżną. Przed odjazdem przyszedł do niego steward i zapytał, czy będzie płacił za każdy posiłek oddzielnie, czy też chce zapłacić z góry za wszystko.

Steward radził wziąć abonament, bo wypadnie to znacznie taniej. Cały tydzień będzie w ten sposób kosztował dwa funty pięć szylingów. Na pierwsze śniadanie podaje się rybę i pieczyste. Drugie śniadanie jest o pierwszej i składa się z czterech dań. Obiad o szóstej — zupa, ryba, zakąski, mięsiwo, drób, sałata, legumina, ser i deser. A o dziesiątej lekka kolacja mięsna.

Mój przyjaciel pomyślał sobie, że warto na to wydać dwa funty pięć szylingów (lubi dobrze podjeść), i tak też zrobił.

Drugie śniadanie podano, gdy tylko statek odpłynął z Sheerness.

Apetyt nie dopisał mu tak, jak by wypadało, zadowolił się więc kawałkiem gotowanej wołowiny i porcją poziomek z kremem. Wiele rozmyślał przez całe popołudnie i bądź to dochodził do wniosku, że chyba od wielu tygodni nie jadł nic innego, tylko gotowaną wołowinę, bądź też miał wrażenie, że całymi latami był na diecie poziomkowo-kremowej.

Wołowina zaś, podobnie zresztą jak poziomki i krem, też nie była szczęśliwa, wprost przeciwnie, jakoś nic jej nie dogadzało.

O szóstej służba oznajmiła mu; że obiad czeka. Ten komunikat nie wzbudził w nim ani krzty entuzjazmu, świadom jednak, iż należy odpracować część owych dwóch i ćwierci funta, mój przyjaciel, przytrzymując się lin i czego się dało, zszedł na dół. Miły zapach cebulki i gorącej szynki, zmieszany z aromatem smażonej ryby i jarzynek, powitał go

u stóp schodków. Steward podszedł do niego i z przymilnym uśmiechem zapytał:

— Czym mogę służyć, sir?

— Proszę wyprowadzić mnie stąd — słabiutkim głosem odparł mój przyjaciel.

Jacyś ludzie doskoczyli do niego, chwycili pod ręce, wciągnęli na pokład i tam go zostawili po stronie nawietrznej.

Przez następne cztery dni wiódł skromny i nienaganny żywot, karmiąc się „kapitańskimi” sucharami i popijając je wodą sodową. Ale koło soboty tak zhardział, że pozwolił sobie na cienką herbatkę i suchy kawałek grzanki, a w poniedziałek zajadał się już bulionikiem z kurczaka. Wysiadł na ląd we wtorek i tęsknym spojrzeniem odprowadzał statek, który buchając parą oddalał się od przystani.

— Odpływa — mówił do siebie — odpływa, unosząc ładunek żywności za dwa funty. Ładunek ten należy do mnie —jakaż szkoda, że go nie zjadłem.

Mówił potem, że gdyby mu dali jeszcze jeden dzień, niezawodnie by rachunek wyrównał.

Tak tedy stawiłem czoło propozycji morskiej wycieczki. Nie chodzi mi tutaj — tłumaczyłem — o własną osobę. Nigdy przecież nie byłem skłonny do mdłości. Ale boję się o Jerzego. Na to Jerzy powiada, że o niego nie ma strachu, ponieważ bardzo nawet lubi morze, natomiast radziłby mnie i Harrisowi, byśmy porzucili tę myśl, bo wie na pewno, że obaj się pochorujemy. Następnie wypowiedział się Harris. Zawsze było dla niego zagadką, jak ludzie to robią, że dostają morskiej choroby. Chyba — mówił — sami tego chcą, przez kokieterię. Jemu osobiście, choć tyle razy gorąco tego pragnął, jakoś nigdy nie udało się zachorować.

Potem opowiedział nam o tym, jak swego czasu przeprawiał się przez Kanał tak wzburzony, że trzeba było pasażerów poprzywiązywać do koi. Harris wraz z kapitanem byli wtedy jedynymi żywymi duszami na statku, które nie chorowały. Były takie momenty, że trzymał się na nogach

tylko on i drugi oficer. Na ogół trzymał się on i jeszcze ktoś. A jeśli zdarzało się, że został na placu tylko jeden — był nim on, sam jak palec.

Ciekawa rzecz, nikt nigdy nie miał morskiej choroby — na lądzie. Tylko na morzu spotyka się mnóstwo ludzi chorych jak nieszczęście, cały żywy ładunek cierpiących. Ale na lądzie jeszcze nie spotkałem takiego, co by miał choć zielone pojęcie o tym, co znaczy przejść morską chorobę. Gdzie tysiące szczurów lądowych, tłoczących się na każdym statku, gdzie, powtarzam, niezliczone ich tysiące kryją się w czasie swego pobytu na lądzie — pozostaje tajemnicą.

Gdyby ze wszystkimi było tak jak z jednym facetem, którego pewnego razu ujrzałem na statku zmierzającym do Yarmouth, mógłbym w dość prosty sposób wyjaśnić ową, zdawałoby się, zagadkę. Właśnie odbijaliśmy od molo w Southend, kiedy jegomość ten wychylił się w sposób bardzo ryzykowny przez otwór w burcie. Podszedłem i chciałem przyjść mu z pomocą.

— Ej! Cofnij się pan — powiedziałem potrząsając go za ramię. — Wypadnie pan za burtę.

— O rany boskie! A niech wypadnę! — tyle zdołałem z pasażera wydobyć. Machnąłem na niego ręką.

W trzy tygodnie później spotkałem go w kawiarni hotelu w Bath. Opowiadał o swych podróżach i z uniesieniem zapewniał o swej miłości do morza.

— Ba! Dobry marynarz! — zawołał odpowiadając na pełne zazdrości pytanie jakiegoś nieśmiałego młodzieńca. — Owszem, muszę się przyznać, że raz zrobiło mi się trochę niewyraźnie. Było to, gdy mijaliśmy przylądek Horn. Łajba rozbiła się następnego ranka.

Zapytałem:

— Czy nie czuł się pan kiedyś trochę niewyraźnie przy molo w Southend i nie pragnął, żeby ktoś pana wyrzucił za burtę?

— Molo w Southend? — odparł ze zdziwioną miną.

— Tak, w drodze do Yarmouth, w piątek, trzy tygodnie temu.

— A, a... tak — powiedział, nagle rozpromieniony. — Przypominam sobie. Istotnie głowa bolała mnie tego popołudnia. Zaszkodziły mi, wie pan, pikle. Były to najbardziej ohydne pikle, jakie w swym życiu miałem w ustach na przyzwoitym statku. Pan też może je jadł?

Nie jadłem. Znałem bowiem znakomity środek chroniący przed morską chorobą: balansowanie. Stajesz na środku pokładu, a kiedy statek wspina się i leci w dół, tak zmieniasz pozycję swego ciała, aby stale trzymać je w pionie. Gdy dziób statku idzie w górę, pochylasz się naprzód, aż pokład niemal dotknie twego nosa. A gdy podnosi się rufa, pochylasz się w tył. Tylko że to jest dobre na godzinę lub dwie — nie można ćwiczyć równowagi przez tydzień.

Odezwał się Jerzy:

— Wybierzmy się w górę Tamizy.

Będziemy mieli (mówił) świeże powietrze, gimnastykę i spokój. Stała zmiana krajobrazu zajmie nasze umysły (nie wyłączając tego, co mieści się w głowie Harrisa). Ciężka praca pobudzi apetyty i sprawi, że będziemy dobrze spali.

Harris zauważył, że jego zdaniem Jerzy nie powinien robić nic takiego, co mogłoby wzmóc jeszcze jego melodię do spania, bo to byłoby już niebezpieczne. Powiedział przy tym, że niezbyt mieści mu się w głowie, aby Jerzy potrafił spać dłużej niż zwykle, skoro doba ma tylko dwadzieścia cztery godziny, tak samo w lecie, jak w zimie. Jego zdaniem, gdyby Jerzy rzeczywiście miał spać jeszcze dłużej niż zwykle, to lepiej byłoby już na dobre oddać ducha i w ten sposób oszczędzić sobie kosztów utrzymania.

W każdym razie pomysł Jerzego bardzo przypadł do gustu Harrisowi i mnie, wobec czego daliśmy temu wyraz. Powiedzieliśmy, co o tym myślimy, tonem, w którym brzmiała nuta zdziwienia, że Jerzy może zaproponować coś do rzeczy.

Jeden tylko Montmorency nie był zachwycony pomysłem Jerzego. Wiadomo jednak, że nigdy nie rwał się do rzeki.

— Warn to bardzo dogadza, panowie — powiedział. — Wy to lubicie, a ja nie. Nie mam tam czego szukać. Nie przepadam za pięknym krajobrazem i nie palę. Jeśli zobaczę szczura, nie zatrzymacie dla mnie łódki. Zasnę, a wam zechce się głupich figli z łódką i wylejecie mnie z wodą za burtę. Gdy więc zapytacie mnie o zdanie, powiem, że pomysł jest całkiem do niczego.

Ale nas było trzech przeciw jednemu i wniosek przeszedł.

ROZDZIAŁ DRUGI

Omawiamy projekty. Rozkosze noclegu pod gołym niebem w czasie pogody. Jak wyżej, w czasie deszczu. Kompromisowa decyzja. Montmorency i pierwsze wrażenie, jakie na mnie zrobił. Obawy, że jest za dobry na ten świat, obawy, które okazały się bez podstawne. Odroczenie narady.

Rozłożyliśmy mapy i omawialiśmy plan wyprawy.

Postanowiliśmy wyruszyć w najbliższą sobotę z Kingston. Harris i ja mieliśmy pojechać tam rano i popłynąć łódką w górę rzeki, do Chertsey, gdzie dołączy się do nas Jerzy, który dopiero po południu może opuścić City (Jerzy chodzi spać do banku, co zabiera mu czas od godziny dziesiątej do czwartej z wyjątkiem sobót, kiedy budzą go i wypraszają na ulicę o drugiej).

Czy mamy obozować pod gołym niebem, czy też będziemy spali w gospodach?

Jerzy i ja byliśmy za obozowaniem. Będzie to życie pierwotne, niczym nie skrępowane, takie jakieś patriarchalne!

Powoli złote wspomnienie po zgasłym słońcu więdnie w sercach chłodnych i smętnych obłoków. Nieme, jak dzieci w żałobie, ptaki poniechały swych pieni i tylko żałosny głos kurki wodnej i ochrypły krzyk derkacza mącą przeraźliwą ciszę wokół łoża wód, na którym gasnący dzień oddaje swe ostatnie tchnienie.

Z mroku lasów, porastających brzegi rzeki, wypełzają szare cienie — widmowa armia Nocy. Bezgłośnie posuwają się naprzód, pędząc przed sobą spóźnione oddziały straży tylnej światła. Niedosłyszalnym krokiem, niewidoczną stopą przechodzą ponad rozkołysanym sitowiem i przez zarośla, w

których słychać westchnienia wiatru. Na tron okryty kirem wstępuje Noc, rozpina czarne skrzydła nad światem i z wyżyn swego fantasmagorycznego pałacu, spowitego bladą poświatą gwiazd, króluje w niemym milczeniu.

Nasza łódka wpływa do jakiegoś cichego ustronia. Rozbijamy namiot, gotuje się i spożywa skromną wieczerzę. Potem nabijamy i zapalamy długie fajki. Toczy się półgłosem miła i melodyjna pogwarka. Kiedy milkniemy, rzeka, igrając wokół łodzi, snuje baśnie i klechdy, szepcze jakieś tajemnice, nuci starą kołysankę, którą śpiewa od niepamiętnych czasów i będzie śpiewała jeszcze przez tysiące lat — aż kiedyś głos jej zachrypnie od starości. Pokochaliśmy zmienne oblicze tej piosenki; do jej łaskawego łona tak często się tuliliśmy i dlatego zdaje się nam, że ją rozumiemy, choć nie moglibyśmy w zwykłych słowach powtórzyć tego, co nam opowiadała.

Siedzimy więc tam, na samym brzegu, a księżyc, który także kocha rzekę, zstępuje, aby ucałować ją jak siostrę i czule objąć srebrnymi ramionami. Patrzymy, jak Tamiza płynie, śpiewa i wzdycha, i bieży na spotkanie z oceanem, swym królem. Aż w końcu nasze głosy milkną, a fajki gasną. Wtedy, choć jesteśmy zwyczajni i dość sobie pospolici młodzieńcy, dziwne jakoś roją się nam w głowach myśli, na pół smutne, na pół słodkie, i wcale nie mamy ochoty mówić... Wybuchamy śmiechem, wstajemy, wytrząsamy popiół z wygasłych fajek i mówimy sobie: „Dobranoc”. Ukołysani pluskiem wody i szumem drzew zasypiamy pod wielkimi, cichymi gwiazdami. Śni się nam, że świat znów jest młody — młody i rozkoszny, jakim był, nim wieki niepokoju i troski bruzdami poryły mu oblicze, zanim kochające serce świata, naszej rodzicielki, postarzało się pod brzemieniem grzechów i szaleństw jego dzieci. A było to serce tak tkliwe w owe dalekie dni, kiedy ziemia niczym młoda matka tuliła nas do swego potężnego łona. Potem daliśmy się zwieść ułudom cywilizacji, wymknęliśmy się z czułych objęć. Jadowite szyderstwa sztucznego świata stworzonego przez

człowieka kazały nam wstydzić się żywota, jaki wiedliśmy na łonie natury, wyparliśmy się prostej, lecz jakże wspaniałej kolebki, w której ludzkość urodziła się tysiące lat temu.

Nagle Harris zapytał:

— A co zrobimy, gdy będzie lało?

Harris do niczego się nie zapali. Nie ma w nim odrobiny poezji — nigdy nie odczuwa dzikiej tęsknoty do rzeczy nieosiągalnych. Ten człowiek nigdy nie „łka, sam nie wie dlaczego”. Jeśli oczy mu łzawią — zapewne jadł surową cebulę lub tęgo przyprawił kotlet worcesterem.

Gdybyś stojąc z nim w nocy nad morzem rzekł: — Cyt! Słyszysz? Czy to syreny śpiewają w głębi wód? A może dusze potępione zawodzą żałobne pienia nad bladymi topielcami, zaplątanymi wśród wodorostów? — Harris weźmie cię za ramię i powie:

— Wiem, co to jest, mój stary. Dostałeś dreszczy. Chodź, bracie, ze mną. Znam tu, niedaleko stąd, za rogiem, jeden lokal, gdzie sobie kropniesz takiej szkockiej whisky, jakiej nie piłeś, jak żyjesz. To cię momentalnie postawi na nogi.

Harris zawsze zna jakiś lokal tuż za rogiem, gdzie możesz dostać coś zupełnie kapitalnego z dziedziny napojów. Jestem przekonany, że gdybym spotkał Harrisa w raju (przypuśćmy, że nie jest to wykluczone), powitałby mnie tak:

— Jakże się cieszę, żeś przyszedł, kochasiu. Trafiłem tu, za tym rogiem, na świetną knajpkę, można się napić nektaru, naprawdę palce lizać.

Tym razem jednak, gdy szło o nocleg pod gołym niebem, praktyczny zmysł Harrisa okazał się bardzo przydatny. Obozowanie w czasie deszczu nie należy do przyjemności.

Zapadł wieczór. Przemokłeś do suchej nitki, a w łodzi wody na dobre dwa cale i wszystko jest mokre. Znajdujesz na brzegu miejsce trochę mniej błotniste niż inne, lądujesz, rozciągasz namiot i we dwóch próbujecie go umocować.

Namokła, ciężka płachta łopoce, wyrywa się z rąk, wali się na ciebie, okręca naokoło głowy, doprowadza cię do szaleństwa. A deszcz leje bez przerwy. Nie jest łatwo rozpiąć

namiot nawet w czasie pięknej pogody, na deszczu masz przed sobą zadanie godne Herkulesa. Odnosisz wrażenie, że twój kolega, zamiast ci pomagać, robi z ciebie po prostu balona. Właśnie w tej chwili, gdyś przepięknie umocował swoją stronę, tamten podrywa swą część w górę i psuje całą robotę.

— Ty! Co ty wyrabiasz? — wołasz do niego.

— Co ty wyrabiasz? — odcina się tamten. — Puść, dobrze?

— Po co ciągniesz! Nie odwracaj na drugą stronę, ośle dardanelski! — krzyczysz.

— Dobrze trzymam! — drze się. — Puść!

— Mówię ci, żeś wszystko pokręcił, puść! — ryczysz i najchętniej sam byś puścił płótno, a jego wziął za łeb. Ale równocześnie tak się przysadzasz do linek, że wyrywasz z ziemi wszystkie kołki kolegi.

— A to, cholera, idiota! — słyszysz, jak mruczy do siebie. Tu następuje dzikie szarpnięcie i — poszła twoja strona namiotu! Kładziesz więc młotek i podążasz naokoło namiotu do kolegi, żeby mu powiedzieć, co sądzisz o takiej robocie, a równocześnie on bieży w odwrotnym kierunku, tobie na spotkanie, aby wyłożyć ci swój punkt widzenia. Zaczynacie chodzić w kółko jeden za drugim i miotać w siebie przekleństwami — aż namiot całkiem się zwali na ziemię, a wy patrzycie na siebie poprzez jego ruiny. Wtedy obydwaj, jak na komendę, wołacie z oburzeniem:

— A widzisz! Co ci mówiłem? Tymczasem ten trzeci, który czerpał wodę z łódki i nalał jej sobie do rękawa, wobec czego od dziesięciu minut nic nie robi, tylko klnie na czym świat stoi, chciałby teraz wiedzieć, w co my się właściwie bawimy, czyśmy się wściekli i czemu ten zasmarkany namiot jeszcze nie stoi.

Wreszcie jakoś postawiliśmy ten namiot i wynieśliśmy z łódki nasze rzeczy. Nie ma co marzyć o roznieceniu ogniska, zapalamy więc maszynkę spirytusową i wszyscy tłoczymy się wokół niej.

Główny składnik kolacji stanowi deszczówka. Chleb jest w dwóch trzecich wodą, szczególnie obfituje w nią pasztet mięsny, a dżem, masło, sóli kawa tak się rozpłynęły w wodzie, że wspólnymi siłami zrobiły zupę.

Po kolacji okazuje się, że zamókł tytoń i niebędzie palenia. Na szczęście mamy butelkę z płynem, który — w miarę użyty — raduje i upaja. Ten środek przywraca tyle chęci do życia, ile trzeba, by iść spać.

W nocy śni ci się, że słoń usiadł na twej piersi, że wulkan wybuchnął i rzucił cię na dno morza — przy czym słoń cały czas najspokojniej w świecie śpi na twojej piersi. Budzisz się i widzisz, że istotnie stało się coś strasznego. W pierwszej chwili wydaje ci się, że to już koniec świata. Potem odrzucasz tę myśl — nic, tylko złodzieje, mordercy albo się pali. Ten nowy pogląd wyrażasz więc w sposób przyjęty w podobnych wypadkach. Ale nikt nie przybywa na ratunek, a ty wiesz tylko tyle, że tysiące ludzi kopią cię i duszą.

Ktoś drugi też, zdaje się, jest w opałach. Jego słabe jęki dochodzą cię spod łóżka. Gotów na wszystko, zdecydowany drogo sprzedać swe życie, walczysz zaciekle, rękami i nogami zadajesz razy na wszystkie strony i ryczysz przy tym na całe gardło. Wreszcie coś ustępuje przed tobą — czujesz, że twoja głowa znalazła się na świeżym powietrzu. Wyplątujesz obie nogi i widzisz, jak przez mgłę, jakiegoś na pół rozebranego zbója, który czai się, aby cię ukatrupić. Już się gotujesz do walki na śmierć i życie, gdy nagle zaczyna ci świtać w głowie, że to Jim.

— Och, to ty, naprawdę ty? — pyta Jim, który też nagle cię poznał.

— Co się stało? — mówisz przecierając oczy.

— Zdaje się, że wiatr przewrócił tę cholerę namiot — odpowiada. — Gdzie Bili!

Obydwaj głośno wołacie: „Bili!”.Wówczas grunt pod waszymi stopami zaczyna się wzdymać i kołysać. Zdławiony głos, który słyszeliście już przedtem, odpowiada spośród ruin namiotu:

— Złaźcie mi z głowy, natychmiast!

Bili przebija się na wierzch, ubłocona, zadeptana ofiara, a przy tym zupełnie niepotrzebnie w wojowniczym nastroju — najwidoczniej uważa, iż wszystko to jest nasza sprawka.

Rano wszyscy trzej nie możemy mówić, bo w nocy poważnie się przeziębiliśmy. Jesteśmy też skłonni do zwady i w czasie śniadania nie ustajemy w przeklinaniu się ochrypłym szeptem.

Z tych tedy względów postanowiliśmy spać pod gołym niebem w czasie pogody, a w hotelach, gospodach, knajpach itp. — jak przystało przyzwoitym ludziom — w porze deszczowej lub gdy przyjdzie nam ochota na odmianę trybu życia.

Montmorency powitał ten kompromis z wielkim uznaniem. Nie przepada bowiem za romantyczną samotnością. Lubi rwetes, a im grubszy kawał, tym bardziej zabawny w jego oczach. Gdybyście spojrzeli na niego, pomyślelibyście, że to zesłany z nieba na ziemię anioł, który z nieznanych powodów przybrał postać nie człowieka, tylko małego foksteriera. Montmorency ma taką jakąś minę, jakby chciał powiedzieć: „O, jakiż zepsuty jest ten świat i jakżebym chciał zrobić coś, co by uczyniło go lepszym i bardziej szlachetnym”. Sam widok tej jego miny wyciska łzy z oczu bogobojnych starszych pań i dżentelmenów.

Kiedy Montmorency przeszedł na moje utrzymanie, nie obiecywałem sobie, że uda mi się dłużej zatrzymać go w moim domu. Siedziałem często i patrzyłem na niego, a on przysiadłszy na dywaniku przed kominkiem spozierał mi w oczy. Myślałem wówczas: „Och, ten pies nie pożyje długo na ziemi. Złotym rydwanem pojedzie prosto do nieba — oto jaki los czeka tego foksteriera”.

Ale kiedy zapłaciłem za tuzin kurcząt, które uśmiercił; kiedy po raz sto czternasty przyszło mi ciągnąć go za łeb, a on warczał i szarpał się, bo mu przeszkodziłem w ulicznej psiej burdzie; kiedy rozpieklona niewiasta przyniosła mi martwego kota, żebym go sobie obejrzał, i nazwała mnie

mordercą; kiedy sąsiad mieszkający dwa domy dalej wniósł na mnie skargę do sądu o to, że trzymam luzem wściekłego psa, przez którego musiał zamknąć się we własnej komórce na podwórzu i siedzieć tam przez dwie godziny w zimną noc, i nie odważył się nosa wytknąć za drzwi; kiedy się dowiedziałem, że ogrodnik, osobiście mi zresztą nie znany, wygrał trzydzieści szylingów w zakładach o to, czy Montmorency w wyznaczonym czasie ukatrupi określoną ilość szczurów — wówczas począłem liczyć się z tym, że może jednak będzie dane temu psu nieco dłużej pozostać na ziemskim padole.

Szwendać się koło stajni, zebrać zgraję psów o najbardziej zaszarganej reputacji w mieście i na jej czele maszerować przez dzielnicę slumsów,i staczać boje z innymi podejrzanymi psiakami — oto jak Montmorency wyobraża sobie życie. Dlatego, jak już wspomniałem, projekt zawadzania o gospody, knajpy i hotele Montmorency poparł jak najgoręcej.

Gdy zatem rozwiązaliśmy problem noclegów ku zadowoleniu całej naszej czwórki, pozostała do omówienia jeszcze jedna tylko sprawa: co zabrać z sobą? Ledwie jednak zaczęliśmy roztrząsać to zagadnienie, Harris powiedział, że na ten wieczór ma dość naszego krasomówstwa, i zaproponował, byśmy wyszli i golnęli sobie, bo znalazł lokal po przeciwnej stronie skweru, gdzie można dostać kieliszek zacnej irlandzkiej wódeczki.

Jerzy oświadczył, że mu się chce pić (a kiedy mu się nie chciało?), mnie zaś jakiś wewnętrzny głos mówił, że parę kropel whisky, gorącej, z plasterkiem cytryny, może uśmierzyć moje cierpienia, wobec czego debata jednomyślnie została odroczona do następnego wieczoru. Całe zgromadzenie włożyło więc kapelusze i wyszło.

ROZDZIAŁ TRZECI

Dalszy ciąg narady. Metoda Harrisa. Jak głowa rodziny wiesza obraz? Jerzy wypowiada rozsądną uwagę. Rozkosze rannej kąpieli. Co by nam się przydało, gdyby łódź nakryła się dnem.

Na drugi dzień znów zebraliśmy się wieczorem w celu omówienia planów i powzięcia decyzji. Harris powiedział:

— Otóż, musimy najpierw zadecydować, co mamy zabrać ze sobą. Jerome, bierz kawałek papieru i pisz; ty, Jerzy, weź z półki katalog towarów kolonialnych, a mnie proszę dać ołóweczek, to zrobię wykaz.

Oto cały Harris — zawsze gotów wziąć ciężar w swe ręce i włożyć go na cudze barki.

Harris często przypomina mi mojego biednego wuja Podgera. W życiu nie widzieliście domu tak przewróconego do góry nogami jak wtedy, gdy wujo Podger podejmie się coś zrobić. Przyniosą, na przykład, obraz od ramiarza. Stoi w jadalni i czeka na zawieszenie. Ciocia Podgerowa pyta się, co będzie z tym obrazem, na co wujo:

— Zostawcie to mnie. O to nie potrzebujecie się martwić. J a wszystko zrobię.

Po czym zdejmuje marynarkę i przystępuje do dzieła. Najpierw każe służącej kupić gwoździ za sześć pensów, a za nią posyła chłopca, żeby jej powiedział, jakie to mają być gwoździe. Po tym wstępie wujo zaczyna się rozkręcać i niebawem stawia na nogi cały dom.

— Wiluś! — woła. — Skocz no po młotek. A ty, Tomek, przyniesiesz mi linijkę. Dawajcie drabinkę i krzesło, może lepiej kuchenne. Jim! Polecisz do pana Gogglesa i powiesz mu tak: „Tatunio się kłania i pyta, czy nóżka jeszcze boli i czy pan byłby tak łaskaw pożyczyć mu wasserwagi”.

Marysiu, nie odchodź, ktoś przecie musi mi potrzymać świecę. Jak dziewczyna wróci, niech się kopnie po kawałek sznura do obrazu. Tomek? Gdzież on się podział? Tomek, chodź tu. Będziesz musiał podać mi obraz.

Wujo bierze obraz, podnosi go i upuszcza. Obraz wypada z ramy, wujo chcąc ratować szkło kaleczy się w palec. Teraz wujaszek w podskokach szuka po całym pokoju chusteczki do nosa. Nie może jej znaleźć, bo chusteczka jest w kieszeni marynarki, którą zdjął przed chwilą. Nie wie, gdzie położył marynarkę, więc cały dom porzuca narzędzia pracy i szuka zguby, a tatuś tańczy wkoło i sieje zamieszanie.

— Czy w całym domu nikt nie wie, gdzie jest moja marynarka? Jak żyję, nie widziałem takiego towarzystwa, daję wam na to słowo honoru. Sześcioro was jest i nie możecie znaleźć marynarki, którą zdjąłem nie dalej jak pięć minut temu! Czekajcie... Wstał i zobaczył, że siedział na marynarce.

— Och, oszczędźcie sobie fatygi. Sam ją znalazłem. Z równym skutkiem mógłbym prosić kotka, żeby czegoś poszukał.

Pół godziny minęło na opatrywaniu palca. Przyniesiono nowe szkło, narzędzia, drabinę, krzesło i świecę. Wszystko zaczyna się od początku. Cała rodzina, wraz z pokojówką i służącą, ustawia się w półkole, w pełnym pogotowiu. Dwoje ludzi trzyma krzesło, trzecia osoba pomaga wujowi wejść i podpiera go, czwarta podaje mu gwóźdź, piąta wręcza młotek. Wuj bierze gwóźdź i zaraz go upuszcza.

— Ano właśnie! — powiada obrażonym tonem. — Teraz gwóźdź diabli wzięli.

Wszyscy padają na kolana i dziobią podłogę w poszukiwaniu gwoździa, a wujo stoi na krześle, gniewnie chrząka i mówi, że chciałby wiedzieć, czy będzie tak stać przez cały wieczór.

Wreszcie gwóźdź się znalazł, ale tymczasem wujowi gdzieś się zawieruszył młotek.

— Gdzież jest młotek? Co zrobiłem z młotkiem? Chryste Panie! Siedmioro was gapi się na mnie ze wszystkich stron i żadne z was nie wie, co zrobiłem z młotkiem!

Znaleźliśmy wujowi młotek, ale on nie może odnaleźć znaku, jaki zrobił w miejscu, gdzie miałbyć wbity gwóźdź. Wszyscy jesteśmy po kolei wzywani na krzesło, stajemy koło wuja, szukamy znaku i każdy odnajduje go gdzie indziej; wujo jednego po drugim nazywa bałwanem i każe mu zejść z krzesła. Następnie bierze linijkę, mierzy na nowo i stwierdza, że chce zawiesić obraz w połowie odległości od rogu, wynoszącej trzydzieści jeden i trzy ósme cala, i że zaraz obliczy to w pamięci. Liczy i omal nie dostaje przy tym białej gorączki.

My wszyscy też próbujemy obliczyć to w pamięci, każdy dochodzi do innego wyniku i obsypujemy się złośliwościami. W ogólnej wrzawie zapominamy, co trzeba podzielić przez dwa, i wuj Podger musi jeszcze raz mierzyć odległość.

Tym razem używa do tego sznurka. W krytycznym momencie, kiedy pochyliwszy się na krześle pod kątem czterdziestu pięciu stopni stary dureń usiłuje sięgnąć do punktu położonego trzy cale poza granicą jego fizycznej możliwości, sznurek wymyka mu się z ręki i bęc! wujo spada na fortepian, osiągając doprawdy wspaniały efekt muzyczny dzięki równoczesnemu uderzeniu głową i całym ciałem we wszystkie klawisze.

Ciocia Maria oświadcza, że nie pozwoli, aby dzieci tu stały i słuchały słów godnych furmana!

Wreszcie wujo Podger wyznacza ostatecznie punkt na ścianie, lewą ręką przytyka tam koniec gwoździa, a w prawą bierze młotek. Za pierwszym zamachem rozbija sobie kciuk i z dzikim okrzykiem rzuca komuś młotek na palce u nogi. Ciocia Maria ze słodką miną wyraża nadzieję, że wuj następnym razem, jak będzie chciał wbić gwóźdź w ścianę, uprzedzi ją o tym w porę, aby mogła się odpowiednio przygotować, wyjechać na tydzień do matki i wrócić już po wszystkim.

— Och, wy kobiety! Robicie zawsze tyle szumu nie wiadomo po co, na co i dlaczego — odpowiada wujo Podger, nabierając animuszu. — Ano — powiada — lubię czasem machnąć kawałek roboty.

Po czym wraca do dzieła. Już za drugim uderzeniem gwóźdź poszedł w tynk jak w masło, a za nim pół młotka, wuj zaś rąbnął głową w ścianę z siłą zdolną spłaszczyć mu nos na blaszkę.

Znów szukamy linijki i sznurka, po czym powstaje nowa dziura w ścianie. Około północy obraz wisi, choć koślawo i bardzo niepewnie. Ściana na przestrzeni kilku jardów wygląda, jakby ktoś ją skrobał grabiami. Wszyscy są śmiertelnie zmordowani i zgnębieni — wyjąwszy wuja Podgera.

— No, skończyłem — mówi i ciężko zstępuje z krzesła na nagniotki służącej, z wyraźną dumą obrzucając spojrzeniem ogólny bigos, jakiego narobił. — Tak, tak, iluż naszych znajomych sprowadziłoby „człowieka”, żeby za nich zrobił takie, doprawdy, głupstwo!

O, takim samym ancymonem będzie Harris, niech się tylko trochę postarzeje. To pewne, więc nie omieszkałem mu tego powiedzieć. Do czego dodałem, że nie mogę pozwolić, by tyle roboty brał na swe barki.

— Nie. Ty weź papier, ołówek i katalog — oświadczyłem. — Jerzy będzie notował, a całą resztę ja biorę na siebie.

Zrobiliśmy wykaz, ale musieliśmy go odrzucić. Jasne było, że na Tamizie w górnym jej biegu nie zmieści się łódź takich rozmiarów, która pozwoliłaby na zabranie rzeczy figurujących w naszym spisie jako niezbędne. Podarliśmy więc wykaz i spojrzeliśmy po sobie. Zabrał głos Jerzy:

— Widzicie, że jesteśmy na zupełnie fałszywej drodze. Trzeba myśleć nie o tym, co może nam się przydać, lecz li tylko o rzeczach, bez których nie sposób się obejść.

Jerzy miewa czasem całkiem zdrowe pomysły. Może zdziwi was to, co teraz powiem. Pogląd Jerzego pozwolę sobie nazwać wręcz mądrością, i to nie tylko w związku z

naszą wycieczką, albowiem odnosi się to równie dobrze do owej wędrówki w górę rzeki, jaką jest nasze życie. Iluż ludzi w czasie tej podróży ładuje na swą łódkę, narażając ją na nieustanne niebezpieczeństwo zatonięcia, sterty rozmaitych rupieci, bez których rzekomo mowy nie ma o przyjemnej i wygodnej podróży, a które w gruncie rzeczy są tylko bezużytecznymi śmieciami.

Jakże oni zawalają aż po maszt swój wątły stateczek strojami i gratami, ileż upychają tam nieprzydatnej służby, jaką czeredę przyjmują wykwintnych przyjaciół, choć całe to towarzystwo ma ich za nic i samo diabła jest warte, ile pieniędzy wydają na kosztowne rozrywki, które nikogo nie bawią, ile trudu poświęcają różnym ceregielom i etykietom, fumom i zadzieraniu nosa, ile tam — och, najcięższe to brzemię i największe szaleństwo! — obawy o to, co by pomyślał nasz sąsiad, jakie zbytki, które gardłem wychodzą, ile przyjemności siejących nudę, ile blichtru, podobnego do żelaznej korony zbrodniarza w dawnych czasach — zbolała głowa krwawi i omdlewa pod tą złotą obręczą!

To rupiecie, człowieku — to tylko balast! Wyrzuć go za burtę. Dlatego tak ciężko ci wiosłować, że aż omdlewasz z wysiłku. Dlatego łódź twoja tak gnuśnie się wlecze i niebezpiecznie jest nią sterować. Oto przyczyna, dla której bez przerwy dręczą cię troski i niepokoje, dla której nigdy nie zaznasz chwili wytchnienia, błogiego lenistwa — nie masz czasu popatrzeć na zwiewne cienie muskające mielizny, na igraszki roziskrzonych promieni słońca wśród fal, strzeliste drzewa, patrzące z brzegu na własne odbicie w rzece, lasy całe w zieleni i złocie, lilie białe i żółte, namarszczone i rozkołysane zarośla, tatarak, storczyki, niebieskie niezabudki.

Wyrzuć, bracie, balast za burtę! Niechaj łódź twego żywota będzie lekka i niesie tylko to, co ci jest potrzebne — przytulny kąt, niewyszukane przyjemności, ze dwóch przyjaciół godnych tego miana, kochaną osobę i kogoś, kto cię kocha, kota, psa, fajkę, jedną lub dwie, w miarę żywności

i w miarę odzieży, odrobinę więcej napojów — bo pragnienie niebezpieczna to rzecz.

Przekonasz się wówczas, że lżej ci będzie wiosłować i łódź tak łatwo nie zatonie, a jeśli już się wykopyrtnie, też nie będzie wielkiego zmartwienia — solidny towar nie ucierpi w kąpieli. Będziesz miał czas pomyśleć i popracować. Czas na to, by pić słoneczną radość życia, aby słuchać eolskiej muzyki, jaką boski wiatr dobywa ze strun serc ludzkich wokół nas — czas, by...

Przepraszam, bardzo przepraszam. Zapomniałem się.

A więc sporządzenie wykazu oddaliśmy w ręce Jerzego, który od razu przystąpił do rzeczy.

— Nie potrzebujemy brać namiotu — powiedział — bo weźmiemy łódź krytą. To znacznie prostsze i wygodniejsze.

Myśl była dobra, więc przystaliśmy na to. Nie wiem, czy państwo widzieli kiedy rzecz, o której mowa. Nad łodzią wznosisz oparte o jej boki żelazne kabłąki, rozciągasz na nich olbrzymi brezent i przymocowujesz go szczelnie do dna, od dziobu do rufy. W ten sposób łódź zamienia się w coś na kształt domku, nad wyraz przytulnego,choć jest tam troszkę duszno, ale nie ma róży bez kolców, jak powiedział jeden pan, kiedy zmarło się jego teściowej i dostał rachunek za pogrzeb.

Jerzy oświadczył, że w danym przypadku musimy wziąć po jednym pledzie, lampę, mydło, szczotkę i grzebień (do wspólnego użytku), szczoteczki do zębów (indywidualnie), miednicę, proszek do zębów, przybory do golenia (to brzmi jak lekcja obcego języka, prawda?) i parę dużych ręczników kąpielowych. Zauważyłem, że każdy, kto wyjeżdża nad wodę, czyni przygotowania do kąpieli zakrojone na olbrzymią skalę, ale po przyjeździe mało się kąpie.

Nie inaczej sprawa się ma, gdy jedziemy nad morze. Ja sam — kiedy rozmyślam nad tym w Londynie — zawsze postanawiam sobie, że będę co dzień zrywał się z łóżka wczesnym rankiem i biegł dać nura przed śniadaniem, w związku z czym z wielkim pietyzmem pakuję kostium i

ręcznik kąpielowy. Zawsze biorę czerwony kostium. Kocham się w czerwonych spodenkach. Bardzo mi w nich do twarzy. A jednak po przyjeździe nad morze jakoś nie doznaję tej samej nieodpartej potrzeby kąpieli z brzaskiem dnia, jaką odczuwałem przed wyjazdem.

Na odwrót, mam wówczas wrażenie, jakoby silniej odzywała się we mnie potrzeba pozostania w łóżku do ostatniej chwili, a potem zejścia do jadalni i spożycia śniadania. Raz lub dwa razyhart ducha odniósł zwycięstwo. Wstałem wtedy o godzinie szóstej, odziałem się nieco, wziąłem kostium i ręcznik, po czym z pochmurną miną pokuśtykałem nad morze. Ale zadowolenia nie zaznałem. Nabrałem przekonania, że trzymają tu szczególnie zjadliwy wiatr wschodni, który tylko czeka, kiedy pójdę do kąpieli wczesnym rankiem; że ktoś pozbierał wszystkie kanciaste kamienie i poukładał je na wierzchu, a skały nadbrzeżne wyostrzył w szpic i czubki przysypał piaskiem, abym ich nie zauważył; w nocy zaś odepchnął morze na dwie mile od brzegu tylko po to, żebym musiał się skulić i szczękając zębami podążać w podskokach ku morskim falom po wodzie sięgającej mi do kostek. A kiedy wreszcie dotarłem do morza, było wzburzone i zachowało się w sposób obelżywy.

Oto olbrzymi bałwan podrywa mnie i, jak umie najbrutalniej, rzuca w postawie siedzącej na skałę, którą tam ustawiono z myślą o mojej osobie. Zanim zdołałem krzyknąć: „Oj, ojoj!”, i zorientować się w sytuacji, bałwan wraca i zabiera mnie na pełne morze. Walczę jak szalony prąc ku brzegowi. Wątpię, czy ujrzę jeszcze mój domi przyjaciół, żałuję, że nie tak jak trzeba obchodziłem się z moją maleńką siostrzyczką, kiedy byliśmy chłopakami (nie z nią byliśmy, tylko z bratem, rzecz prosta)... I właśnie kiedy porzuciłem już wszelką nadzieję, bałwan, który mnie niósł,zawraca i zostawia mnie rozciągniętego na piasku jak rozgwiazdę. Staję na nogi, oglądam się na morze i widzę, że walczyłem o życie płynąc w wodzie głębokiej na dwie stopy. Znów biegnę w podskokach, ubieram się i ledwie żyw,

niemal na czworakach wracam do hotelu, gdzie zapewniam wszystkich, że ranna kąpiel była świetna.

Tym razem z tego, cośmy wszyscy mówili, wynikało, iż co dzień rankiem długo będziemy pływali. Jerzy zapewniał, że to rozkosz ocknąć się w łodzi w rześki poranek i dać nura do wody jak kryształ. Zdaniem Harrisa zaś nic tak nie pobudza apetytu jak kąpiel przed śniadaniem. Podobno wielokrotnie tego doświadczył. W tym miejscu Jerzy nadmienił, że jeśli Harris po namoczeniu je więcej niż zwykle, należy w ogóle zabronić mu kąpieli.

— Tak jak teraz sprawy się mają — mówił dalej Jerzy — holowanie pod prąd zapasów żywności dla Harrisa jest już dostateczną mordęgą.

Zabrałem głos i zaatakowałem pogląd Jerzego: o ileż przyjemniej będzie mieć w łodzi Harrisa czystego i świeżego, jeśli nawet w związku z tym przyjdzie nam wziąć ze sobą paręset funtów więcej żywności. Jurek podzielił mój punkt widzenia i wycofał swój protest.

Zgodziliśmy się wziąć trzy ręczniki kąpielowe, aby jeden nie musiał czekać na drugiego.

W sprawie garderoby Jerzy oświadczył, że wystarczy nam po dwa flanelowe ubrania, bo sami możemy je prać w rzece, gdy się przybrudzą. Zapytaliśmy go, czy spróbował już kiedy uprać flanelowe ubranie w rzece, na co Jerzy odparł: „Nie, osobiście właściwie nie prałem, ale znam gości, którzy prali — to nic trudnego”. Harris i ja w prostocie ducha wyobrażaliśmy sobie, iż Jerzy wie, co mówi, i że trzech zacnych, choć nie mających ani stanowisk, ani wpływów, młodzieńców może istotnie, bez uprzedniej praktyki, wyprać własne koszule i spodnie w Tamizie używając do tego kawałka mydła.

Dane nam było doświadczyć w najbliższej przyszłości, kiedy już było za późno, że Jerzy był nędznym szarlatanem, który oczywiście bladego pojęcia nie miał o praniu. Och, gdybyście zobaczyli nasze ubrania po tym zabiegu — ale,

jak mówią autorzy groszowych powieści, nie uprzedzajmy wypadków.

Jerzy kładł nacisk na to, by wziąć zmianę bielizny i mnóstwo skarpetek na wypadek, gdybyśmy się wysypali i musieli się przebrać, a także poważną ilość chusteczek, aby ich nie brakło do wycierania mokrych rzeczy. Radził też wziąć po parze trzewików i wysokich butów nieprzemakalnych na wypadek, gdybyśmy wpadli do wody.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Problem żywności. Zastrzeżenia co do swądu, jaki wywołuje nafta. Zalety sera jako towarzysza podróży. Kobieta zamężna porzuca ognisko domowe. Dalsze środki ostrożności na wypadek katastrofy. Pakuję rzeczy. Przewrotność szczoteczek do zębów. Jerzy i Harris także pakują. Haniebne postępki Montmorency'ego. Udajemy się na spoczynek.

Następnie podjęliśmy dyskusję na temat żywności. Zagaił Jerzy.

— Zacznijmy od śniadania. — (Jaki on praktyczny!) — Otóż śniadanie nie obejdzie się bez patelni... (Harris zauważył, że to niestrawne, ale myśmy go grzecznie poprosili, żeby się nie wygłupiał, i Jerzy mówił dalej)... czajnika, kociołka i maszynki spirytusowej.

— Broń Boże naftowej — dodał Jerzy z wymownym spojrzeniem. Harris i ja zgodziliśmy się z naszym przedmówcą.

Wzięliśmy raz maszynkę naftową i powiedzieliśmy sobie: „Nigdy w życiu!” Przez cały tydzień zdawało nam się, że jesteśmy w mydlarni. Maszynka przeciekała. Jak żyję, nie widziałem czegoś równie „dociekliwego” jak nafta. Trzymaliśmy jąna przodzie łodzi — ściekała stamtąd aż do steru, przesycając całą łódź i wszystko, co spotkała po drodze; pokrywała rzekę, przenikała całą okolicę, do cna psując powietrze. Dął zachodni wiatr naftowy albo wschodni wiatr z naftą, to znów północny naftowiatr lub południowy wiatronaft. Czy jednak nadlatywał od śnieżnej Arktyki, czy wzbijał się w górę znad niezmierzonych piasków pustyni, do nas przynosił ciężki aromat nafty.

Zapach ten wznosił się ku niebiosom i niweczył zachód słońca. Nawet srebrne promienie księżyca wyraźnie kopciły naftą.

W Marlow spróbowaliśmy odczepić się od tej woni. Zostawiliśmy łódź pod mostem i poszliśmy na spacer po mieście, by umknąć naszemu prześladowcy, ale na próżno. Całe miasto było zacofane. Przeszliśmy przez cmentarz — odnieśliśmy wrażenie, że nieboszczyków nie przysypuje się tu ziemią, tylko zalewa naftą. Na głównej ulicy biła w nos nafta — dziwiliśmy się, jak ludzie mogą żyć w takim strasznym zaduchu. Szliśmy przed siebie, mila za milą, drogą na Birmingham — wszystko na nic, cała okolica była umaczana w tej potwornej cieczy.

Pod koniec naszej wycieczki zebraliśmy się o północy w pustym polu, pod dębem, w który piorun trzasnął i diabli go wzięli, i zaklęliśmy się (klęliśmy przez cały tydzień na tę ciecz w zwykły, drobnomieszczański sposób, lecz tym razem byłato gruba sprawa)... Złożyliśmy więc straszliwą przysięgę, że nigdy więcej nie zabierzemy do łodzi nafty ani żadnych olejów. Możemy wziąć tylko, rzecz jasna, parafinę, i to w razie choroby.

Dlatego obecnie poprzestaliśmy na spirytusie metylowym. Temu też nic nie brakuje. Je się przy nim metylowy pasztet i metylowe ciastka. A jednak spirytus ten, zwłaszcza jeśli się go spożywa w większych ilościach, jest zdrowszy od nafty.

Jako artykuły śniadaniowe Jerzy zaproponował jajka i bekon, które łatwo ugotować lub usmażyć, zimne mięso, herbatę, chleb, masło i dżem. Na drugie śniadanie — powiedział — mogą być biskwity, zimne mięso, chleb z masłem i dżem—w żadnym razie nie ser. Ser, podobnie jak nafta, ma zbyt wygórowane ambicje. Chciałby sam zająć łódkę. Rozchodzi się po koszu z żywnością i całej jego zawartości nadaje swój zapach. Czy to, co się je, jest szarlotką, parówkami, czy też są to poziomki z kremem — wszystko ma smak sera. Tak, ser pachnie zbyt mocno.

Pamiętam, jak jeden z moich przyjaciół kupił w Liverpoolu dwa duże sery. Wspaniałe to były okazy, dojrzałe i miękkie, z zapachem o sile dwustu koni parowych, który niósł pod gwarancją na odległość trzech mil, a w promieniu dwustu jardów mógł powalić dorosłego człowieka. Bawiłem właśnie w Liverpoolu i przyjaciel powiedział mi, że gdybym nic nie miał przeciw temu, toby mnie prosił, abym zabrał jego sery z sobą do Londynu, bo on zatrzyma się tu jeszcze parę dni, a te sery chyba nie mogą tak długo czekać.

— Ależ chętnie, mój drogi — odparłem. — Zrobię to z przyjemnością.

Podjechałem po towar i zabrałem go do dorożki. Była to rozklekotana drynda, którą wlókł za sobą raciaty i dychawiczny somnambulik, nazwany przez właściciela w rozmowie ze mną, w chwili zapomnienia, koniem. Położyłem sery na budzie. Ruszyliśmy takim chodem, jakiego nie powstydziłby się najbardziej szybkobieżny walec parowy, i było nam wesoło, jakbyśmy jechali przy dźwiękach dzwonu żałobnego — do chwili, gdyśmy skręcili na rogu. Wtedy bowiem wiatr dmuchnął zapachem serów w naszego rumaka. To go obudziło. Parsknął ze zgrozą i pomknął przed siebie z szybkością trzech mil na godzinę. Wiatr bez ustanku dął w jego stronę. Zanim dojechaliśmy do końca ulicy, konik wyciągał około czterech mil na godzinę, zostawiając daleko za nami osoby kulawe i zażywne starsze panie.

Gdy przyjechaliśmy na dworzec, dorożkarzowi dopiero przy pomocy dwóch tragarzy udało się zatrzymać konisia. Nawet we trójkę nie daliby chyba rady, gdyby nie jeden z tych dwóch zuchów, który dał dowód przytomności umysłu, bowiem zatkał chabecie nozdrza chustką, a potem zakadził pod nosem armeńskim kadzidłem.

Kupiłem bilet i z podniesionym czołem pomaszerowałem na peron ze swymi serami, a ludzie z szacunkiem rozstępowali się przede mną. Pociąg był przepełniony, wypadło mi więc wejść do przedziału, w którym siedziało już siedem osób. Jakiś zrzędliwy starszy pan zaprotestował,

lecz. mimo to wszedłem. Położyłem sery na półce, z miłym uśmiechem wcisnąłem się na ławkę i powiedziałem, że ciepło dzisiaj. W chwilę potem starszy pan zaczął się kręcić.

— Strasznie tu duszno — powiedział.

— Skonać można — dodał jego sąsiad.

Obaj zaczęli pociągać nosami. Za trzecim pociągnięciem zachłysnęli się, wstali bez słowa i wyszli.

Wówczas zażywna dama podniosła się z miejsca, oświadczyła, że to wstyd i hańba takie znęcanie się nad przyzwoitą mężatką, zabrała torbę podróżną i osiem paczek i wyszła. Pozostali czterej pasażerowie siedzieli jeszcze chwilę, aż pan w rogu, o nader uroczystym wyglądzie — sądząc z jego ubrania i całej aparycji, pan ten należał do stanu karawaniarskiego — zauważył, że to mu przypomina martwe niemowlę, na co trzej nasi towarzysze podróży równocześnie rzucili się do drzwi i trochę się przy tym poturbowali.

Uśmiechnąłem się do dżentelmena w czerni i powiedziałem, że teraz chyba zostaniemy sami w przedziale. Odpowiedział mi uprzejmym uśmiechem i zauważył, że ludzie czasem robią szum o byle co. Ale i on uległ jakiemuś dziwnemu przygnębieniu, kiedy pociąg ruszył. Dlatego też, gdy zatrzymaliśmy się w Crewe, zaproponowałem, by wyszedł ze mną na wódkę. Przyjął zaproszenie; przebiliśmy się więc do bufetu, gdzie przez dobry kwadrans krzyczeliśmy, tupali i wywijali parasolami, zanim podeszła do nas młoda dama i zapytała, czego chcemy.

— Co pan wypije? — zapytałem, zwracając się do mego przyjaciela.

— Pani będzie łaskawa dać mi za pół korony koniaku bez wody sodowej — odparł.

Wypił i jakby nigdy nic poszedł sobie. Wsiadł do innego wagonu. Był to postępek grubiański.

Od Crewe miałem przedział do własnej dyspozycji, choć pociąg był nabity. Kiedy zatrzymywaliśmy się na stacjach,

ludzie widząc mój pusty przedział biegli do niego na wyprzódki: „Tutaj, Marysiu, chodź, masa miejsca! Dobrze, Tomku, tu się wpakujemy!” — krzyczeli. Biegli przez peron, dźwigając ciężkie bagaże, i walczyli przy drzwiach, aby wejść pierwsi. Jeden otwierał drzwi, wchodził na stopnie i padał w objęcia mężczyzny, który stał za nim. Wtedy wszyscy po kolei zaglądali do przedziału i węszyli, po czym robiło im się słabo i tłoczyli się w innych wagonach lub dopłacali do ceny pierwszej klasy.

Ze stacji Euston zawiozłem sery do domu mego przyjaciela. Kiedy jego małżonka weszła do pokoju, chwilę niuchała wokół siebie i powiedziała:

— Co to jest? Proszę mi powiedzieć. Jestem przygotowana na najgorsze.

Odparłem:

— To sery. Tomcio kupił je w Liverpoolu i prosił, bym je zabrał. Mam nadzieję — dodałem — że pani zrozumie, iż nie ma w tym mojej winy.

Odpowiedziała, że nie wątpi w to, ale z Tomkiem porozmawia, gdy wróci.

Mój przyjaciel zatrzymał się, w Liverpoolu dłużej, niż zamierzał.

Kiedy w trzy dni po moim przyjeździe jeszcze go nie było, jego żona przyszła do mnie.

— Co Tomek mówił o tych serach? — zapytała. Odparłem, że polecił trzymać je w wilgotnym miejscu i prosił, by nikt ich nie ruszał.

— Nie ma obawy, żeby kto ich się tknął. Czy Tomek je wąchał?

Odpowiedziałem, że pewnie wąchał, i dorzuciłem, że Tomek najwyraźniej ogromnieje polubił.

— Czy sądzi pan, że Tomek bardzo będzie się gniewał — dopytywała się dalej — jeśli dam komuś suwerena, żeby je zabrał i zakopał?

— Obawiam się, że uśmiech na zawsze by zniknął z jego oblicza.

Wtedy żona przyjaciela wpadła na pomysł.

— Czy zechciałby pan przechować te sery dla Tomka? Pozwoli pan, że prześlę je panu do domu?

— Łaskawa pani — odparłem — osobiście lubię zapach serów i do końca życia wspominał będę ostatnią moją podróż z Liverpoolu jako szczęśliwy finał miłych wakacji. Ale na tym padole musimy liczyć się z naszymi bliźnimi. Dama, pod której dachem mam zaszczyt mieszkać, jest wdową, a także, jeśli się nie mylę, sierotą. Stanowczo — i rzekłbym, bardzo wymownie — nie godzi się ona, aby ją — jak powiada — „wystawiano do wiatru”. Obecność serów pani męża w jej domu uważałaby — czuję to instynktownie — za „wystawianie do wiatru”, a nikt nie ośmieli się powiedzieć, bym kiedykolwiek wystawiał do czegokolwiek wdowę i sierotę.

— Ano dobrze — powiedziała wstając żona mego przyjaciela. — Chcę panu tylko powiedzieć, że zabieram dzieci i przenoszę się do hotelu, do czasu, kiedy on zje te sery. Stanowczo odmawiam przebywania z nimi pod jednym dachem.

Dotrzymała słowa i zostawiła dom pod opieką służącej, która na pytanie, czy wytrzyma ten zapach, zapytała: „Jaki zapach?”, a kiedy ją skonfrontowano z bliska z tymi serami i kazano mocno pociągnąć nosem, odparła, że dolatuje ją delikatny zapach melonów. Na tej podstawie przyjęto, że kobiecinie żadne niebezpieczeństwo z powietrza nie grozi, i zostawiono ją w domu.

Rachunek za hotel urósł do sumy piętnastu gwinei. Mój przyjaciel, kiedy podsumował wydatki, stwierdził, że sery kosztowały go po osiem szylingów i sześć pensów za funt. Oświadczył wówczas, iż przepada za serem, ale nie stać go na taką cenę, i postanowił pozbyć się tych serów. Wrzucił je do kanału, ale musiał zaraz wyłowić, bo zaprotestowali przewoźnicy. Twierdzili, że robi im się słabo. Potem w ciemną noc mój przyjaciel wyniósł je i podrzucił do parafialnej kostnicy. Ale koroner odkrył je tam i narobił piekielnego

hałasu. Twierdził, że to jest niecna intryga, zmierzająca do wskrzeszenia nieboszczyków i pozbawienia go chleba.

Tomasz pozbył się wreszcie serów w ten sposób, że zawiózł je do pewnej miejscowości nadmorskiej i tam zakopał na plaży. Przysporzyło to niemałej renomy owej mieścinie. Przyjezdni twierdzili, że jakoś nigdy przedtem nie zauważyli, jakie mahoniowe jest tam powietrze, i odtąd ludzie z zagrożonymi płucami i cherlawi tłumnie zjeżdżali się do tej miejscowości kuracyjnej.

Z tej racji, choć jestem amatorem serów, przyznałem słuszność Jerzemu, gdy stanowczo wypowiedział się przeciw zabraniu ich na drogę.

— Obejdziemy się też bez podwieczorku — ciągnął Jerzy (tu Harrisowi wydłużyła się mina), ale za to o siódmej pokrzepimy się, jak Bóg przykazał — będzie to obiad, podwieczorek i kolacja za jednym zamachem.

Harris od razu poweselał. Jerzy na ten posiłek zaproponował paszteciki, ciasto z owocami,zimne mięsiwo, pomidory, owoce i zieleninę.

Do picia wzięliśmy znakomity syrop wyrabiany przez Harrisa. Miesza się go (syrop, nie Harrisa) z wodą i nazywa lemoniadą. Zabraliśmy też herbatę i butelkę whisky na wypadek — jak powiedział Jerzy — gdybyśmy się wywrócili.

Jerzy, moim zdaniem, niepotrzebnie uczepił się myśli o katastrofie. Przecież nie można w takim nastroju wybierać się na wycieczkę.

Niemniej rad jestem, że wzięliśmy whisky.

Natomiast zrezygnowaliśmy z piwa i wina. Byłyby one grubym nieporozumieniem na wycieczce w górę rzeki. Po piwie i winie człowiek robi się senny i ociężały. Owszem, możesz wypić szklaneczkę wieczorem, gdy się wypuścisz do miasta, żeby popatrzeć na dziewczęta, ale nie waż się pić, kiedy słońce praży prosto w głowę i czeka cię ciężka praca.

Tego samego wieczoru, zanim rozstaliśmy się, sporządziliśmy wykaz rzeczy, jakie trzeba zabrać ze sobą. Była to wcale pokaźna lista. Następnego dnia, w piątek,

poznosiliśmy wszystko, a wieczorem spotkaliśmy się, aby to spakować. Na odzież przeznaczyliśmy wielką walizę, na żywność i artykuły kuchenne — dwa kosze. Odsunęliśmy stół pod okno i całe wyposażenie zwaliliśmy na środku podłogi, po czym siedliśmy wokół tego stosu i patrzyliśmy na niego.

Oświadczyłem, że sam spakuję to wszystko.

Nie powstydziłbym się swej sztuki pakowania. Jest to jedna z tych wielu rzeczy, na których znam się nieporównanie lepiej niż inni (czasem aż dziw mnie bierze, jak wiele jest tych rzeczy). Zakomunikowałem o tym Jerzemu i Harrisowi. Najlepiej by było — dodałem — gdyby zostawili mnie całą tę robotę. Przystali na moją propozycję tak ochoczo, że aż zrobiło to trochę nieprzyjemne wrażenie. Jerzy wetknął sobie fajkę w zęby i rozparł się w fotelu, Harris wpakował nogi na stół i zapalił cygaro.

Nie do tego zmierzałem. Chciałem, rzecz prosta, wziąć w swe ręce nadzór nad całością, podczas gdy Harris i Jerzy partoliliby robotę pod moim okiem, więc co chwila bym ich odsuwał na bok ze słowami: „Och, ty ciemięgo”, „Już sam to zrobię!”, „Widzisz, jakie to proste!” W ten sposób — jak się to mówi — dałbym im lekcję solidnej roboty. Beztroska, z jaką przyjęli moją propozycję, bardzo mnie zirytowała. Nic mnie tak nie gniewa, jak widok innych, którzy siedzą sobie i próżnują, kiedy ja oddaję się pracy.

Mieszkałem kiedyś z facetem, którego lenistwo doprowadzało mnie do szaleństwa. Potrafił całymi godzinami leżeć rozwalony na sofie i patrzeć, jak pracuję, wodząc oczami za każdym moim krokiem. Mówił, że napawa go nieodpartą radością widok mej krzątaniny. Twierdził, że dzięki temu widokowi zrozumiał, iż życie nie jest gnuśną drzemką i nie po to się żyje, aby się gapić i ziewać z nudy, lecz aby wśród trudów i mozołów spełnić naszą wzniosłą misję. — Nieraz się dziwię — zapewniał mój współlokator — jak mogłem w ogóle żyć, zanim cię spotkałem, kiedy nie było mi dane patrzeć na cudzą pracę.

Otóż ja jestem inny. Nie potrafię siedzieć spokojnie i patrzeć, jak ktoś tyra za dwóch. Muszę wtedy wstać i pilnować roboty, krążyć wokół tytana pracy z rękami w kieszeniach i udzielać mu wskazówek. Taką już mam czynną naturę. Nic na to nie poradzę.

Nie powiedziałem jednak ani słowa i wziąłem się do pakowania. Zabrało mi to więcej czasu, niż przypuszczałem. W końcu uporałem się z walizką, usiadłem na niej i ściągnąłem rzemienie.

— A butów nie zapakujesz? — spytał Harris.

Rozejrzałem się i stwierdziłem, że zapomniałem o butach. Oto cały Harris! Naturalnie nie mógł otworzyć ust, zanim udało mi się zamknąć walizę i zacisnąć rzemienie. A Jerzy zaśmiał się tym swoim irytującym, idiotycznym, rozdzierającym uszy rechotem. Ten jego śmiech zupełnie wyprowadza mnie z równowagi.

Otworzyłem walizę i zapakowałem buty. Wtedy, gdy już miałem ją zamknąć, potworna myśl przyszła mi do głowy. Czy zapakowałem szczoteczkę do zębów? Nie wiem, jak się to dzieje, lecz nigdy nie pamiętam, czy włożyłem ją do walizki.

Szczoteczka do zębów jest rzeczą, która straszy, gdy wybieram się w podróż, i zatruwa mi życie. Śni mi się, że jej nie zapakowałem, budzę się zlany zimnym potem, wyskakuję z łóżka i przetrząsam walizkę. A rano pakuję szczoteczkę jeszcze przed jej użyciem i muszę znowu wszystko wyjąć — szczoteczka jest zawsze ostatnim przedmiotem dobytym z walizki. Wtedy na nowo upycham walizkę i na śmierć zapominano szczoteczce, wracam więc w ostatniej chwili do domu, wbiegam co tchu po schodach i na stację niosę ją owiniętą w chusteczkę do nosa.

Oczywiście tym razem też musiałem wszyściutko wyrzucić i oczywiście szczoteczki nie znalazłem. Przewróciłem wszystko do góry nogami i doprowadziłem rzeczy do stanu, w jakim pewnie się znajdowały przed stworzeniem świata, kiedy panował chaos. Naturalnie sto

razy znajduję szczoteczki Jerzego i Harrisa, a mojej ani śladu. Przekładam rzeczy po jednym kawałku, oglądam je pod światło i potrząsam. Znajduję szczoteczkę w bucie. Pakuję wszystko jeszcze raz.

Kiedy skończyłem, Jerzy pyta się, czy mydło zapakowane. Odpowiadam, że guzik mnie z pętelką obchodzi, czy mydło zapakowane czy nie. Zatrzasnąłem wieko i zapiąłem rzemienie, po czym stwierdziłem, że włożyłem do walizki kapciuch na tytoń i trzeba ją otworzyć. Ostatecznie zamknęła się o godzinie 10.05 wieczór. Pozostałymi jeszcze dwa kosze. Harris oświadczył, że do odjazdu mamy już tylko niecałe dwanaście godzin i że lepiej będzie, jeśli on z Jerzym zrobią resztę. Usiadłem, a oni wzięli się do roboty.

Zaczęli z uśmiechem na ustach, najwyraźniej chcąc mi pokazać, jak się to robi. Wstrzymałem się od komentarzy, czekałem. Kiedy powieszą Jerzego, Harris będzie tym, który najgorzej pakuje na całym świecie. Patrzyłem na stosy talerzy, filiżanek, baterie kociołków, butelek i dzbanków, zapasy pasztetów, maszynek do gotowania, ciastek, pomidorów itd. i czułem, że za chwilę sprawa przybierze obrót nad wyraz interesujący.

Tak się też stało. Zaczęli od tego, że stłukli filiżankę. To był ich pierwszy krok. Zrobili to, aby mi pokazać, na co ich stać, i żeby mnie zainteresować.

Potem Harris postawił słoik z dżemem poziomkowym na pomidorze i zgniótł go, musiał więc wybierać pomidora z kosza łyżeczką do herbaty.

Teraz przyszłą kolej na Jerzego, który wlazł na masło. Nie powiedziałem ani słówka, tylko podszedłem, usiadłem na krawędzi stołu i przyglądałem się uważnie. Drażniło ich to więcej niż najbardziej zjadliwe docinki. Zdawałem sobie z tego sprawę. Denerwowali się i podniecali coraz bardziej, nadeptywali na różne przedmioty, kładli je za sobą i potem nie mogli znaleźć. Paszteciki wpakowali na dno kosza, a na wierzchu ułożyli ciężkie przedmioty i zrobili ciasto.

Posypali wszystko solą, a masło — mój Boże! Nigdy w życiu bym nie uwierzył, że dwóch mężczyzn może tyle nawyrabiać z kawałkiem masła za szylinga i dwa pensy, gdybym nie ujrzał tego na własne oczy. Kiedy Jerzy zdjął masło ze swego pantofla, usiłowali we dwójkę włożyć je do kociołka. Cały kawałek nie wlazł, ale to, co weszło, ani rusz nie dało się wyjąć. Wreszcie wyskrobali masło z kociołka i położyli je na krześle. Harris usiadł, masło przylepiło się do niego — chodzili po pokoju i szukali zguby.

— Gotów jestem przysiąc, że położyłem je tutaj, na tym krześle — powiedział Jerzy wpatrując się w puste miejsce.

— Dopiero co widziałem na własne oczy, jak je tu kładłeś — zapewniał Harris.

Po tej wymianie zdań ruszyli na dalsze poszukiwania po całym pokoju, a kiedy znów spotkali się na środku, spojrzeli na siebie z osłupieniem.

— Coś podobnego, to niesłychane — powiedział Jerzy.

— Tajemnicza sprawa — przytaknął Harris. Jerzy znalazł się za plecami Harrisa i ujrzał zgubę.

— Ha! Tu było przez cały czas! — zawołał z oburzeniem.

— Gdzie? — wołał Harris kręcąc się w kółko.

— Stójże spokojnie! — ryknął Jerzy biegając naokoło Harrisa. Odłączyli masło od Harrisa i włożyli je do czajnika.

Montmorency, rzecz jasna, brał w tym wszystkim czynny udział. Jego życiową ambicją jest wchodzić innym w drogę i zbierać przekleństwa. Jeśli może wkręcić się tam, gdzie go bynajmniej nie proszą, bruździć ile się da, doprowadzać ludzi do szaleństwa, tak żeby rzucali w niego czym popadnie, Montmorency uważa, że nie zmarnował tego dnia swego życia.

Wleźć komuś pod nogi, żeby się potknął i przez godzinę bez chwili wytchnienia obrzucał go przekleństwami — oto szczyt marzeń Montmorency'ego. Kiedy uda mu się tego dopiąć, robi się nieznośnie zarozumiały.

Podchodził zatem i siadał na rzeczach, które właśnie miały być pakowane. Był niezłomnie przekonany, że ilekroć

Harris lub Jerzy sięgali po coś ręką, szukali tylko jego zimnego i wilgotnego nosa. Wdepnął jedną łapą w dżem, czepiał się łyżek do herbaty, ubrdał sobie, że cytryny to szczury, wskoczył do kosza i uśmiercił trzy sztuki, nim Harris zdążył palnąć go w łeb patelnią.

Harris zarzucił mi, że ja go do tego podszczuwam. Ale ani słowo zachęty nie padło z moich ust. Takiemu psu nie trzeba zachęty. Urodził się z tym, taka jest jego grzeszna natura i ta natura pcha go do czynów bezecnych.

Pakowanie skończyło się o godzinie 0.50. Harris siadł na wielkim koszu i wyraził nadzieję, że nic się nie stłucze. Jerzy dodał, iż jeśli coś będzie stłuczone, niechybnie było już stłuczone. Ta refleksja wyraźnie dodała mu otuchy. Potem Jerzy oświadczył, że chce mu się spać. Nam też się chciało. Ponieważ Harris miał nocować u nas, poszliśmy wszyscy na górę.

Rzuciliśmy monetę i wylosowaliśmy łóżka. Harris miał spać ze mną. Zapytał mnie:

— Czy wolisz spać przy ścianie, czy na zewnątrz, Jerome?

Odparłem, że na ogół wolę spać w łóżku niż na dworze. Harris stwierdził, że to stary kawał.

— O której mam was, chłopcy, obudzić? — zapytał Jerzy.

Na to Harris:

— O siódmej. A ja:

— Nie, o szóstej, bo chcę rano napisać jeszcze parę listów.

Trochę się na ten temat posprzeczałem z Harrisem, więc przepołowiliśmy sporną godzinę.

— Obudzisz nas o pół do siódmej — powiedzieliśmy Jerzemu.

Jerzy nic nie odpowiedział. Po sprawdzeniu okazało się, że zdążył już zasnąć. Postawiliśmy więc wanienkę z zimną wodą tak, żeby rano prosto z łóżka wszedł do kąpieli, i poszliśmy spać.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Pani P. budzi nas. Jerzy, ospalec. Szachrajskie „prognozy pogody”. Nasz bagaż. Zdemoralizowany chłopczyk. Tłum się zbiera wokół nas. Odjeżdżamy z paradą i przybywamy na stację Waterloo. Funkcjonariusze Kolei Południowo-Zachodniej nic nie wiedzą o tak przyziemnych rzeczach jak pociągi. Płyniemy, płyniemy na odkrytej łodzi.

Na drugi dzień rano obudziła mnie pani Poppets.

— Czy pan łaskawy wie, że dochodzi dziewiąta godzina?

— Dziewiąta co? — krzyknąłem zrywając się z łóżka.

— Dziewiąta godzina — odparła pani P. przez dziurkę od klucza. — Pan pewnikiem zaspał.

Obudziłem Harrisa i powiedziałem mu, że dziewiąta.

— Ty, zdaje się, chciałeś wstać o szóstej? — zapytał.

— Ano właśnie — odparłem. — Czemuś mnie nie obudził?

— Jak cię miałem budzić, kiedy tyś mnie nie obudził? — odparował. — Teraz dostaniemy się na wodę dopiero po dwunastej. Że też w ogóle chciało ci się wstać!

— Hm — odparłem. — Miałeś szczęście, że mi się chciało. Gdybym cię nie obudził, przeleżałbyś tu dwa tygodnie jak nic.

W tym duchu warczeliśmy na siebie jeszcze przez parę minut, aż przerwało nam wyzywające chrapanie Jerzego. To nam przypomniało o jego istnieniu. Oto leżał tam, ten sam, który się pytał, kiedy ma nas obudzić; leżał na grzbiecie, usta miał szeroko otwarte, a kolana zadarł w górę.

Nie wiem, dlaczego tak się dzieje, lecz widok śpiącego człowieka, kiedy sam już jestem na nogach, działa mi na nerwy. Oburzenie ogarnia mnie, gdy widzę, jak bezcenne

godziny życia ludzkiego — chwile na wagę złota, które nigdy nie wrócą — marnują się w czasie snu godnego bydlęcia.

Oto właśnie Jerzy, obrzydliwie gnijąc w łóżku, zaprzepaszcza boski dar czasu. Jego cenne życie, z którego za każdą sekundę będzie musiał zdać rachunek na tamtym świecie, ucieka mu — nie wykorzystane. Mógłby przecie już się nabijać jajkami na boczku, drażnić psa, przystawiać się do dziewczęcia na służbie — zamiast rozciągać się tu, zatopiony w zapomnieniu, które spętało mu duszę.

Straszna była to myśl. Przyszła obu nam do głowy równocześnie. Postanowiliśmy ratować

Jerzego i pod wpływem tej szlachetnej decyzji wybaczyliśmy sobie z Harrisem nasze wzajemne urazy. Doskoczyliśmy do łóżka, zdarliśmy kołdrę ze śpiącego, Harris przypalantował mu pantoflem, ja huknąłem mu do ucha. Ocknął się.

— Popepało? — wybełkotał siadając na łóżku.

— Wstawaj, durna kłodo! — ryknął Harris. — Za piętnaście dziesiąta.

— Co?!—krzyknął Jerzy i wskoczył do wanienki... — Kto, psiakrew, to tu postawił?

Wyjaśniliśmy mu, że tylko tuman może nie zauważyć wanny przed łóżkiem.

Ubraliśmy się szybko. Kiedy przyszła kolej na zabiegi kosmetyczne, przypomnieliśmy sobie, że zapakowaliśmy szczoteczki do zębów, szczotkę i grzebień (ta szczoteczka wpędzi mnie do grobu, jestem tego pewien), trzeba więc było zejść na dół i wyłowić je z walizy. Gdyśmy już się z tym uporali, Jerzemu zachciało się przyborów do golenia. Odparliśmy, że tym razem będzie musiał wyjść z domu nie ogolony, bo nam ani się śni na nowo wszystko rozpakowywać dla czyjegoś tam widzimisię.

— Nie mówcie głupstw — nalegał. — Przecież w tym stanie nie mogę iść do City!

Oblicze Jerzego istotnie nie pasowało do City,ale cóż nas obchodziły ludzkie cierpienia? Harris w niewybrednym i

prostackim jak zwykle języku sformułował swą propozycję pod adresem City.

Zeszliśmy na śniadanie. Montmorency zaprosił dwa psy, żeby przyszły rano i odprowadziły go na stację. Cała trójka skracała sobie czas żrąc się na progu. Uspokoiliśmy ją za pomocą parasola, po czym zasiedliśmy do kotlecików i wołowiny na zimno.

Harris powiedział:

— Ważką jest rzeczą zjeść dobre śniadanko — i zaczął od dwóch kotletów, oświadczając, iż trzeba się nimi zająć, póki są gorące, a wołowina może poczekać.

Jerzy przyniósł gazetę. Zaczął nam czytać kronikę nieszczęśliwych wypadków na łódkach i prognozę pogody na dzień dzisiejszy, która zapowiadała: „Deszcz, zimno, krótkie rozpogodzenia (nie ma nic okropniejszego), przelotne lokalne burze, wiatr wschodni, niż nad hrabstwami południowymi (zwłaszcza Londyn i Kanał). Barometr opada”.

Jestem głęboko przekonany, że wśród wszystkich głupstw i irytujących bzdur, jakie nas dręczą, oszustwo zwane „prognozą pogody” należy do najbardziej cynicznych. „Przepowiada się” akurat to, co było wczoraj lub dwa dni temu, a zawsze coś wręcz odwrotnego niż to, co będzie dzisiaj.

Pamiętam, jak raz późną jesienią doszczętnie zmarnowałem dzień wypoczynku tylko dlatego, że liczyliśmy się ze wzmianką o pogodzie zamieszczoną w miejscowej prasie. „Czekają nas dziś ulewne deszcze i burze z piorunami” — głosiła notatka w poniedziałkowej gazecie. Zrezygnowaliśmy więc z wycieczki i cały dzień siedzieliśmy w domu, czekając na deszcz. A pod naszym oknem ludzie jechali bryczkami i dyliżansami za miasto, radośni i weseli jak ptaszęta, słoneczko przyświecało i ani jednej chmurki nie ujrzałbyś na niebie.

— Ach! — mówiliśmy do siebie stojąc przy oknie i patrząc na tę procesję. — Wrócą do domu zmoczeni jak kury!

Chichocząc na myśl, jak tamci zmokną, odeszliśmy od okna i podsyciliśmy ogień na kominku. Sięgnęliśmy po książki. Porządkowaliśmy nasze zbiory wodorostów i muszelek. Koło dwunastej słońce zalało cały pokój. Upał był nie do wytrzymania, a my tylko czekaliśmy, kiedy zaczną się owe ulewne deszcze i przelotne burze z piorunami.

— Ach, zobaczysz, przyjdą po południu — zapewnialiśmy się wzajemnie. — Ale ludziska zmokną! A to ci heca!

O pierwszej przyszła nasza gospodyni i zapytała, czy wyjdziemy z domu, bo taka cudna pogoda.

— Nie, nie — odparliśmy z chichotem, który wiele dawał do myślenia. — Broń Boże. Nie chcemy zmoknąć do suchej nitki, nie ma głupich.

Kiedy już miało się ku wieczorowi, a deszczu jakoś nie było widać, usiłowaliśmy pocieszyć się nadzieją, że lunie z jasnego nieba, właśnie gdy ludzie ruszą w drogę powrotną i znajdą się w szczerym polu, zmokną więc tak, że będą mieli dość za wszystkie czasy. Ale nie spadła z nieba ani jedna kropla. Skończył się wspaniały dzień i nadeszła cudowna noc.

Nazajutrz rano wyczytaliśmy w porannej gazecie, że zapowiada się „ciepły, jasny, pogodny dzień, a nawet upał”. Ubraliśmy się więc przewiewnie i wyszliśmy na spacer. W pół godziny po naszym wyjściu zaczęło lać jak z cebra i zerwał się wiatr przejmujący dreszczem. Obydwa te zjawiska atmosferyczne trwały przez cały dzień. Wróciliśmy do domu przeziębieni i z reumatycznym rwaniem w całym ciele. W takim stanie poszliśmy spać.

Pogoda jest rzeczą, do której moja głowa jest nie dość mocna. Nic z tego nie rozumiem. Z barometru nie ma żadnego pożytku: zwodzi człowieka tak samo jak gazetowe prognozy pogody.

Wisiał taki barometr w pewnym hotelu w Oksfordzie, w którym zatrzymałem się zeszłego roku na wiosnę. Kiedy tam przybyłem, wskazywał „na pogodę”. Na dworze wręcz lało i nie przestało lać do wieczora. Nie mogłem tego zrozumieć.

Szturchnąłem barometr parę razy — wskazówka skoczyła w górę i zatrzymała się na „suszy”. Przechodził właśnie korytarzem służący, przystanął i powiedział, że to pewnie pogoda na jutro. Mnie się zdawało, że to pogoda sprzed dwóch tygodni, ale służący nie zgodził się ze mną. „Chyba nie” — rzucił.

Rankiem następnego dnia znów poklepałem barometr. Poszedł jeszcze wyżej, a równocześnie na dworze deszcz przybrał na sile. W środę jeszcze raz dałem mu w łeb. Wskazówka zatoczyła łuk i minąwszy „pogodę”, „suszę” i „upał” zatrzymała się tam, gdzie barometr się kończył.

Robiła, co mogła, lecz instrument tak był zbudowany, że gdyby chciał jeszcze dobitniej zapowiedzieć piękną pogodę, musiałby pęknąć. Wskazówka najwyraźniej życzyła sobie iść dalej i przepowiedzieć posuchę, klęskę braku wody, udary słoneczne, ogniste samumy i tym podobne, ale napotkała opór i musiała się zadowolić wskazaniem na banalne: „bardzo sucho”.

Tymczasem deszcz bez przerwy lał strumieniami, rzeka wystąpiła z brzegów i niżej położona część miasta stanęła pod wodą.

Służący powiedział, że z wszelką pewnością będziemy mieli kiedyś dłuższy okres wspaniałej pogody, i odczytał mi krótki poemat wydrukowany na górze wyroczni:

Długie czekanie — stała pogoda. Zgadnąć na jutro — czasu szkoda.

Tego lata nie doczekaliśmy się jednak pięknej pogody. Pewnie maszynka do zgadywania miała na myśli wiosnę w przyszłym roku.

Są jeszcze barometry nowego fasonu: długie i proste. Na nich już ani w ząb się nie wyznaję. Po jednej stronie oznaczona jest dziesiąta godzina wczoraj rano, a po drugiej dziesiąta rano dzisiaj. Ale, jak wiadomo, nie sposób codziennie wstawać tak wcześnie. Barometr ten idzie w górę lub opada zarówno na deszcz, jak na pogodę, wiatr i ciszę, na jednym końcu napisane jest Nly, a na drugim Ely (a cóż

to za ele, mele, dudki?), ale jak się go poklepie, to w ogóle nic nie pokazuje. Trzeba jeszcze zrobić poprawkę zależnie od wysokości ponad poziomem morza i przeliczyć stopnie Celsjusza na Fahrenheita — i dopiero wtedy jestem ciemny jak tabaka w rogu.

Któż jednak chce jeszcze wiedzieć, jaka będzie pogoda? Wystarczy, że kiedy nadejdzie, jest zła, po cóż więc zawczasu się tym martwić? Za to lubimy proroków pokroju owego staruszka, który w ponury ranek, kiedy bardzo by nam zależało na pięknej pogodzie, ogarnia horyzont okiem znawcy i powiada:

— Och, nie, panie szanowny. Na pewno pięknie się wypogodzi. To przejdzie, drogi panie.

O, ten to się zna — myślimy. Mówimy mu ,,do widzenia” i idziemy dalej. Aż dziw bierze, jak ci starsi panowie umieją przepowiadać pogodę.

Naszej sympatii do staruszka wcale nie zmniejsza fakt, że się n i e rozpogodziło i że deszcz leje przez cały dzień.

— Ha, trudno — mówimy sobie. — Zrobił, co mógł.

Natomiast do jegomościa, który przepowiada słotę, czujemy gorzki żal i z przyjemnością wzięlibyśmy na nim odwet.

— Przejaśnia się, prawda? — wołamy wesoło, mijając go na ulicy.

— Skądże znowu, panie drogi! To się zaciągnęło na cały dzień — odpowiada potrząsając głową.

— Stary dureń! — mruczymy pod nosem. — Cóż on się na tym zna? — Jeśli zaś jego wróżba się spełni, wracamy do domu z jeszcze większą złością do faceta i z niewyraźnym podejrzeniem, że tak czy inaczej maczał w tym palce.

Dzisiaj ranek był tak jasny i tak słoneczny, żeśmy zbyt nie brali sobie do serca skądinąd mrożących krew w żyłach wiadomości, które czytał nam Jerzy. Było tam, że „barometr opada”, a dalej szły „zaburzenia atmosferyczne, przebiegające przez południową Europę”. Widząc, że nie da rady nas złamać na duchu i traci czas na próżno, Jerzy

podwędził papierosa, którego starannie sobie skręciłem, i poszedł.

Wobec tego wykończyliśmy nędzne resztki, które zostały po nim na stole, wynieśliśmy bagaż przed bramę i czekaliśmy na dorożkę.

Gdyśmy cały bagaż ułożyli razem, okazało się, że jest tego niemało. Były tam: wielka waliza, mała torba podróżna, dwa kosze i gruby zwój koców, cztery lub pięć narzutek i nieprzemakalnych płaszczy, kilka parasoli oraz melon, sam jeden w worku, bo zbyt był pękaty, aby wlazł gdzie indziej, parę funtów winogron w drugim woreczku, japońska parasolka z papieru i patelnia takich rozmiarów, że nigdzie się nie mieściła, i dlatego zapakowaliśmy ją w papier.

Całość robiła duże wrażenie. Harris i ja zaczęliśmy się tego wstydzić, sam nie wiem z jakiej racji.

Dorożki jakoś nie było widać, za to zaczęli pojawiać się ulicznicy. Najwyraźniej zaciekawieni tym widowiskiem, przystawali przed naszym domem.

Pierwszy nadbiegł zza rogu chłopak od Biggsa. Biggs jest naszym dostawcą warzyw. Ten pan odznacza się szczególnym darem korzystania z usług chłopców na posyłki, którzy należą do najbardziej zaniedbanej i wykolejonej młodzieży, jaką wyhodowała cywilizacja. Jeśli jakieś nieprzeciętne łajdactwo w guście wyrostków wystrzeli w naszym sąsiedztwie, wiemy już, że jest to dzieło ostatniego nabytku Biggsa. Opowiadano mi, że swego czasu, kiedy popełnione zostało głośne morderstwo na Great Coram Street, cała nasza ulica od razu orzekła, że jest to sprawka chłopca (ówczesnego) od Biggsa, i gdyby nie fakt, iż na krzyżowy ogień pytań, w jaki wzięła go pani spod numeru 19, gdy w dzień po morderstwie przyszedł do niej rankiem po zamówieniu (w śledztwie wzięła również udział pani spod numeru 21, która właśnie stała na progu swego domu) — otóż gdyby nie fakt, że na ten straszny krzyżowy ogień chłopak przedstawił niezbite alibi, niewątpliwie źle by to się dla niego skończyło. Nie znałem tamtego chłopca od

Biggsa, ale — sądząc z tego, co znacznie później widziałem na własne oczy — osobiście nie przywiązywałbym zbyt wielkiej wagi do jego alibi.

A więc chłopak od Biggsa —jak już wspomniałem — wybiegł zza rogu. Najwyraźniej bardzo mu się śpieszyło, kiedy się pokazał na widowni, ale ledwie ujrzał Harrisa, mnie, Montmorency'ego i nasze rzeczy, od razu przyhamował i wybałuszył na nas oczy. Harris i ja groźnie zmarszczyliśmy brwi pod jego adresem. Bardziej subtelna natura uczułaby się głęboko dotknięta naszym spojrzeniem, jednakże chłopcy od Biggsa bynajmniej nie grzeszą nadmierną wrażliwością. Chłopak stanął jak wryty w odległości jarda od schodków, na których nas ujrzał, oparł się o sztachety,wyszukał sobie jakąś słomkę i nie spuszczając nas z oka zaczął ją żuć. Niewątpliwie postanowił czekać na ciąg dalszy. W chwilę potem po drugiej stronie ulicy pojawił się chłopak ze sklepu kolonialnego. Ten od Biggsa zawołał:

— Słuchaj! Faceci z parteru pod 42 wyprowadzają się.

Tamten przebiegł ulicę i zajął stanowisko po drugiej stronie schodków. Wówczas młody dżentelmen od szewca stanął przed naszym domem i przyłączył się do chłopca od Biggsa, a starszy pomocnik młodszej pomywaczki z gospody „Pod Niebieskimi Słupkami” zajął samodzielną pozycję na krawędzi trotuaru.

— Głodować to oni nie będą, co? — powiedział młody dżentelmen od szewca.

— Nie ma obawy! Ty byś też wziął ze sobą coś niecoś — odparował „niebieskie słupki” — jakbyś miał się przeprawić przez Atlantyk w małej łódce.

— Ale oni nie wybierają się za ocean — wtrącił chłopak od Biggsa — tylko jadą szukać Stanleya.

Tymczasem zebrała się spora gromadka i ludzie pytali jeden drugiego, co się stało. Część (młodsi i tacy, co im fiu-fiu w głowie) utrzymywała, że to wesele, i wskazywała na Harrisa jako pana młodego; starszy i bardziej stateczny

odłam gawiedzi skłaniał się ku poglądowi, że to będzie pogrzeb i że ja wyglądam na brata nieboszczyka.

Wreszcie zza rogu wyjechała pusta dorożka (jest to ulica, którą stale, kiedy nie są potrzebne, przejeżdżają puste dorożki w regularnych odstępach trzy na minutę; czyhają tu na pasażerów i tarasują drogę pieszym), więc zapakowaliśmy siebie i nasz dobytek, po czym wyrzuciliśmy na zbity łeb obu przyjaciół Montmorency'ego, którzy najwyraźniej poprzysięgli, że nigdy go nie opuszczą, i ruszyliśmy wśród wiwatów tłumu, a chłopak od Biggsa rzucił za nami marchewkę na szczęście.

Na stację Waterloo przybyliśmy o jedenastej i zapytaliśmy, gdzie stoi pociąg „jedenasta pięć”. Nikt, oczywiście, nie wiedział. Na tej stacji nigdy nie wiedzą, z którego peronu pociąg odchodzi ani dokąd zmierza, jeśli rzeczywiście ma odejść, i w ogóle o niczym nie mają pojęcia. Tragarz, który zabrał nasze rzeczy, uważał, że pociąg odejdzie z peronu drugiego, a jego kolega, z którym omówił ten problem, słyszał pogłoskę, że z peronu pierwszego. Natomiast naczelnik stacji był przekonany, że pociąg odejdzie z peronu podmiejskiego.

Aby z tym skończyć, poszliśmy na górę i zapytaliśmy się dyżurnego ruchu, który powiedział nam, że właśnie spotkał kogoś, kto zapewniał, iż widział ten pociąg na peronie trzecim. Pobiegliśmy tam, ale miejscowe czynniki oficjalne poinformowały nas, że skłonne są uważać ten pociąg za ekspres do Southampton, a jeżeli nie, to jest to pewnie windsorska „pętelka”. W każdym razie — zapewniały czynniki — nie jest to pociąg do Kingston, ale skąd ta pewność, czynniki nie umiały wyjaśnić.

Wówczas nasz tragarz powiedział, że to będzie na pewno górny peron, i oświadczył, że zna ten pociąg. Poszliśmy więc na górny peron, zobaczyliśmy się z maszynistą i zapytaliśmy, czy nie jedzie przypadkiem do Kingston. Odparł, że nie wie na pewno, ale chyba tak. W każdym razie, jeśli — jak się wyraził — nie jest to „11.05 do Kingston”, to

chyba będzie „9.32 do Virginia Water” albo „ekspres 10.00 na Isle of Wight” lub do jakiejś miejscowości w tymże kierunku, a wszystkiego się dowiemy, jak przyjedziemy na miejsce. Daliśmy mu w łapę pół korony, prosząc, żeby zechciał być „11.05 do Kingston”.

— Nikt tutaj nie ma pojęcia — mówiliśmy — kiedy, dokąd i czym ma pan pojechać. Drogę pan zna, może pan spokojnie nawiać stąd i pojechać do Kingston.

— Ano, sam nie wiem, szanowi panowie — odparł zacny obywatel. — Ale jakieś pociągi muszą chodzić do Kingston, znakiem tego — zrobi się. Dawajcie jeszcze pół korony.

W ten sposób dostaliśmy się do Kingston dzięki towarzystwu „Koleje Londyńskie i Południowo-Zachodnie”.

Potem dowiedzieliśmy się, że pociąg, którym jechaliśmy, był w gruncie rzeczy pociągiem pocztowym do Exeter i że przez wiele godzin szukano go na stacji Waterloo, nikt jednak nie miał pojęcia, gdzie się zapodział.

Łódka czekała na nas w Kingston pod samym mostem. Podążyliśmy tam, wpakowaliśmy bagaż i sami też wmaszerowaliśmy na łódkę.

— Gotowe? — zapytał właściciel łódki.

— Gotowe! — krzyknęliśmy.

Z Harrisem przy wiosłach, ze mną przy linkach sterowych, Montmorencym, nieszczęśliwym i pełnym najgorszych obaw, na dziobie — wypłynęliśmy na wody, które przez dwa tygodnie miały być naszym domem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kingston. Pouczające uwagi o dawnych dziejach Anglii. Trafne refleksje na temat rzeźbionego dębu i życia, i w ogóle. Smutna historia Stivvingsa, juniora. Rozmyślania o starożytności. Zapominamo tym, że siedzę przy sterze. Interesujący rezultat. Labirynt w Hampton Court. Harris w roli przewodnika.

Był to cudowny poranek. Nadeszła późna wiosna albo wczesne lato, jak kto woli, kiedy delikatna jasność trawy i liści przechodzi w zieleń bardziej soczystą, a rok przypomina młode i piękne dziewczątko, które oblatują tajemne dreszcze, gdy budzi się w nim kobieta.

Dziwaczne uliczki Kingston, biegnące w dół ku brzegowi wody, wyglądały wcale malowniczo w blasku słońca. Roziskrzona rzeka, unoszone przez nią barki, ścieżka holownicza wśród drzew, szykowne wille na drugim brzegu, Harris w czerwono-pomarańczowym blezerze, sapiący przy wiosłach, ledwie widoczny, szarzejący w dali stary zamek Tudorów—wszystko to układało się w słoneczny pejzaż, tak pełen światła, lecz spokojny, tak pełen życia, a jednak cichy, że choć pora była wczesna, uległem nastrojowi sennej kołysanki i oddałem się marzeniom.

Dumałem o Kingston, czyli o „Kiningestun”, jak się ongiś zwało, w czasach, kiedy saksońscy „króle” tam się koronowali. Tu wielki Cezar przekroczył rzekę, a rzymskie legiony obozowały na wzgórzach chylących się ku jej wodom. Cezar, podobnie jak w późniejszych czasach Elżbieta, musiał wszędzie się pokazać. Bardziej jednak uważał na siebie niż zacna królowa Ela — do oberż nie zajeżdżał.

Miała bowiem szczególne zamiłowanie do gospód nasza angielska Królowa Dziewica. W promieniu dziesięciu mil od Londynu nie ma chyba jednej uczęszczanej oberży, do której Elżbieta by kiedyś nie zajrzała albo gdzie by się nie zatrzymała lub nie spała. Ciekaw jestem, gdyby Harris, dajmy na to, rozpoczął nowe życie, stał się wielkim i zacnym człowiekiem, no i został premierem, a potem umarł, czy umieszczono by nad wejściem do knajp, którym udzielał swego poparcia, napisy w rodzaju: „Harris wypił tu jedną gorzką”, „Harris wychylił tutaj dwie szkockie whisky w lecie 1888 r.” albo: „Harrisa wyrzucono z tego szynku w grudniu 1886 r.”

O nie, za dużo by tego było! Właściwie największy rozgłos zdobyłyby lokale, gdzie jego noga nie postała. „Jedyna gospoda w południowym Londynie, w której Harris nie pił ani razu!” Naród cisnąłby się tam zobaczyć, co to za licho.

Jakże musiał nienawidzić Kingston biedny, nie nazbyt mądry król Edzio! Uroczystości koronacyjne okrutnie mu dojadły. Może nie znosił głowy dzika nadziewanej łakociami (ja bym też tego nie wytrzymał, to pewne), może dość miał win hiszpańskich i miodu, w każdym razie wymknął się z hucznej zabawy, aby w cichą noc księżycową spędzić godzinę sam na sam ze swą ukochaną Elgiwą.

Pewnie stali przy wielkim oknie i trzymając się za ręce wpatrywali się w łagodny odblask księżyca na wodach rzeki, a z odległych komnat dochodziły ich słabe odgłosy wrzawy, jaką wzniecali hałaśliwi biesiadnicy.

Nagle brutalny Odo i Saint-Dunstan wdarli się do cichego pokoju, bryznęli potokiem grubiańskich słów w pełną słodyczy twarz królowej i zaciągnęli biednego Edzia z powrotem do rozhukanej pijanej czeredy.

Minęły lata. Saksońscy królowie zeszli do grobu przy wtórze bębnów bitewnych, a wraz z nimi pogrzebano saksońskie hulanki. Na jakiś czas poszła w zapomnienie wielkość tego miasta, ale znów odżyła, kiedy Hampton Court został pałacem Tudorów i Stuartów. Królewskie barki

cumowały wtedy przy brzegu Tamizy, a pyszni kawalerowie w strojnych szatach schodzili po schodkach nad rzekę i wołali:

— Hej, prom! A żywo! Do krocset tysięcy! Wiele starych domów wokół pałacu pamięta czasy, kiedy Kingston był grodem królewskim, kiedy wielcy panowie i dworzanie mieszkali tu, blisko swego króla, a długa aleja wiodąca do bram pałacowych przez cały dzień wesoło rozbrzmiewała szczękiem oręża, stukotem kopyt tańczących wierzchowców, szelestem jedwabiów i aksamitów, śmiechem pięknolicych niewiastek. Te wielkie i obszerne domy z wykuszami, witrażami w oknach, ogromnymi kominkami i spiczastymi dachami budzą wspomnienia epoki pończoch i kaftanów, gorsetów wyszywanych perłami i tajemnych zaklęć. Wzniesiono te domy w czasach, kiedy ludzie wiedzieli, jak należy budować. Twarde czerwone cegły z biegiem czasu stały się jeszcze mocniejsze, dębowe schody nie skrzypią i nie jęczą, gdy chcesz zejść nimi po cichu.

Dębowe schody przypomniały mi, że w jednym tutejszym domu są wspaniałe schody z rzeźbionego dębu. Dom ten stoi na rynku i teraz jest tam sklep, ale dawniej musiała w nim mieszkać jakaś wielka persona. Mój przyjaciel, który mieszka w Kingston, wszedł kiedyś do tego sklepu, żeby kupić sobie kapelusz, i tak się zamyślił, że sięgnął ręką do kieszeni i bez słowa zapłacił żywą gotówką.

Właściciela sklepu (dobrze znał on mego przyjaciela) trochę to oszołomiło, lecz szybko odzyskał przytomność umysłu i zdając sobie sprawę z tego, że należy coś zrobić, aby zachęcić klienta do kupowania kapeluszy za gotówkę, zapytał bohatera tej historii, czy zechciałby zobaczyć parę okazów rzeźbionego dębu. Mój przyjaciel odparł, że owszem, wobec czego kapelusznik przeprowadził go przez sklep i zawiódł po schodach na górę. Słupki, na których wspierała się poręcz, stanowiły majstersztyk rzeźbiarstwa, a cała ściana pokryta była rzeźbami w drewnie, jakich by się żaden pałac nie powstydził.

Ze schodów przeszli do bawialni, dużej i jasnej izby, obitej nieco krzykliwymi, ale wesołymi niebieskimi tapetami. W izbie tej nie było nic godnego uwagi i mój przyjaciel dziwił się, po co go tu przyprowadzono. Gospodarz podszedł do ściany i postukał palcem w tapetę. Odezwało się drewno.

— Dąb — objaśnił. — Wszędzie aż po sufit rzeźbiony dąb, ten sam, jaki pan widział na schodach.

— Na prochy wielkiego Cezara, człowieku! — wybuchnął oburzeniem mój przyjaciel. — Nie chce pan chyba powiedzieć, żeś dąb rzeźbiony pokrył niebieską tapetą?

— Owszem — brzmiała odpowiedź. — Bardzo mnie to dużo kosztowało. Musiałem, rzecz prosta, najpierw starannie wykleić ściany deszczułkami, żeby grunt pod tapety był równy. Ale teraz pokój jest wesolutki. A przedtem był ponury jak nieszczęście.

Nie mogę powiedzieć, bym bezwzględnie potępiał tego człowieka (to oświadczenie niewątpliwie podtrzyma go na duchu). Patrząc na sprawę z jego punktu widzenia, punktu widzenia przeciętnego właściciela domu, który pragnie żyć jak można najprzyjemniej i nie jest maniakalnym kolekcjonerem osobliwych antyków, trzeba mu przyznać słuszność. Bardzo miło jest spojrzeć na rzeźbiony dąb, a nawet mieć odrobinę tego w domu, ale mieszkając w takim otoczeniu można dostać lekkiej melancholii, jeśli się nie jest amatorem staroświecczyzny. Bo to tak, jakbyśmy zamieszkali w kościele.

Nie o to chodzi. Smutne jest to, że człowiek, który niewiele sobie robi z rzeźbionego dębu, akurat musiał mieć wyłożoną nim całą bawialnię, a inni, dlatego że przepadają za rzeźbionym dębem, muszą płacić za niego ciężkie pieniądze. Na tej zasadzie oparty jest zresztą cały nasz świat. Każdy ma to, na czym mu najmniej zależy, a los daje jednemu to, czego drugi pragnie najgoręcej.

Ludzie żonaci posiadają żony, choć wcale tego sobie nie życzą, a młodzi samotni mężczyźni skarżą się, że nie mogą ich dostać. Biedacy sami nie bardzo mają co włożyć do ust,

a tu trzeba dać jeść ośmiu pociechom. Stare bogate małżeństwa umierają bezpotomnie i nie mają komu zostawić swych pieniędzy.

Podobnie rzecz ma się z dziewczętami i ich kochankami. Te, co mają kawalerów, wcale o nich nie dbają. Mówią, że wolałyby żyć samotnie, że chłopcy śmiertelnie je nudzą, pytają, dlaczego jeden z drugim nie obdarzą swą miłością panny Smith i panny Brown, skoro obie te biedule, niełądne i niemłode, nie mają żadnego chłopca. Osobiście nie chcą mieć kochanków. Małżeństwo też ani im w głowie.

Lepiej nie rozwodzić się na ten temat, bo tylko człowieka smutek ogarnia.

Był w naszej szkole chłopiec, którego nazywaliśmy Sandford i Merton. W rzeczywistości zwał się Stivvings. W życiu swym nie spotkałem bardziej niezwykłego chłopaka. Jestem przekonany, że on naprawdę lubił się uczyć. W domu miewał straszne awantury o to, że nocami siedział w łóżku i uczył się greki, a od francuskich czasowników nieregularnych po prostu nie można go było oderwać. Nabił sobie głowę nieludzką i niezdrową ambicją: chciał być chlubą rodziców i dumą swej szkoły. Marzył o tym, żeby zdobyć nagrodę za naukę, a potem dorosnąć i być mądrym człowiekiem — roiło mu się w głowie od tym podobnych idiotycznych pomysłów. W życiu nie widziałem drugiego takiego cudaka, zresztą niewinnego, słowo daję, jak noworodek.

Otóż ten chłopczyna dwa razy na tydzień chorował i nie mógł iść do szkoły. Żadnego chłopaka choroby się tak nie imały jak tego Sandforda i Mertona. Jeśli tylko w promieniu dziesięciu mil pokazała się jakaś choroba, Stivvings zaraz musiał ją mieć ze wszystkimi komplikacjami. W czasie kanikuły dostawał bronchitu, na Boże Narodzenie miewał katar sienny. Po sześciu tygodniach posuchy walił go z nóg ostry atak reumatyzmu, a kiedy wychodził z domu w listopadową mgłę, wracał z porażeniem słonecznym.

Pamiętam, jak pod gazem rozweselającym wyrwano biedakowi wszystkie zęby. Wstawiono mu sztuczne szczęki, bo cierpiał szalone bóle zębów. Ale on natychmiast przeszedł na bóle newralgiczne i rwanie w uchu. Stale miał katar, wyjąwszy dziewięciotygodniową przerwę, kiedy przechodził szkarlatynę. Bez końca ulegał odmrożeniom. Gdy w roku 1871 wybuchła wielka epidemia cholery, jakoś ominęła nasze strony. W całej parafii zanotowano tylko jeden przypadek — był tym przypadkiem młody Stivvings.

W czasie choroby Stivvings musiał leżeć w łóżku, zajadać kurczaki, kogel-mogel i cieplarniane winogrona. Leżała ofiara w łóżku i łkała, że nie pozwalają jej odrabiać lekcji łaciny i że zabrali gramatykę niemiecką.

A my, wszyscy inni chłopcy, oddalibyśmy dziesięć trymestrów naszego szkolnego życia za to, żeby przechorować choć jeden dzień, i ani nam się śniło dawać rodzicom pole do dumy z potomstwa — lecz nie mogliśmy się nabawić nawet głupiego zdrętwienia karku. Wyprawialiśmy dzikie harce na przeciągach, co wychodziło nam na zdrowie i działało na nas odświeżająco. Pożeraliśmy różne świństwa chcąc rozstroić sobie żołądki — tyliśmy od tego i dostawaliśmy szalonego apetytu. Nie było siły ani sposobu na to, żeby zachorować, póki nie zaczęły się wakacje.

Od razu w dniu zakończenia nauki przeziębialiśmy się, dostawaliśmy kokluszu i wszelkich innych chorób, które nie opuszczały nas aż do początku nowego roku szkolnego. Wówczas, mimo przeróżnych manewrów z naszej strony, nagle wracaliśmy do zdrowia i mieliśmy się świetnie.

Takie jest życie. Niczym się nie różnimy od trawy, którą koszą, pchają do pieca i suszą.

Wracając do zagadnienia rzeźbionego dębu, trzeba powiedzieć, że ci nasi pra-pra-pradziadkowie musieli mieć zdrowe poglądy na sztukę i piękno. Wszystkie bowiem nasze dzisiejsze skarby sztuki nie są niczym innym jak przedmiotami codziennego użytku sprzed trzech lub

czterech setek lat. Wątpię, czy owe stare talerze, kufle i szczypce do świec, które tak wysoko cenimy, są same w sobie piękne. A może uroku w naszych oczach dodaje im jedynie aureola wieków, jaka je otacza. Stara porcelana saska, którą obwieszamy dla ozdoby ściany naszych pokojów, była paręset lat temu zwykłą, codzienną zastawą stołową; różowi pasterze i żółte pasterki, które tak chętnie dajemy potrzymać naszym przyjaciołom, aby mogli rozpływać się nad nimi i udawać znawców, pełniły kiedyś rolę bezwartościowych ozdób na gzymsie kominka, dawanych przez osiemnastowieczne mamusie do ssania płaczącym dzieciakom.

Czy tak samo będzie w przyszłości? Czy cennymi skarbami dnia dzisiejszego zawsze będą wczorajsze tanie błahostki? A może rzędy naszych popularnych talerzy z malowankami „chińskimi” będą wisiały nad kominkami wielmożów w roku 2000 i lat następnych? Albo białe filiżanki ze złotym szlaczkiem i cudnym złotym kwiatem (nie mającym odpowiednika w naturze) w środku, które nasza Marysia tłucze z tak lekkim sercem — pewnie będą kiedyś pieczołowicie klejone, staną na konsolce i tylko pani domu mieć będzie prawo wycierania ich z kurzu.

Na przykład ten pies z porcelany, który zdobi sypialnię mojego mieszkania. Pies jest biały. Oczy ma niebieskie. Nos delikatnie czerwony w czarne plamki. Głowę zadarł z widocznym wysiłkiem, a wyraz pyska jest tak przymilny, że aż głupi. Ja tam się nad tym psem nie rozpływam.

Jako dzieło sztuki irytuje mnie, wyznam to szczerze. Moi beztroscy przyjaciele pokpiwają sobie z niego, a nawet sama gospodyni nim się nie zachwyca i na usprawiedliwienie jego obecności w moim pokoju przytacza fakt, że jest to prezent od ciotki.

Jest jednak więcej niż prawdopodobne, że za 200 lat mój pies zostanie gdzieś wykopany — bez nóg i z odłamanym ogonem — sprzedadzą go jako starą porcelanę i wstawią do szklanej gablotki. Ludzie będą chodzili naokoło i podziwiali.

Pełni zachwytu dla cudownej patyny koloru jego nosa, dociekać będą, jak piękny musiał być kawałek ogona, który bezpowrotnie odleciał.

My współcześni nie widzimy piękna tego psa. Zbyt z nim jesteśmy spoufaleni. To tak jak zachód słońca i gwiazdy. Nie jesteśmy wstrząśnięci ich pięknem, bo nadto się naszym oczom opatrzyły. To samo z porcelanowym psem. A w roku 2288 ludzie będą nad nim cmokali z zachwytu. Wyrabianie takich psów będzie wówczas sztuką, która zanikła. Nasi potomkowie nie będą mogli się nadziwić, jak myśmy to robili, i powiedzą, że zdolne bestie z nas były. Będą wspominać nas z wielkim sentymentem jako „owych starych mistrzów, którzy kwitnęli w XIX wieku i wyrabiali takie porcelanowe pieski".

O „wzorku", który wasza najstarsza córeczka wyhaftowała w szkole, będzie się mówiło jakoo „tkaninie z ery wiktoriańskiej" — będzie to rzecz wprost bezcenna. Biało-niebieskie kufle z dzisiejszych przydrożnych zajazdów będą wtedy poszukiwane, a gdy się znajdzie taki okaz, poobtłukiwany i popękany, sprzeda się go na wagę złota i jakiś bogacz będzie go używał jako czary do czerwonego wina. Podróżnicy japońscy będą skupowali ocalałe „upominki z Ramsgate"

i „pamiątki z Margate" i zabiorą je z sobą do Jedo jako stare angielskie rarytasy...

Tutaj Harris rzucił wiosła, zerwał się z miejsca, położył się na plecach i zadarł nogi pod niebo. Montmorency zawył i fiknął koziołka, kosz, który stał na wierzchu, też podskoczył i wszystko z niego wyleciało.

To mnie nieco zdziwiło, ale nie straciłem równowagi ducha. Powiedziałem tonem wcale grzecznym:

— Hola! Co to ma znaczyć?

— Co ma znaczyć? Ano...

Nie, po namyśle postanowiłem nie powtarzać, co Harris powiedział. Może zasłużyłem na wymówkę, na to gotów jestem się zgodzić, ale nic nie usprawiedliwia nadmiernego

podnoszenia głosu i używania grubiańskich wyrazów, zwłaszcza gdy czyni to człowiek, któremu nie poskąpiono dobrego wychowania, a wiem, że tak było z Harrisem. Myślałem o czym innym i zapomniałem, co każdy bez trudu zrozumie, że siedzę przysterze, wskutek czego wpakowaliśmy się na ścieżkę holowniczą. Przez jakiś czas trudno było rozróżnić nas od brzegu rzeki po stronie hrabstwa Middlesex, ale po chwili rozwiązaliśmy to zadanie i oddzieliliśmy się od lądu.

Harris jednak oświadczył, że zrobił, co do niego należało, przynajmniej na początek, i zaproponował, bym go zluzował. Wobec tego wyszedłem na brzeg, wziąłem w ręce linę holowniczą i pociągnąłem łódź aż za Hampton Court. Jakże miły jest ten stary mur, który ciągnie się tutaj wzdłuż rzeki! Ilekroć tędy wędruję, widok tego muru podnosi mnie na duchu. Stary, dostały jak wino, pełen barwy i słodyczy — mur. Jakiż piękny byłby to obraz! Tu wije się lichen, ówdzie rośnie mech, tam młoda winorośl nieśmiało wyziera zza muru, żeby zobaczyć, co się dzieje na ruchliwej rzece, a nieco niżej siedzą z godnością kępki starego bluszczu. Na każde dziesięć jardów tego starego muru wypada pięćdziesiąt barw i odcieni. Gdybym tylko umiał rysować i wiedział, jak się maluje obrazy, mógłbym zrobić cudowny pejzażyk z tego starego muru, jestem tego pewien. Często myślałem, że dobrze byłoby zamieszkać na zamku w Hampton Court. Tak tutaj cicho i spokojnie. Jakże miło po takiej starej mieścinie wałęsać się wczesnym rankiem, zanim ludziska zaczną się tu uwijać.

A przecież, gdybym naprawdę tu osiadł, wątpię, czy byłbym szczęśliwy. Wieczorem w starym zamczysku byłoby mi strasznie ponuro i okrutnie smutno, kiedy lampa rzuca chwiejne cienie na ściany pokryte płaskorzeźbami, a echo dalekich kroków dudni w zimnych, kamiennych korytarzach, to się zbliża, to zamiera w oddali i znów zapada grobowa cisza i tylko serce łomoce.

Jesteśmy dziećmi słońca, my — mężczyźni i niewiasty. Kochamy światło i gwar życia. Dlatego tłoczymy się w miastach i metropoliach, a wsie z każdym rokiem coraz bardziej pustoszeją. W słońcu, za dnia, kiedy Natura wre życiem wokół nas, bardzo lubimy nagie zbocza pagórków i leśne knieje. Ale w nocy, gdy nasza Matka-Ziemia ułożyła się do snu, a my musimy czuwać, och! wówczas świat jest tak bezludny, a my boimy się jak dzieci w pustym domu. Siedzimy więc i popłakujemy, tęskniąc za ulicami oświetlonymi gazem, za gwarem głosów, chcielibyśmy usłyszeć tętno ludzkiego życia. Tak bezradni czujemy się i tacy mali wśród głuchej ciszy, kiedy ciemne drzewa szumią, kołysane nocą przez wiatr. Krocie duchów uwijają się w mroku. Ich ledwie dosłyszalne westchnienia napawają nas smutkiem. Zbierajmy się zatem w wielkich miastach, palmy ogromne ogniska z miliona strumieni płonącego gazu, wznośmy okrzyki, śpiewajmy wraz i udawajmy zuchów!

Harris zapytał mnie, czy byłem kiedy w labiryncie w Hampton Court. On sam wszedł tam raz, by kogoś oprowadzić. Przestudiował plan labiryntu — rzecz to była najprostsza pod słońcem, po prostu dziecinna igraszka nie warta dwóch pensów, jakie pobierano za wejście do środka. Doszedł do wniosku, że plan sporządzono tylko w celu nabierania gości, bo jego wartość równała się zeru i było to zwyczajne zawracanie głowy. Osobą, którą Harris zabrał do labiryntu, był jego kuzyn z prowincji.

— Wdepniemy tam na chwilkę — mówił Harris do krewniaka — byś mógł mówić, że byłeś w hamptońskim labiryncie, ale nic tam nie ma. Trzeba mieć źle w głowie, żeby to nazywać labiryntem. Cała sztuka w tym, żeby stale skręcać w pierwszy chodnik na prawo. Zrobimy sobie mały spacer w kółko — po dziesięciu minutach wyjdziemy i zjemy drugie śniadanie.

W chwilę po wejściu do środka Harris z kuzynem spotkali parę osób, które im powiedziały, że są tutaj od trzech kwadransów i że labirynt dał im się już we znaki. Harris

odparł, że jeśli chcą, to mogą wszyscy iść za nim. Właśnie bowiem wybiera się na spacerek, zrobi kółko i wraca. Zbłąkana gromadka przyjęła z wdzięcznością zaproszenie Harrisa i ustawiła się za nim. Ruszyli razem.

Po drodze zbierali zwiedzających, którzy szukali wyjścia, i pomału zgromadzili za sobą wszystkich ludzi z labiryntu. Ci, którzy porzucili już nadzieję, że dostaną się do środka lub że wyjdą kiedyś i zobaczą swój dom rodzinny i przyjaciół, nabierali otuchy na widok Harrisa i jego świty, przyłączali się do orszaku i błogosławili swemu przywódcy. Harris zapewniał potem, że w ślad za nim kroczyło najmniej dwadzieścia osób. Jakaś kobiecina z dzieckiem na ręku, która błądziła tu od samego rana, uczepiła się ramienia Harrisa, drżąc na myśl, że mogłaby go stracić z oczu.

Harris wciąż skręcał w prawo, drogi jednak jakoś nie ubywało. Kuzyn zauważył, że labirynt jest, zdaje się, bardzo duży.

— Ba! Jeden z największych w Europie — odparł Harris.

— Chyba tak — kuzyn na to — bośmy zrobili już dobre dwie mile.

Harrisowi też zaczęło to się wydawać podejrzane, ale nic nie mówił. Gdy jednak zobaczyli na ziemi pół ciastka, a kuzyn przysiągł, że widział je przed siedmioma minutami, Harris bąknął: „Och, niemożliwe”, na co kobiecina z dzieckiem na ręku powiedziała: „Całkiem możliwe”, bo sama wzięła dziecku kawałek ciastka i rzuciła na ziemię tuż przed spotkaniem Harrisa. Dodała też, że wolałaby nigdy go nie spotkać i że go uważa za zwykłego oszusta. Harris strasznie się rozgniewał. Rozłożył plan i objaśnił im, na czym polega jego system.

— Plan bardzo by się przydał — zauważył ktoś z tłumu — gdybyś pan wiedział, gdzie jesteśmy teraz.

Harris tego nie wiedział, odparł więc, że najlepiej będzie, jeśli powrócą do wejścia i zaczną na nowo. Myśl, żeby zacząć na nowo, nie wzbudziła wielkiego entuzjazmu, natomiast wszyscy się ochoczo zgodzili, że trzeba wrócić do

wejścia. Zrobili więc w tył zwrot i znów poszli za Harrisem, w odwrotnym kierunku. Po dziesięciu minutach znaleźli się w samym środku labiryntu.

Harris zrazu miał ochotę wmówić im, że o to właśnie chodziło. Ale tłum przyjął groźną postawę, przewodnik położył więc to na karb ślepego trafu.

W każdym razie miejsce, w którym się znaleźli, można było przyjąć za punkt wyjścia. Wiedzieli nareszcie, gdzie są. Jeszcze raz przestudiowali plan, wszystko wydało im się jasne jak słońce. Po raz trzeci ruszyli w drogę.

W trzy minuty później znów byli w samym środku labiryntu.

Potem już absolutnie nigdzie nie mogli się dostać. W którąkolwiek stronę się zapuścili, zawsze wracali do punktu wyjścia. Kursowali już tak regularnie, że niektórzy zatrzymali się tam i czekali, aż reszta odbędzie spacerek w koło i wróci do nich. Po jakimś czasie Harris znów wyciągnął swój plan, ale na sam jego widok tłum zaczął się gorączkować. Powiedziano mu, że może tego papieru użyć na papiloty i zrobić sobie baranka na głowie. Harris mówił potem, że, niestety, odniósł wówczas nieodparte wrażenie, iż stał się niepopularny.

W końcu wszyscy dostali kręćka i nieprzytomnymi głosami wołali dozorcę labiryntu. Nadbiegł, wlazł na drabinę za ścianą i wykrzykiwał, co mają robić. Ale tak im się strasznie pomieszało w głowach, że już nic nie mogli zrozumieć. Dozorca więc kazał im czekać na miejscu i obiecał, że sam do nich przyjdzie. Zbili się w wystraszoną gromadkę i czekali. Dozorca zlazł z drabiny i wszedł do labiryntu.

Nieszczęście chciało, że był to młody dozorca, który od niedawna tu pracował. Wszedł, ale nie mógł ich znaleźć i rychło sam zabłądził. Co chwila ukazywał im się w oddali — widać było, jak idzie po drugiej stronie żywopłotu. Ujrzawszy ich, szybkim krokiem zmierzał ku nim, czekali więc przez

pięć minut, aby znów ujrzeć go dokładnie w tym samym miejscu co przedtem. Pytał się wówczas, gdzie się podziali.

Wyszli dopiero wtedy, gdy jeden ze starych dozorców wrócił z obiadu.

Harris zapewniał mnie teraz, że to przepiękny labirynt i że nieźle go poznał. Postanowiliśmy w drodze powrotnej namówić Jerzego, by tam wszedł.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

***Tamiza w odświętnych szatach. Stroje* na rzece. Wielka okazja dla mężczyzn. Harris nie ma gustu. Blezer Jerzego. Jeden dzień z panią prosto z żurnala. Grób pani Thomas. Człowiek, który nie przepada za grobami, trumnami i czaszkami. Harris wściekły. Jego poglądy na Jerzego, banki i lemoniadę. Harris pokazuje sztuki.**

Harris o swych przeżyciach w labiryncie opowiedział mi w czasie przeprawy przez śluzę w Moulsey. Przeprawa zabrała nam sporo czasu, bo byliśmy jedyną łódką na rzece, a śluza jest niemała. Nie pamiętam, bym kiedy widział tam tylko jedną łódkę. Jest to chyba, nawet w porównaniu ze śluzą w Boulter, najbardziej uczęszczana śluza na rzece.

Nieraz stałem tu i obserwowałem, co się dzieje. W pewnych chwilach wody w ogóle nie było widać, tylko przepyszny rój jaskrawych blezerów, filuternych czapek, szykownych kapelusików, różnobarwnych parasolek, jedwabnych szali, płaszczy, wstążek fruwających całymi kaskadami, wytwornych białych strojów. Gdy się patrzyło na dół z nabrzeża, zdawało się, że śluza jest ogromną skrzynią, do której rzucano naręcza kwiatów wszelkich kolorów i odcieni i teraz gruba ich warstwa, mieniąc się barwami tęczy szczelnie pokrywa całą śluzę.

W słoneczną niedzielę śluza tak się przedstawia niemal przez cały boży dzień, a za jej bramami, w górę i w dół rzeki, długie korowody łódek czekają na swą kolej. Łódki podpływają do śluzy, przewijają się i płyną dalej, tak iż rzeka, błyszcząca w słońcu, od pałacu po kościół w Hampton usiana jest barwami: żółtą, niebieską, pomarańczową, białą i różową. Mieszkańcy Hampton i Moulsey, wystrojeni w

kostiumy wioślarskie, wylegli jak jeden mąż na brzeg i kręcą się z psami naokoło śluzy, flirtują, palą fajki, przyglądają się łódkom. Wszystko to — czapki i kurtki mężczyzn, prześliczne, różnobarwne stroje kobiet, podniecone psy, łódki na rzece, białe żagle i miły oku krajobraz po obu stronach spienionej wody — wszystko to razem wzięte tworzy jeden z najbardziej wesołych widoków, jakie znam w okolicy tego szarego i smutnego miasta, Londynu.

Rzeka daje duże pole do popisu tym, którzy lubią dobrze się ubrać. Jest to rzadka okazja, kiedy my, mężczyźni, możemy pokazać, że znamy, się na kolorach. Uważam, że z tej próby dobrego smaku wychodzimy z honorem — mówię to przede wszystkim we własnym imieniu. Osobiście lubię mieć coś czerwonego na sobie — czerwonego i czarnego. Wiadomo, że mam włosy złocistokasztanowe. Jest to — jak mówią — odcień wcale niebrzydki i kolor ciemnoczerwony pięknie z nim harmonizuje. Do tego — śmiem stale to twierdzić — świetnie pasuje krawat bladoniebieski, buty ze skóry rosyjskiej i czerwona jedwabna szarfa wokół kibici — znacznie lepiej wygląda niż pasek do spodni.

Harris szczególnie sobie upodobał wszystkie odcienie i kombinacje kolorów pomarańczowego i żółtego, co świadczy o tym, że zna się na kolorach jak kura na pieprzu. Zbyt smagłą ma cerę, by mógł się ubierać na żółto. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że w żółtym nie jest mu do twarzy. Widzę go zasadniczo w kolorze niebieskim z białymi lub kremowymi plamami dla kontrastu. Niestety! Im mniej ktoś ma gustu, tym bardziej upiera się przy swoim. Wielka to szkoda, bo tak jak się sprawy mają obecnie, Harris nigdy nie zdobędzie powodzenia, choć jest jeden kolor lub dwa, w których nie najgorzej by wyglądał, zwłaszcza w kapeluszu na głowie.

Jerzy kupił sobie na tę wycieczkę parę nowych rzeczy i to mnie niezmiernie martwi. Blezer jest krzykliwy. Wolałbym, żeby Jerzy nie wiedział, co o tym myślę, ale inaczej tego nazwać nie mogę — krzykliwy. Przyniósł do domu i pokazał

nam w czwartek wieczorem. Zapytaliśmy go, jak by nazwał ten kolor — odparł, że nie wie. Do głowy mu nie przyszło, że ten kolor może się jakoś nazywać. W sklepie powiedzieli mu, iż jest to wzór orientalny. Jerzy włożył blezer i zapytał nas o zdanie. Harris tak sformułował swój pogląd:

— Jeśli tę rzecz powiesisz wczesną wiosną na klombie, aby siała popłoch wśród ptactwa, jestem gotów ją aprobować, ale słabo mi się robi na myśl, że ktoś, wyjąwszy komedianta z Margate, przebranego za Murzyna, mógłby to uważać za artykuł odzieżowy.

Jerzy śmiertelnie się obraził, na co Harris powiedział, że jeśli nie chciał znać jego opinii w tej sprawie, to po co się pytał.

Najwięcej martwi Harrisa i mnie to, że przez Jerzego nasza łódka będzie zwracała powszechną uwagę.

Również dziewczęta wcale nieźle wyglądają w łódce, jeśli się dobrze ubiorą. Nie znam nic bardziej rozkosznego niż gustowny kostium wioślarski. Ale kostium wioślarski — gdybyż wszystkie panie zechciały to zrozumieć! — powinien jakoś nadawać się do łodzi, a nie tylko do gablotki. Wycieczka nie może się udać, jeśli ma się w łódce osoby, które przez cały czas myślą tylko o swoich strojach. Miałem nieszczęście wybrać się raz na łódki z dwiema takimi damami. Ubawiliśmy się za wszystkie czasy.

Obie panie wysztafirowały się aż miło. Nakładły na siebie koronek i jedwabiów co niemiara,a do tego — kwiaty, wstążki, szykowne pantofelki i jasne rękawiczki. Słowem, ubrały się jak do fotografa, a nie na łódki. Były to „kostiumy wioślarskie” prosto z francuskiego żurnala — śmiechu warte w zetknięciu z prawdziwą ziemią, powietrzem i wodą.

Zaczęło się od tego, że. łódka wydała się paniom nie dość czysta. Wytarliśmy ławeczki i zapewniliśmy panie, że wszystko w porządku, ale nam nie uwierzyły. Jedna z nich przejechała po poduszce palcem wskazującym rękawiczki i wynik tej próby pokazała koleżance. Westchnęły i usiadły z minami pierwszych chrześcijańskich męczenników

sadowiących się na stosie. Każdemu wioślarzowi może się zdarzyć, że czasem pryśnie troszkę wodą, a tutaj wystarczy jedna kropla, by zniszczyć kostium. Plama niczym nie da się usunąć i pozostanie na zawsze.

Byłem szlakowym. Robiłem, co mogłem. Po każdym uderzeniu unosiłem wiosła na wysokość dwóch stóp i trzymałem je w powietrzu na płask, aby ociekły z wody, czekałem, aż jej powierzchnia będzie zupełnie gładka, i dopiero wtedy odwracałem wiosła i zanurzałem ponownie. (Po chwili mój kolega oświadczył, że nie uważa się za partnera godnego takiego mistrza jak ja, wobec czego, jeśli pozwolę, posiedzi sobie i będzie pilnie mnie obserwował, bo bardzo go to zainteresowało). A jednak mimo moich usilnych starań nie zawsze mi się udawało i woda tu i ówdzie chlapnęła na sukienki.

Panny nie skarżyły się na to, tylko przytuliły się do siebie i zacisnęły usta, a ilekroć pacnęła je kropelka wody, ostentacyjnie wzdrygały się i szczękały zębami. Widok tych istot cierpiących w milczeniu był budujący, ale mnie zupełnie wyprowadził z równowagi. Zbyt jestem wrażliwy. Zacząłem wiosłować tak nerwowo i nieprzytomnie, że im bardziej starałem się uważać, tym bardziej chlapałem wodą na wszystkie strony.

Wreszcie skapitulowałem oświadczając, że chcę przejść na pierwsze miejsce. Kolega uznał, że tak będzie lepiej, więc przesiadłem się na jego miejsce, a on zajął moje. Panie widząc, iż schodzę ze swego stanowiska, mimo woli westchnęły z ulgą i radość opromieniła im twarze. Biedne dziewczątka! Lepiej by zrobiły, gdyby już pozostały przy mnie. Człowiek, który im się teraz dostał, był wesołkiem, lekkoduchem, ograniczonym facetem, a wrażliwości tyle w nim było co w nowofunlandzkim psiaku. Można go było przez godzinę piorunować wzrokiem, a on tego nie widział, a jeśli nawet zauważył, nic sobie z tego nie robił. Teraz od razu tak chwacko i gracko machnął wiosłem, że chlusnęła fontanna wody i zalała łódkę, a wszyscy zerwali się na równe nogi.

Widząc, że jednej z pań wylał dobrą kwartę wody na sukienkę, uśmiechnął się ładnie i powiedział:

— O, przepraszam, słowo daję — po czym ofiarował paniom swą chusteczkę, żeby się wytarły.

— Och, nic nie szkodzi — wyszeptały biedne dziewczęta, ale ukradkiem okrywały się pledami i płaszczami i zasłaniały koronkowymi parasolkami.

Drugie śniadanie też im się nie udało. Cóż z tego, że proszono je, aby usiadły na trawie, skoro trawa była zakurzona, albo zachęcano, by się oparły o pnie drzew, których całymi tygodniami nikt nie omiatał z kurzu. Rozłożyły więc chusteczki i siadły na nich, proste i sztywne jak drut. Ktoś, przechodząc obok z pasztetem na talerzu, potknął się o korzeń i pasztet wyleciał jak z procy. Na szczęście nic im się nie oberwało, ale ten wypadek natchnął je nową obawą. Tak się tym przejęły, że ilekroć ruszył się koło nich ktoś z czymś takim w ręku, co mogło upaść i narobić sosu, wodziły za nim wzrokiem z coraz większym przerażeniem i uspokajały się dopiero, gdy usiadł.

— A teraz, dziewuszki — zawołał nasz wesoły przyjaciel po śniadaniu — jazda do roboty! Pozmywacie naczynia.

Zrazu go nie zrozumiały. Gdy już pojęły, o co chodzi, powiedziały, że nie wiedzą, jak się to robi.

— Och, zaraz wam pokażę. To pyszna zabawa! Położycie się na brzusz... no, wiecie, pochylicie się na brzegu i będziecie merdały talerzami w wodzie.

Starsza siostra odparła, że nie są do tego odpowiednio ubrane.

— Och, nic nie szkodzi — zawołał nasz beztroski przyjaciel. — Możecie podkasać spódnice.

I rzeczywiście nakłonił je do tego zapewniając, iż z całej wycieczki to właśnie jest najbardziej zabawne. Przyznały, że istotnie jest to niezwykle interesujące zajęcie.

Kiedy dziś myślę o tym, zaczynam wątpić, czy ów młodzian był rzeczywiście taki kiep, jak nam się zdawało. A

może... nie, to nie do wiary! Miał przecież taki naiwny, dziecięcy wyraz twarzy!

Harris chciał wysiąść przy kościele w Hampton i zobaczyć grób pani Thomas.

— Kto to jest pani Thomas? — zapytałem.

— A bo ja wiem? — odparł Harris. — Jest to dama, która ma fajny grób. Muszę go zobaczyć.

Zaprotestowałem. Nie wiem, może jest to wada wrodzona, ale nigdy osobiście nie zdradzałem zapału do nagrobków. Oczywiście wiem, że natychmiast po przybyciu na wieś lub do miasta wypada kopnąć się na cmentarz i tam rozkoszować się grobami, a jednak zawsze odmawiam sobie tej rozrywki. Nie ciekawi mnie szwendanie się po mrocznych i zimnych kościołach w ślad za sapiącym staruszkiem i czytanie epitafiów. A nawet na widok popękanej płyty mosiężnej, oprawionej w kamień, nie doznaję tego, co mógłbym nazwać uczuciem niekłamanego szczęścia.

Wywołuję oburzenie zacnych zakrystian niezmąconym spokojem, z jakim patrzę na najbardziej ekscytujące napisy, i brakiem entuzjazmu dla dziejów miejscowych familii, a moja nieodparta i źle ukrywana chęć wyjścia za bramy cmentarza rani ich serca.

Pewnego złotego, słonecznego ranka stałem oparty o niski mur z kamienia, strzegący wiejskiego kościółka. Paliłem fajkę i upajałem się pełnym słodyczy, niczym nie zmąconym, rozkosznym widokiem. Oto poszarzały ze starości, owity bluszczem kościółek z drewnianym portykiem o dziwnych płaskorzeźbach, oto biała droga wije się po stoku wzgórza wśród szpaleru strzelistych wiązów, tam chaty ze słomianymi strzechami wyzierają zza równo przystrzyżonych żywopłotów, dalej srebrna rzeka płynie doliną, a za nią widać wzgórza pokryte lasami.

Cudny krajobraz! Sielski i poetyczny. Niósł mi natchnienie. Czułem się dobry i szlachetny. Nigdy już nie wrócę na drogę grzechu i zła. Tu się osiedlę, nigdy nie popełnię złego uczynku, będę wiódł życie nieskazitelne i

piękne, będę miał srebrzystą czuprynę na starość, i tak dalej, panie dzieju.

W chwili uniesienia przebaczyłem przyjaciołom i rodzinie wszystkie ich niecne i przewrotne postępki — błogosławiłem im. Oni tam w dalszym ciągu popełniali świństwa i ani im się nie śniło, co ja tu, w tej dalekiej, cichej wioszczynie, dla nich uczyniłem. A jednak tak było. Pragnąłem powiadomić ich o tym, bo wiedziałem, że ich to uszczęśliwi. Byłem zatopiony w tych wzniosłych myślach i serdecznych uczuciach, kiedy moje marzenia przerwał nagle ostry, chrapliwy głos, który wołał:

— Dobrze, panoczku. Idę, już idę. Ano, panoczku, odrobinę cierpliwości.

Podniosłem wzrok i ujrzałem łysego staruszka kuśtykającego przez cmentarz w moją stronę. Niósł olbrzymi pęk kluczy, który za każdym krokiem dyndał mu w ręku i dzwonił.

Milcząc, z godnością dałem mu znak, żeby odszedł, ale on dalej podążał ku mnie i skrzeczał:

— Idę, panoczku, idę, już idę. Trochę utykam. Już się dziś tak nie uwinę, jak to kiedyś bywało. Tędy, panoczku.

— Idź precz, nieszczęsny staruchu! — rzekłem.

— Nie mogłem, złociutki przyjść prędzej — odparł. — Moja stara dopiero co pana szanownego ujrzała. Proszę za mną, łaskawy panie.

— Idź precz! — powtórzyłem. — Uciekaj, zanim przelezę przez mur i zatłukę cię na śmierć.

Bardzo się zdziwił.

— Czy nie chce pan zobaczyć grobów? — zapytał.

— Nie — odparłem. — Nie chcę. Pragnę stać tutaj, oparty o ten stary mur z piaskowca. Wynoś się, przestań mnie nudzić, staruchu. Jestem pełen po brzegi pięknych i wzniosłych myśli i chcę tu zostać, bo mi tutaj miło i dobrze. Odczepże się i przestań mnie drażnić, bo całe to głupie gadanieo nagrobkach mąci chwile moich serdecznych

rozmyślań. Odejdź i znajdź sobie kogoś, kto cię tanio pochowa, a połowę kosztów biorę na siebie.

Stary osłupiał. Przez chwilę przecierał oczyi wpatrywał się we mnie. Wyglądałem jednak na istotę z tego świata. Nic nie rozumiał.

— Pan jesteś nietutejszy? Nie żyjesz pan w tych stronach?

— Nie — odparłem. — Gdybym ja tu żył, to pan byś nie żył.

— Musi pan zobaczyć groby... mogiły... nieboszczyki zakopane w ziemi... uważasz pan... trumny!

— Jesteś kłamcą! — zawołałem, tracąc panowanie nad sobą. — Mówię ci, że nie muszę i nie chcę zobaczyć grobów, twoich grobów. Na co mi to? My mamy swoje własne groby, to znaczy moja rodzina ma. Na przykład wujo Podger ma na cmentarzu w Kensal Green grób, który jest chlubą całej okolicy, nisza mojego dziadka w Bowmoże pomieścić ośmiu zwiedzających, a moja cioteczna babka Zuzia ma na miejscu wiecznego spoczynku w Finchley grobowiec murowany, z nagrobkiem, na którym wyobrażony jest w postaci płaskorzeźby dzbanek do kawy, przy czym cały placyk wyłożono najlepszym sześciocalowym białym marmurkiem — to kosztuje ciężkie pieniądze, mój kochany. Jak mam ochotę na groby, do tamtych miejsc się udaję i tam się wzruszam. Cudze mogiły mnie nie nęcą. Ale jak ciebie pogrzebią, przyjdę zobaczyć twój grób. To wszystko, co mogę zrobić dla ciebie.

Starzec zalał się łzami. Zapewniał mnie, że na jednym grobie leży kawałek kamienia, o którym mówią, że jest to najprawdopodobniej resztka pozostałości po pomniku jakiegoś mężczyzny, a na innym znów nagrobku wykryte zostały jakieś słowa, których nikt jeszcze nie zdołał odcyfrować.

Byłem niewzruszony. Stary złamanym głosem zapytał:

— A może pójdziesz pan zobaczyć „okno wspomnień”?

Nie miałem ochoty nawet na „okno wspomnień”, więc stary wystrzelił ostatni nabój. Przysunął się do mnie i ochrypłym głosem wyszeptał:

— Mam parę czaszek w krypcie na dole, chodź zobaczyć. Och, zrób to, popatrz na czaszki. Jesteś młodzieńcem, który wybrał się na wycieczkę niedzielną, musisz czymś się rozerwać. Chodź — zobaczysz czaszki!

Odwróciłem się na pięcie i zacząłem uciekać. Biegnąc co tchu słyszałem, jak wołał za mną:

— Och, chodź zobaczyć czaszki. Wracaj, zobaczysz czaszki!

Harris jednak lubuje się w grobach, mogiłach, epitafiach, napisach na pomnikach cmentarnych i dlatego wściekł się na myśl, że nie zobaczy grobu pani Thomas. Żył nadzieją ujrzenia tego grobu — zapewniał mnie teraz — od chwili, gdy padła pierwsza propozycja wycieczki i — twierdził — gdyby nie ta nadzieja, nigdy by się do nas nie dołączył.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Szantaż. Należyty tryb postępowania. **Egoizm i grubiaństwo właścicieli gruntów nad rzeką. Tablice z ostrzeżeniem. Harris nie kocha bliźniego swego. Jak Harris śpiewa pieśń komiczną. Przyjęcie w wyższych sferach. Haniebny postępek dwóch młodych nicponiów. Zbędna informacja. Jerzy kupuje banjo.**

Usiedliśmy pod wierzbami niedaleko Kempton Park i zabraliśmy się do drugiego śniadania. Wcale tu ładnie: miła łączka ściele się w cieniu wierzb na wzniesieniu wzdłuż rzeki. Właśnie przystąpiliśmy do trzeciego dania: chleba z dżemem, kiedy jakiś dżentelmen bez marynarki i z krótką fajką w zębach podszedł do nas i zapytał, czy wiemy, że naruszyliśmy prawo własności. Odparliśmy, iż wprawdzie nie rozważaliśmy tej sprawy w mierze pozwalającej wyciągnąć ostateczne wnioski co do poruszonej przez niego kwestii, ale jeśli da nam szlacheckie słowo, iż n a r uszyliśmy, uwierzymy mu bez reszty.

Udzielił nam żądanego zapewnienia, za co podziękowaliśmy mu, nie opuścił nas jednak i miał taką minę, jakby był z czegoś niezadowolony, przeto zapytaliśmy, czy moglibyśmy jeszczecoś zrobić dla niego. Harris zaś, który ma łatwość do ludzi, poczęstował go kawałkiem chleba z marmoladą.

Człowiek ten musiał należeć do jakiegoś takiego towarzystwa, w którym poprzysięga się abstynencję od chleba z marmoladą, bo odmówił poczęstunku w sposób zgoła opryskliwy, jakby była to pokusa narażająca go na nie wiadomo jaką udrękę. Dodał przy tym, że ma obowiązek wyprosić nas stąd.

Harris odrzekł, iż obowiązek święta rzecz, powinien być wykonany, i zapytał, jak tamten wyobraża sobie najlepsze wywiązanie się ze swej powinności. Harris jest, jak to mówią, nie ułomek, chłop rosły i krzepki. Obywatel zmierzył go od stóp do głów i powiedział, że pójdzie naradzić się ze swym chlebodawcą, po czym wróci i fyrgnie nas obu do wody.

Rzecz jasna, nigdyśmy go więcej nie zobaczyli, bo jak wiadomo, chciał tylko dostać w łapę szylinga. Jest niemało łobuzów, którzy w lecie wcale nieźle zarabiają w ten sposób, że grasują nad rzeką i wymuszają pieniądze od naiwnych frajerów. Przedstawiają się jako wysłannicy właścicieli gruntów. Najlepszym sposobem na nich jest podać im nazwisko i adres, pozwalając właścicielowi, jeśli rzeczywiście ma z tym coś wspólnego, pozwać nas do sądu i udowodnić, jaką szkodę wyrządziliśmy jego gruntowi, gdyśmy siedli sobie na kawałku tego gruntu. Najczęściej jednak ludzie są do tego stopnia leniwi i nieśmiali, że wolą zachęcać swą uległością hultajów do pobierania haraczu, niż zdobyć się na odrobinę stanowczości.

W przypadkach, w których winni są sami właściciele, należy ich demaskować. Zachłanność bowiem posiadaczy gruntów nadbrzeżnych rośnie z każdym rokiem. Gdybyśmy pozwolili im robić, co chcą, zamknęliby Tamizę na cztery spusty. Robią to już z mniejszymi jej dopływami i wodami stojącymi. Wbijają słupy w łożysko rzeki, przeciągają łańcuchy z jednego brzegu na drugi i na każdym drzewie wywieszają olbrzymie tablice z ostrzeżeniem. Widok tych tablic budzi we mnie najgorsze instynkty. Mam ochotę zrywać te deski i tłuc nimi po głowie człowieka, który je powywieszał, tłuc tak długo, aż padnie trupem, a wtedy pogrzebać go i położyć tę tablicę na jego mogile zamiast nagrobka.

O tym, co czuję, wspomniałem Harrisowi i dowiedziałem się, że z nim jest jeszcze gorzej. Oświadczył mi, że gotów byłby zabić nie tylko tego, co kazał wywiesić tablicę, lecz najchętniej wyrżnąłby całą jego rodzinę, wszystkich

przyjaciół, dalszych krewnych i powinowatych, po czym spaliłby mu dom. Wydało mi się, że są to wnioski zbyt daleko idące, i powiedziałem o tym Harrisowi.

— Właśnie że w sam raz — odparł. — Będą się mieli z pyszna, a ja wstąpię na zgliszcza i zanucę wesołą piosenkę.

Z przykrością słuchałem słów Harrisa świadczących o tym, że uległ krwiożerczym popędom. Nigdy nie powinniśmy pozwolić, aby nasze poczucie sprawiedliwości wyradzało się w zwykłą żądzę zemsty. Po długich perswazjach udało mi się nakłonić Harrisa do bardziej chrześcijańskiego poglądu na tę sprawę. Obiecał mi, że w każdym razie oszczędzi przyjaciół i dalszą rodzinę właściciela gruntu i nie będzie na zgliszczach śpiewał kupletów.

Szkoda, żeście państwo nigdy nie słyszeli Harrisa śpiewającego wesołą pieśń, bo dopiero wtedy zrozumielibyście, jaką przysługę oddałem rodzajowi ludzkiemu. Harris, między innymi, jest święcie przekonany, że u m i e zaśpiewać wesołą pieśń, znajomi zaś, którzy byli świadkami jego prób na tym polu, uporczywie twierdzą, że n i e umie i nigdy się nie nauczy i że nie wolno dopuścić do żadnych jego wokalnych usiłowań.

Kiedy na przyjęciu proszą go, by coś zaśpiewał, odpowiada:

— Ależ ja mogę zaśpiewać tylko piosenkę, proszę państwa.

Mówi to takim tonem, że nietrudno się domyślić, iż piosenka w jego wykonaniu należy do rzeczy, które trzeba raz usłyszeć i umrzeć.

— Bardzo nam będzie miło — mówi pani domu. — Musi pan koniecznie zaśpiewać.

Harris wstaje i, podchodzi do fortepianu, promieniejąc radością wspaniałomyślnego człowieka, który za chwilę hojnie obdarzy swych bliźnich.

— Prosimy o ciszę! — obwieszcza na wszystkie strony pani domu. — Pan Harris zaśpiewa piosenkę!

— Ach, to cudnie! — szepczą goście. Wylegają w pośpiechu z oranżerii, zbiegają po schodach, zwołują się po całym domu, cisną się do salonu, siadają wkoło i już z góry się uśmiechają.

Wtedy Harris zaczyna.

No cóż, nie spodziewamy się dużego głosu, gdy ktoś ma zaśpiewać wesołą piosenkę. Nie liczymy też na poprawną dykcję i umiejętną wokalizację. Nie bierzemy za złe śpiewakowi, jeśli w pół nuty spostrzeże się, że wziął za wysoko, i zejdzie na dół zwyczajnym kiksem. Rytmem też się nie przejmujemy. Ani się nie gniewamy, jeśli śpiewak wyprzedzi akompaniament o dwa takty i urwie w pół wiersza, aby wykłócić się z pianistą i potem zacząć zwrotkę od początku. Ale wymagamy jednego: słów.

Nie jesteśmy przygotowani na to, by facet pamiętał tylko trzy linijki z pierwszej zwrotki i powtarzał je w kółko, aż przyjdzie pora na chóralny refren. Nie spodziewamy się tego, że gość stanie w pół linijki, zacznie głupio się śmiać i powie, że to śmieszne, ale, róbcie, co chcecie, nie pamięta dalej. Potem sam sobie coś powtarza pod nosem, aż nagle przypomni mu się jakiś całkiem inny kawałek tej pieśni — bez słowa ostrzeżenia zaczyna z kopyta na nowo. Nie jesteśmy też skłonni… zresztą, co tu dużo mówić, dam wam próbkę piosenki w wykonaniu Harrisa, i sami osądzicie.

H a r r i s(stojąc przed fortepianem zwraca się do zebranych):

— To jest, zdaje się, bardzo, prawda, stara piosenka. Sądzę, że wszyscy państwo ją, prawda, znacie. Ale nic innego, prawda, nie umiem. Jest to aria Sędziego z „Fartuszka”… to znaczy nie z „Fartuszka”, tylko… państwo rozumiecie?… ten tego… z tego drugiego, prawda. Refren śpiewają, prawda, wszyscy.

(Szmer zachwytu. Wszyscy bardzo by chcieli śpiewać refren. Błyskotliwe wykonanie przez nerwowego pianistę przygrywki do arii Sędziego z „Procesu”. Następuje moment, w którym Harris powinien zacząć. Harris nic. Nerwowy

pianista gra jeszcze raz od początku, a wraz z nim zaczyna Harris i wyrzuca z siebie dwa wiersze arii Pierwszego Lorda Admiralicji z „Fartuszka”. Nerwowy pianista stara się czym prędzej

skończyć przygrywkę, rezygnuje z tego, próbuje akompaniować do arii Sędziego z „Procesu”, słyszy, że Harris śpiewa co innego, nie może sobie przypomnieć, co to jest, dostaje zawrotu głowy i nagle urywa).Harris(tonem uprzejmej zachęty):

— W porządku. Bardzo pan to dobrze robi, doprawdy, proszę dalej.

Nerwowy pianista:

— Przepraszam, coś tu się nie zgadza. Co pan śpiewa?

Harris(szybko):

— Jak to? Arię Sędziego z „Procesu”. Czy pan tego nie zna? Przyjaciel Harrisa(zgłębi pokoju):

— Ale skąd! Śpiewasz, tępa głowo, arię Admirała z „Fartuszka”.

(Długi spór między Harrisem a jego przyjacielem o to, co on właściwie śpiewa. W końcu przyjaciel oświadcza, że wszystko jedno, co Harris śpiewa, byle jechał dalej. Harris jest najwidoczniej dotknięty do żywego krzywdzącą opinią kolegi, ale prosi pianistę, by zaczął od początku. Pianista gra przygrywkę do arii Admirała i Harris w chwili, która wydaje mu się najbardziej odpowiednia, zaczyna śpiewać).Harris:

Za młodu byłem mecenasem...(Ogólny ryk śmiechu, przyjęty przez Harrisa za

dobrą monetę. Pianista przypomina sobie, że jest ojcem dzieciom, i widząc, że walka jest nierówna, wycofuje się z placu boju, a jego miejsce przy fortepianie zajmuje człowiek o nerwach jak postronki).Nowy pianista(wesoło):

— A teraz, mój przyjacielu, pan zacznie, a ja pana dogonię. Darujemy sobie przygrywkę.

Harris(zaczyna mu świtać w głowie, co się dzieje—śmieje się):

— Na Jowisza! Bardzo przepraszam. Oczywiście, poplątałem dwie arie. To ten Jenkins zbił mnie z tropu. Proszę!

(Śpiewa. Głos brzmi jak z piwnicy— coś w rodzaju głuchego dudnienia, jakby zapowiedź nadchodzącego trzęsienia ziemi).

Za młodum wciąż po sądach hasał, Bo byłem gońcem mecenasa.

(Półgębkiem do pianisty):

— Za nisko, mój drogi. Powtórzymy jeszcze raz, jeśli to panu nie robi różnicy.

(Śpiewa te same dwa wiersze, tym razem wysokim falsetem. Słuchacze nie posiadają się ze zdziwienia. Nerwowa starsza pani przy kominku zaczyna szlochać. Trzeba ją wyprowadzić z pokoju).

Harris(ciągnie dalej):Myłem ja okna i myłem ja drzwi, I mył...

— Nie, nie, pucowałem szyby w bramie od frontu. A poza tym froterowałem podłogę... nie, psiakostka... o, przepraszam, wyrwało mi się... a to dopiero! Ani rusz nie mogę sobie przypomnieć. Myłem ja..., nie, myłem ja... och! mniejsza z tym, zaśpiewam refren(śpiewa):

I jam jest, hop dziś, hop dziś, hop dziś, dziś dzisiowi, Do dziś admirałem floty królowej.

— A teraz wszyscy razem powtarzamy, prawda,ostatnie dwa wiersze.

Wszyscy razem:

I on jest, hop dziś, hop dziś, hop dziś, dziś dzisiowi,

Do dziś admirałem floty królowej.

Harris nie wie nawet, jakiego osła robi z siebie i jak się naprzykrza ludziom, którzy nie uczynili mu nic złego. Jest święcie przekonany, że uraczył ich swą sztuką, i obiecuje zaśpiewać po kolacji jeszcze jedną wesołą pieśń.

Gdy się już zgadało o występach na przyjęciach, przypomina mi się ciekawy wypadek, jakiego byłem kiedyś świadkiem. A że rzuca on światło na niezbadane tajemnice

natury ludzkiej jako takiej, sądzę, iż warto go odnotować na kartach tej książki.

Towarzystwo zebrało się wytworne i wysoce kulturalne. Każdy z nas ubrał się, jak mógł najlepiej, mówiliśmy wszyscy pięknie i byliśmy bardzo szczęśliwi z wyjątkiem dwóch młodzieniaszków, studentów, którzy dopiero co wrócili z Niemiec, osobników pospolitych, kręcących się niespokojnie, jakby nie mogli sobie znaleźć miejsca. Prawdę mówiąc, byliśmy dla nich zbyt inteligentni. Błyskotliwa, a przy tym światowa konwersacja, w której znajdował wyraz nasz wyszukany smak wszystko to było im całkiem obce. Znaleźli się po prostu nie w swoim towarzystwie. Nie należało ich tu wpuścić. Wszyscy się na to zgodzili,post factum.

Graliśmy morceauxstarych niemieckich mistrzów. Rozprawialiśmy na tematy filozoficzne i z dziedziny etyki. Flirtowało się z godnością nie pozbawioną gracji. Nawet żartowało się co nieco — na najwyższym poziomie.

Po kolacji ktoś zarecytował francuski wiersz, bardzo piękny — wszyscy to przyznali. Potem jedna z pań zaśpiewała sentymentalną balladę po hiszpańsku, parę osób szlochało — tak dalece ballada chwytała za serce.

Na to wstają ci dwaj młodzieńcy i pytają, czyśmy słyszeli kiedy, jak Herr Doppen Schkoppel (właśnie przybył i znajduje się na dole w jadalni) śpiewa znakomitą niemiecką wesołą pieśń.

Nikt z nas nie słyszał.

Obaj młodzieńcy zapewnili nas, że jest to zupełnie niebywała i najśmieszniejsza piosenka w repertuarze światowym i że, jeśli chcemy, mogą Herr Doppen Schkoppela, ich dobrego znajomego, nakłonić, aby ją zaśpiewał. Piosenka — mówili — jest tak ucieszna, że owego czasu, kiedy Herr Doppen Schkoppel zaśpiewał ją przed niemieckim cesarzem, trzeba go (cesarza niemieckiego) było zanieść do łóżka, tak się rozśmiał.

Nikt nie potrafi — zapewniali dalej — wykonać tej śpiewki tak jak Herr Doppen Schkoppel. Przez cały czas zachowuje

śmiertelną powagę i mogłoby się komu zdawać, że jest to aria tragiczna, dzięki czemu efekt komiczny jeszcze się potęguje. Profesor ani na włos tonem czy choćby najmniejszym zmrużeniem oka nie daje poznać, że śpiewa śmieszne rzeczy — to by osłabiło wrażenie. Właśnie poważna, niemal wzniosła mina profesora sprawia nieodparty efekt komiczny.

Zawołaliśmy, że gorąco pragniemy usłyszeć pana profesora i chętnie się pośmiejemy. Młodzieńcy zeszli na dół i przyprowadzili Herr Doppen Schkoppela.

Najwidoczniej miał ochotę zaśpiewać, bo zaraz przyszedł i bez słowa siadł do fortepianu.

— Ale się państwo ubawicie! Śmiechu co niemiara — szepnęli młodzieńcy i usadowili się skromnie za plecami profesora.

Herr Doppen Schkoppel sam sobie akompaniował. Preludium właściwie nie zapowiadało komicznej pieśni. Była to jakaś nieziemska, rozdzierająca duszę melodia. Skóra od tego cierpła. Szeptaliśmy jednak sobie na ucho, że widocznie jest to humor na niemiecką modłę, i szykowaliśmy się do śmiechu.

Sam nie rozumiem po niemiecku. Uczyłem się tego w szkole, lecz w dwa lata po jej opuszczeniu nie pamiętałem już ani słowa i jakoś lżej mi się zrobiło na duszy. Jednakże wcale sobie nie życzyłem, aby towarzystwo zebrane w salonie dowiedziało się o mojej ignorancji. Wpadłem, jak mi się wydało, na doskonały pomysł. Miałem na oku obu studentów i robiłem to samo co oni. Chichotałem wraz z nimi, ryczałem ze śmiechu, kiedy oni ryczeli. Ponadto tu i ówdzie wtrącałem uśmieszki na własne ryzyko, co miało świadczyć, że chwytałem iskierki humoru, które uszły uwagi innych. Uważałem to za grę bardzo sprytnie pomyślaną.

W miarę jak pieśń płynęła dalej, zauważyłem, że tak samo jak ja znaczna część obecnych utkwiła wzrok w obu studentach i przyłączyła się do ich chichotów i wybuchów śmiechu. Że zaś obaj młodzieńcy rechotali, śmiali się głośno

i wybuchali niepohamowanym rykiem niemal bez przerwy, wszystko szło jak najlepiej.

A jednak profesora jakoś to nie cieszyło. Kiedy po raz pierwszy zaczęliśmy się śmiać, na jego twarzy odmalowało się bezgraniczne zdziwienie,jak gdyby w głowie mu się nie chciało pomieścić, że słuchacze mogą śmiechem przywitać początek pieśni. Wydawała nam się ta pieśń bardzo zabawna, mówiliśmy sobie, że istotnie poważna mina Niemca odgrywała niemałą rolę w tej zabawie. Najmniejszy znak z jego strony świadczący o tym, że wie, jaki jest śmieszny, popsułby cały efekt. Gdy nie przestawaliśmy się śmiać, zdziwienie profesora ustąpiło miejsca wyrazowi niesmaku i oburzenia — Herr Doppen Schkoppel obrzucił wszystkich wściekłym spojrzeniem (wyjąwszy dwóch młodzieńców, których nie widział, bo siedzieli za nim). Miny profesora przyprawiły naso drgawki. Mówiliśmy do siebie, że chyba skonamy tu ze śmiechu, że od samych słów można dostać epilepsji, a jeszcze jego udana powaga — nie, nie, to stanowczo za wiele!

W ostatnim wierszu piosenki artysta przeszedł samego siebie. Spiorunował nas wszystkich spojrzeniem, które było takim koncentratem wściekłości, że gdyby nas nie uprzedzono o niemieckim stylu interpretacji komicznych pieśni, moglibyśmy się przestraszyć. Profesor na zakończenie osobliwego utworu uderzył w ton tak płaczliwy i bolesny, że gdybyśmy nie wiedzieli, o co chodzi, tobyśmy się popłakali.

Skończył przy akompaniamencie huraganu śmiechu. Wołaliśmy, że w życiu swym nie słyszeliśmy czegoś tak zabawnego. Jakże głęboko niesłuszny — mówiliśmy — w obliczu takich faktów jest rozpowszechniony pogląd, wedle którego Niemcy nie mają ani krzty poczucia humoru. Zapytaliśmy profesora, czemu nie przetłumaczył tej pieśni na język angielski, aby zwyczajni ludzie mogli ją zrozumieć i dowiedzieć się, jak wygląda prawdziwa wesoła piosenka.

Wówczas Herr Doppen Schkoppel zerwał się ze stołka i wyskoczył ze skóry. Klął nas po niemiecku (moim zdaniem jest to język, który świetnie się do tego nadaje), tańcował, wygrażał pięściami i obrzucał nas wszystkimi angielskimi wyrażeniami, jakie były mu znane. Oświadczył nam, że jak żyje, nikt jeszcze tak go nie obraził.

Okazało się, że pieśń wcale nie była wesoła. Opiewała dziewczę, które żyło w Górach Harcu i oddało duszę ratując swego kochanka. On umarł i spotkał jej duszę w obłokach. Potem, pod koniec pieśni, niedobry kochanek zaczął cyganić jej duszę i odfrunął z inną duszyczką — nie jestem całkiem pewny szczegółów, ale w każdym razie historia była nader smutna. Herr Doppen oświadczył nam, iż śpiewał kiedyś tę pieśń cesarzowi niemieckiemu, który łkał przy tym jak dziecko. Utwór ten jest bowiem powszechnie uznany za jedną z najbardziej tragicznych i patetycznych pieśni w języku niemieckim.

Sytuacja była przykra, nawet bardzo przykra. Cóż mogliśmy powiedzieć? Obejrzeliśmy się za dwoma młodzieńcami, ale oni wyszli dyskretnie, ledwie profesor przestał śpiewać.

Na tym przyjęcie się skończyło. Nigdy nie widziałem, żeby towarzystwo rozeszło się w takiej ciszy. Nie było ani cienia zwykłego przy pożegnaniu rozgardiaszu. Nikt nie powiedział nawet ,,do widzenia”. Podążyliśmy wszyscy na dół — szliśmy na palcach, trzymając się strony najmniej oświetlonej. Szeptem poprosiliśmy lokaja o kapelusze, sami otwarliśmy sobie drzwi, wymknęliśmy się na ulicę i każdy, skrzętnie omijając innych, czym prędzej skręcił na rogu.

Odtąd nigdy nie interesowałem się zbytnio niemieckimi pieśniami.

Do śluzy w Sunbury dobiliśmy o pół do czwartej. Rzeka jest cudna i słodka w pobliżu śluzy, a i woda stojąca w śluzie jest urocza. Tylko nie próbujcie tutaj wiosłować pod prąd.

Raz spróbowałem. Siedziałem przy wiosłach i zapytałem facetów, którzy sterowali, czy ich zdaniem da się to zrobić, a

oni na to, że owszem, da się, jeśli będę dobrze ciągnął. Byliśmy pod mostkiem dla pieszych, przerzuconym między jazami, kiedy koledzy mi to powiedzieli. Pochyliłem się nad wiosłami i zacząłem ciągnąć.

Robiłem to wspaniale. Złapałem dobre tempo i świetnie, rytmicznie się kołysałem. Włożyłem w to serce, nogi i plecy. Uderzenie miałem dobre, szybkie, potężne, był to naprawdę znakomity styl. Obaj przyjaciele zapewniali, że aż miło patrzeć na mnie. Po upływie pięciu minut, myśląc, że jesteśmy już blisko drugiego jazu, obejrzałem się. Byliśmy pod mostkiem, dokładnie w tym samym miejscu, w którym przystąpiłem do dzieła, a tych dwóch idiotów śmiało się do rozpuku z narażeniem własnego życia. Harowałem jak wariat po to, aby łódka stała pod mostem. Dziś wiosłowanie pod silny prąd pozostawiam innym.

Wiosłując dopłynęliśmy do Walton. Jak na miejscowość położoną nad rzeką jest to wcale duża mieścina. Na wzór innych miasteczek przybrzeżnych Walton tylko małym swym skrawkiem sięga rzeki, tak że w łodzi można je wziąć za osadę złożoną z nie więcej jak pół tuzina domów. Między Londynem a Oksfordem jedynie Windsor i Abingdon są miastami, które jakoś widać z rzeki. Wszystkie inne ukrywają się i tylko jedną ulicą wyzierają na rzekę — bardzo to ładnie z ich strony i dzięki im za to, że brzegi rzeki pozostawiły lasom, polom i wieżom wodnym.

Nawet Reading, choć robi co może, by zbrudzić, zapaskudzić i zohydzić rzekę na jak największej przestrzeni, ma jednak tyle poczucia przyzwoitości, że chowa swe szpetne oblicze tak, aby go nie było widać z rzeki.

Cezar, rzecz jasna, musiał zawadzić także o Walton. Rozbił tu obóz albo zajął umocnione pozycje, czy jak się to nazywa. Należał do tych, co lubią płynąć pod prąd. Królowa Elżbieta oczywiście też tu była. Od tej kobiety nie odczepisz się, gdziekolwiek byś się udał. Cromwell i Bradshaw (nie nasz przewodnik, lecz ten, co poprowadził króla Karola na

ścięcie) także zapewne tu gościli. We dwóch musieli stanowić małe, ale dobrane towarzystwo.

W kościele waltońskim można zobaczyć żelazną „uzdę jędzy”. Ongiś używało się tego do trzymania w karbach niewieścich języków. Dziś poniechano tych prób. O żelazo obecnie nie tak łatwo, a nic innego nie wytrzyma.

Są też w tym kościele groby godne uwagi. Bałem się, że nie zdołam oderwać od nich Harrisa. Ale jakoś zapomniał i szczęśliwie minęliśmy kościół. Powyżej mostu rzeka okrutnie się wije. Widok dzięki temu jest malowniczy, ale z punktu widzenia osoby holującej łódź lub wiosłującej, rzecz ta działa na nerwy i jest przyczyną sporów między tym, co ciągnie łódź, a tym, co steruje.

Mijamy Oatlands Park, leżący na prawym brzegu. Jest to słynna stara posiadłość. Henryk VIII ukradł ją komuś — zapomniałem komu — i sam tu zamieszkał. W parku oatlandzkim znajduje się grota, którą można obejrzeć za opłatą. Mówią o niej jako o czymś zupełnie niezwykłym, osobiście nie widzę w niej nic nadzwyczajnego. Nieboszczka księżna Yorku, która mieszkała w Oatlands, przepadała za psami i miała ich mnóstwo. Kazała założyć specjalny psi cmentarz, gdzie grzebano je po śmierci. Leży ich tutaj z pięćdziesiąt, każdy ma nagrobek z epitafium.

No cóż, śmiem twierdzić, że pies ma prawo do nagrobka, jak każda chrześcijańska dusza.

Pod Corway Stakes — na pierwszym zakręcie powyżej waltońskiego mostu — Cezar stoczył bitwę z Cassivelaunusem. Ten drugi przygotował rzekę na powitanie Cezara w ten sposób, że nawbijał w nią pali co niemiara (i zapewne powywieszał na nich ostrzeżenia). Cezar mimo to przeszedł Tamizę. Nie należał do tych, co daliby się odpędzić od rzeki. Oto człowiek, który przydałby się nam dzisiaj w tych stronach.

Miasteczka Halliford i Shepperton, oglądane z rzeki, robią nie najgorsze wrażenie, ale nie ma w nich nic godnego uwagi. Na cmentarzu w Shepperton jest jednak nagrobek z

wierszowanym napisem, trochę więc bałem się, żeby Harrisowi nie przyszła ochota wysiąść i jeszcze raz się wygłupić. Właśnie mieliśmy minąć przystań, gdy zauważyłem, że Harris utkwił w niej tęskne spojrzenie, wobec czego zręcznym ruchem zrzuciłem mu czapkę do wody. Tak się podniecił przy jej łowieniu i tak go oburzyła moja niezręczność, że zapomniał o swej żyłce do grobów.

Pod Weybridge naraz wpadają do Tamizy: rzeka Bourne, kanał Basingstoke i Wey (piękna rzeczka, żeglowna dla mniejszych łodzi aż do Guildford. Od dawna wielokrotnie postanawiałem ją zbadać i dotąd tego nie zrobiłem). Śluza leży w sam raz naprzeciwko miasta. Gdy podpłynęliśmy do niej, pierwszą rzeczą, jaką zobaczyliśmy, był blezer Jerzego na tle jednej z bram śluzy. Bliższe oględziny wykazały, że w środku tego blezera znajduje się Jerzy.

Montmorency zaczął ujadać jak opętany, ja krzyczałem, Harris ryczał. Jerzy powiewał kapeluszem i też się darł. Dozorca śluzy, sądząc, że ktoś wpadł do wody, wybiegł z bosakiem i zmartwił się, gdy ujrzał, że nic się nie stało.

Jerzy trzymał w ręce jakiś dziwny przedmiot owinięty w ceratę. Było to płaskie i okrągłe, z wystającą długą, prostą rączką.

— Co to? — zapytał Harris. — Patelnia?

— Nie — odparł Jerzy z dziwnym, nieprzytomnym błyskiem w oczach. — Wszyscy szaleją za tym w obecnym sezonie. Każdy bierze to z sobą na wycieczkę po rzece. Banjo.

— Nie wiedziałem, że grasz na banjo! — Harris i ja krzyknęliśmy jednym głosem.

— Nie mówię, że gram — odrzekł Jerzy. — Ale słyszałem, że to bardzo łatwo. Mam z sobą samouczek gry na banjo.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

***Dajemy Jerzemu pracę. Ohydne naro*wy lin holowniczych. Niegodne postępki „dwójki”. Holujący i holowani. Odkrycie pożytku z zakochanych. Dziwne zniknięcie starszej pani. Co nagle, to po diable. Kiedy holują nas dziewczęta. Silne wzruszenia. Zginęła śluza, czyli: straszy na rzece. Muzyka. Ocaleni!**

Zaprzęgliśmy Jerzego do roboty, ledwie dostaliśmy go w ręce. Oczywiście nie palił się do pracy, jakżeby mogło być inaczej? Miał dziś — tłumaczył nam — ciężką harówkę w City. Harris, człowiek z natury dość gruboskórny i nieskłonny do litości, powiedział:

— Aha, aha. Teraz dla odmiany będziesz miał ciężką harówkę na rzece. Każdy potrzebuje odmiany, dla zdrowia. Wyłaź!

Sumienie — nawet sumienie Jerzego — nie pozwalało mu protestować, więc tylko nieśmiało wspomniał, iż może lepiej byłoby, gdyby został w łodzi i zaparzył herbatę, a my dwaj byśmy trochę pociągnęli, bo przy parzeniu herbaty człowiek dobrze się musi nauwijać, my zaś wyglądamy na zmęczonych. Jedyną naszą odpowiedzią było wręczenie mu liny. Wziął ją w rękę i wyszedł na brzeg.

Lina holownicza bardzo jest dziwną i niepojętą rzeczą. Zwijasz ją z taką cierpliwością i troską, jakbyś składał nowe spodnie, a gdy podniesiesz w pięć minut później, jest jednym wielkim węzłem, potwornym i wołającym o pomstę do nieba.

Nie chciałbym tu rozsiewać niegodnych plotek, a jednak wierzę niezłomnie, iż gdybyście wzięli zwykłą linę do holowania i wyciągnęli ją w szczerym polu, odwrócili się do

niej plecami na pół minuty, a potem znów na nią spojrzeli, przekonalibyście się, że sama ułożyła się w kłębek na środku pola, pozwijała się, powiązała w węzły, straciła oba końce i zamieniła się w jeden wielki gruzeł. Aby go rozsupłać, trzeba przez dobre pół godziny siedzieć na trawie i cały czas kląć siarczyście.

Takie jest moje zdanie o linach holowniczych w ogóle. Oczywista, mogą być godne wyjątki; nie mówię, że ich nie ma. Są może liny, które przynoszą zaszczyt swemu zawodowi, rzetelne, przyzwoite liny — którym, gdy się je zostawi na chwilę, nie przywiduje się, że są robótkami szydełkowymi, i nie zaczynają same się dziergać, aby służyć jako narzuty na fotele. Powiadam: mogą być i przyzwoite liny. Mam nadzieję, że są. Ale ja się z nimi nie spotkałem.

Naszą linę wziąłem sam w ręce tuż przed śluzą. Nie pozwoliłem tykać jej Harrisowi, bo to niedbaluch. Zwinąłem ją pomalutku i ostrożnie,przywiązałem w środku, złożyłem na dwoje i delikatnie zdeponowałem na dnie łodzi. Harris podniósł ją w sposób zgoła naukowy i wetknął w rękę Jerzemu. Ten chwycił linę mocno i trzymając z daleka od siebie zaczął rozwijać, jakby miał w ręku pieluszki noworodka. I zanim rozwinął dwanaście jardów, rzecz ta bardziej przypominała spartoloną słomiankę niż cokolwiek innego.

Zawsze tak jest i historia ta powtarza się bez końca. Człowiek usiłujący rozplątać linę uważa, że wszystkiemu winien jest ten, kto ją zwijał. A wiadomo, że na Tamizie — co na sercu, to na języku.

— Coś ty chciał z niej zrobić, sieć rybacką? Aleś napaskudził, czemuś nie zwinął jej jak należy, ty kukło? — burczy co chwila. Walczy przy tym zaciekle z liną, rozkłada ją na ścieżce i skacze wokół niej, na próżno szukając końca.

Człowiek zaś, który zwijał linę, uważa, iż ten, co próbuje teraz ją rozsupłać, sam wszystko poplątał.

— Lina była w porządku, gdyś ją brał! — woła z oburzeniem. — Czemu nie myślisz o tym, co robisz? Rzucasz

się, jakby ci się paliło pod nogami. Ty byś słup telegraficzny zasupłał!

Tak się przy tym na siebie rozsierdzą, że jeden by drugiego powiesił na tej linie. Po dziesięciu minutach pierwszy wznosi dziki okrzyk — szał go ogarnia, tańczy na linie i próbuje wyprostować ją, łapiąc, gdzie popadnie, i ciągnąc z całej siły. W ten sposób, rzecz jasna, jeszcze mocniej ją zaplątuje. Wówczas jego towarzysz wyłazi z łódki i śpieszy na pomoc. Jeden drugiemu wchodzi w drogę i wzajemnie sobie przeszkadzają. Obaj łapią ten sam kawałek, ciągną każdy w swoją stronę i dziwią się, że lina tak mocno trzyma. Kiedy nareszcie ją rozplączą, odwracają się i widzą, że łódź sama popłynęła i zmierza prosto na śluzę.

Sam byłem świadkiem czegoś podobnego. Było to niedaleko za Boveney pewnego wietrznego poranka. Wiosłowaliśmy z prądem i gdyśmy minęli zakręt, zauważyliśmy na brzegu dwóch mężczyzn. Patrzyli na siebie z wyrazem takiego osłupienia i żałosnej bezradności, że ani przedtem, ani potem nie widziałem czegoś podobnego na ludzkiej twarzy. Trzymali między sobą długą linę holowniczą. Jasne było, że coś tu się stało, odłożyliśmy więc wiosła i zapytaliśmy, jak mamy to rozumieć.

— Ano tak, że łódka nam uciekła! —jeden z nich odparł z oburzeniem. — Wysiedliśmy na chwilę, żeby rozsupłać, linę holowniczą, a kiedy obejrzeliśmy się, już łódki nie było.

Wyraźnie bolał ich niecny i niewdzięczny postępek łódki. Znaleźliśmy zbiega pół mili niżej, zatrzymanego przez sitowie, przyholowaliśmy z powrotem. Idę o zakład, że przez cały tydzień dobrze jej pilnowali.

Nigdy nie zapomnę widoku tych dwóch mężczyzn chodzących po brzegu tam i z powrotem z liną w ręku i szukających łódki.

Gdy się wędruje w górę rzeki, widzi się mnóstwo zabawnych sytuacji na tle holowania łódek. Do najczęstszych należy widok dwóch holujących, którzy żwawo kroczą wzdłuż brzegu pochłonięci ożywioną rozmową,

podczas gdy ten trzeci, w łódce, sto jardów za nimi, na próżno krzyczy, żeby stanęli, i rozpaczliwie wywija wiosłem w ich stronę. Coś się stało — ster obsunął się, bosak wyśliznął się za burtę lub kapelusz wpadł sternikowi do wody i jak strzała mknie z nurtem rzeki. Facet woła, by stanęli, zrazu tonem łagodnym i uprzejmym.

— Ej! Stańcie na chwileczkę! Dobrze? — pokrzykuje wesoło. — Kapelusz wpadł mi do wody.

Potem:

— Ej! Tomek! Rysiek! Czy wy nie słyszycie? — tym razem już nie nazbyt uprzejmym tonem.

Następnie:

— Ej tam! Szlag by was trafił, durne matołki! Ej! Stać! Ach, wy...!

Potem zrywa się, przytupuje jak w tańcu, ryczy tak, że twarz nabiega mu krwią, i miota w tamtych wszystkimi przekleństwami, jakie zna. A na brzegu chłopaczki przystają, strugają mu marcheweczkę, rzucają do niego kamieniami, kiedy ich mija z szybkością czterech mil na godzinę i nie może wysiąść z łódki.

Wielu tych przykrości można by uniknąć, gdyby ci, którzy holują, stale pamiętali o tym, co robią, i dość często oglądali się, by zobaczyć, jak się miewa ich pasażer. Najlepiej, jeśli holuje jedna osoba. Gdy czyni to dwóch, zaczynają pytlować i zapominają o swym zadaniu, a łódka zbyt mały stawia opór, by mogła im o tym przypomnieć.

Później, kiedy po kolacji rozprawialiśmy na ten temat, Jerzy opowiedział nam bardzo ciekawy wypadek na dowód, jak dalece mogą się zapomnieć dwie osoby holujące łódkę.

Pewnego wieczoru wiosłował wraz z trzema przyjaciółmi płynąc z Maindenhead w górę rzeki łodzią z ciężkim ładunkiem. Tuż za śluzą w Cookham zauważyli gościa z dziewczyną. Szli ścieżką nad wodą pogrążeni w rozmowie, zapewne niezmiernie ciekawej. Między sobą nieśli jak dyszel bosak z przyczepioną do niego liną, która sunęła po ziemi i jednym końcem zanurzała się w wodzie. Łódki nie było ani

widu, ani słychu. Kiedyś jakaś łódka musiała być przywiązana do owej liny, to pewne. Ale co się z nią stało, jaki straszny los spotkał ją i tych, którzy w niej siedzieli — to było otoczone mgłą tajemnicy. Cokolwiek się stało, ani trochę nie zmąciło spokoju panny i towarzyszącego jej młodego dżentelmena. Mielibosak, mieli linę i uważali, że niczego im więcej nie trzeba.

Jerzy już chciał zawołać i obudzić tę parkę, ale nagle błysnęła mu pewna myśl i ugryzł się w język. Wziął bosak, sięgnął nim do liny, zaczepił jej koniec i przyciągnął ją na łódkę. Zrobili pętlę na końcu liny, zarzucili ją na maszt, odłożyli wiosła, siedli na rufie i zapalili fajki.

W ten sposób dwoje młodych ludzi ciągnęło czterech zwalistych chłopów i ciężką łódź aż do Marlow.

Jerzy nigdy nie widział tyle najgłębszego smutku w jednym spojrzeniu, ile zobaczył, gdy tamci dwoje spostrzegli się przy śluzie, że dwie mile holowali nie swoją łódkę. Młodzieniec niechybnie pofolgowałby swemu językowi, gdyby nie krępował się obecnością słodkiego dziewczęcia.

Dziewczyna pierwsza ochłonęła z osłupienia. Załamała ręce i nieprzytomnym głosem zawołała:

— Och, Henryku, gdzie ciocia?

— Czy odnaleźli starszą panią? — zainteresował się Harris.

Jerzy nie wiedział.

A oto inny przykład na dowód, jakim niebezpieczeństwem grozi brak zrozumienia między holującym a holowanym. Jerzy i ja byliśmy świadkami tego zdarzenia. Stało się to tuż za Walton, w miejscu, gdzie ścieżka holownicza łagodnym spadkiem skłania się ku rzece i nawetsię w niej zanurza. Siedzieliśmy na drugim brzegu i obserwowaliśmy świat. Niebawem ukazała się na rzece mała łódź, którą z zawrotną szybkością ciągnęło na linie potężne konisko z maleńkim chłopczyną na grzbiecie. W łodzi porozkładało się leniwie i sennie pięciu chłopa, przy czym sternik rozwalił się najwygodniej ze wszystkich.

— Bodaj mu się linki pomyliły — szepnął Jerzy, kiedy łódź nas mijała.

W tej samej chwili sternik pociągnął za niewłaściwą linkę i łódź wpikowała się na brzeg z takim trzaskiem, jakby ktoś darł czterdzieści tysięcy lnianych prześcieradeł. Dwóch ludzi, kosz i trzy wiosła natychmiast wysiadło przez lewą burtę i spoczęło na brzegu, a w trzy ćwierci sekundy później dwóch następnych panów wylądowało przez prawą burtę i usiadło wśród bosaków, żagli, toreb podróżnych i butelek. Ostatni z piątki zrobił dwadzieścia jardów drogi i na jej końcu stanął sobie na głowie.

To znacznie ulżyło łodzi, popłynęła więc lekko dalej, a chłopczyk nie żałując gardła nakłonił swego rumaka do galopu. Faceci siedzieli i patrzyli na siebie. Dopiero po chwili zrozumieli, co im się przydarzyło. Zaczęli gromkimi głosami wołać na chłopca, żeby zaczekał. Ale chłopczyną zbyt był zajęty popędzaniem konia, żeby mógł ich usłyszeć. Śledziliśmy wzrokiem pięciu panów w pogoni za zbiegiem, aż zniknęli nam z oczu na horyzoncie.

Nie powiem, bym ich żałował. Po prawdzie, wszystkim młodym narwańcom, którzy zaprzęgają konie do łódki — a jest ich niemało — życzę z całego serca, by ich spotkała podobna przygoda. Nie tylko bowiem sami narażają się na niebezpieczeństwo, ale stanowią groźbę i utrapienie dla każdej łódki na swej drodze. Jadą tak szybko, że ani sami nie mogą ustąpić z drogi, ani inni nie zdążą zjechać w bok. Ich lina zawadza o twój maszt i wywraca łódkę albo trafia na któregoś z pasażerów i wrzuca go do wody lub zostawia mu pręgę na twarzy.

Najlepszym sposobem na takich jest postawić się ostro i być gotowym do odpędzenia ich grubszym końcem masztu.

Najwięcej jednak wrażeń można doznać, gdy łódkę ciągną na linie dziewczęta. Są to przeżycia, których nikt nie powinien sobie odmówić. Trzeba do tego trzech dziewcząt: dwie trzymają linę, a trzecia lata w kółko i chichocze. Z reguły zaczynają od tego, że się zaplątują w linę. Najpierw

pętają sobie nogi — muszą usiąść na ścieżce i jedna drugą wysupłać — potem zakładają sobie linę na szyję i niewiele brakuje, żeby się udusiły. W końcu jednak udaje im się linę wyprostować i ruszają biegiem, ciągnąc łódkę z szybkością zgoła niebezpieczną. Po stu jardach gonitwy nie mogą, rzecz jasna, złapać tchu, więc nagle zatrzymują się, wszystkie trzy siadają na trawiei śmieją się jak najęte, a tymczasem twoją łódkę prąd unosi na środek rzeki i nawraca — zanim się połapiesz, co się stało, i zdążysz chwycić za wiosło. Dziewczęta zrywają się na nogi i są zdziwione.

— Och, popatrz! — mówią. — On już jest na samym środku rzeki.

Potem przez chwilę ciągną uczciwie, aż nagle jednej strzela do głowy, że podkasze sobie spódnicę. W tym celu wszystkie trzy przystają, a łódka pakuje się na brzeg.

Zrywasz się, wiosłem odpychasz łódź od brzegu i wołasz do dziewcząt, żeby szły dalej.

— Tak — krzyczą w odpowiedzi. — Czego chcesz?

— Nie zatrzymujcie się! — ryczysz.

— Co „nie się”?

— Nie zatrzymujcie się! Idźcie, idźcie dalej!

— Wróć no się, Emilio, i dowiedz się, czego chcą — mówi jedna z nich.

Emilia wraca i pyta:

— Czego chcecie? Stało się co?

— Nie, nic się nie stało. Tylko idźcie, rozumiesz, nie zatrzymujcie się.

— Czemu?

— Jak to czemu? Nie możemy sterować, jak wy wciąż przystajecie. Musicie trzymać dystans.

— Co trzymać?

— Trzymać dystans, bez przerwy ciągnąć łódkę.

— Aha! Dobrze, powiem im. Ale dobrze to robimy?

— Aha, no pewnie, cudownie, tylko się nie zatrzymujcie.

— Holować to żadna sztuka. Myślałam, że to znacznie trudniej.

— Och, to całkiem proste. Tylko trzeba iść równym krokiem, to wszystko.

— Jasne. Słuchaj, daj mi mój czerwony szal, leży pod poduszką.

Znajdujesz szal, wręczasz go Emilii, a tymczasem wraca druga i po namyśle też chce wziąć szal. Bierze na wszelki wypadek szal Marysi, ale Marysia nie ma ochoty na szal, więc przynoszą go z powrotem, a za to biorą grzebyk. Mija dwadzieścia minut, zanim ruszą w dalszą drogę, a na najbliższym zakręcie zobaczą krowę — musisz wyjść z łódki i przegnać krowę z ich drogi.

Nie nudzisz się ani trochę w łódce, którą holują dziewczęta.

Po jakimś czasie Jerzy wyprostował linę i ciągnął nas wytrwale aż do Penton Hook. Tam omówiliśmy ważny problem noclegu. Postanowiliśmy spędzić pierwszą noc na łodzi. Mieliśmy do wyboru: zostać na noc tutaj lub popłynąć dalej i minąć Staines. Ale słoneczko jeszcze świeciło i za wcześnie było na to, żeby już tutaj nocować.

Ostatecznie więc zadecydowaliśmy zrobić jeszcze trzy i pół mili i zatrzymać się w Runnymede, na zalesionym brzegu, w miejscu osłoniętym od wiatrów.

Potem żałowaliśmy jednak, że nie zostaliśmy na noc w Penton Hook. Trzy albo i cztery mile pod prąd wczesnym rankiem to bagatelka, ale pod koniec długiego dnia to ciężka mordęga. Już was nie interesuje piękny krajobraz. Nie gawędzi się ani dowcipkuje. Pół mili dłuży się jak dwie. Nie chce wam się wierzyć, że jesteście tam, gdzie jesteście, i dalibyście głowę, że mapa kłamie. Kiedy zmordowaliście, jak wam się zdaje, już co najmniej dziesięć mil, a śluzy wciąż nie widać, zaczynacie naprawdę podejrzewać, że ktoś ukradł śluzę i zwiał.

Kiedyś w podobnych okolicznościach strasznie wpadłem (nie do wody, tylko w ogóle wpadłem). Wybrałem się łódką z młodą damą — moją kuzynką po kądzieli — płynęliśmy z prądem do Goring. Było już dość późno. Chcieliśmy jak

najprędzej być w domu, przynajmniej jej na tym zależało. O pół do siódmej dobiliśmy do śluzy w Benson. Zapadł zmierzch. Moja towarzyszka zaczęła się niepokoić. Powiedziała, że musi wrócić na kolację. Odparłem, że ja też nie chciałbym się spóźnić, i wyciągnąłem z kieszeni mapę, by dokładnie określić, jak daleko mamy do domu. Do najbliższej śluzy, w Wallingford, było półtorej mili, a stamtąd do Cleeve — pięć.

— Nie ma strachu! — powiedziałem. — Przed siódmą przeprawimy się przez najbliższą śluzę i potem zostanie nam tylko jedna.

To mówiąc przyłożyłem się tęgo do wioseł.

Minęliśmy most. W chwilę potem zapytałem ją, czy widzi śluzę. Powiedziała, że nie, żadnej śluzy nie widzi. Odparłem: „Och!” i dalej wiosłowałem. W pięć minut poprosiłem, żeby zobaczyła, czy nie widać śluzy.

— Nie — rzekła. — Ani śladu.

— A... a... — zapytałem — czy ty potrafisz odróżnić śluzę od czego innego? — Zapytałem nieśmiało, aby jej nie dotknąć.

Jakoś nie obraziła się, tylko zaproponowała, żebym najlepiej zobaczył sam. Odłożyłem wiosła i spojrzałem za siebie. W szarym zmroku widać było prostą linię rzeki na jakąś milę przed nami, a śluzy ani śladu.

— Ale nie zbłądziliśmy, prawda, że nie? — zapytała dziewczyna. Nie mogłem zrozumieć, jak to się stało. Może wciągnął nas prąd rwący w stronę odnogi i płyniemy prosto na wodospady.

Gdy podzieliłem się tym przypuszczeniem ze swą towarzyszką, wcale jej to nie pocieszyło. Zaczęła płakać. — Teraz oboje — mówiła — utoniemy i w ten sposób zostanę ukarana za to, że wybrałam się z tobą na spacer po rzece.

— Byłaby to zbyt surowa kara — zauważyłem, lecz kuzynka nie dała się przekonać. Pragnęła tylko, by to wszystko szybko się skończyło.

Starałem się uspokoić ją i zbagatelizować naszą przygodę. — Rzecz w tym — mówiłem — że pewnie wiosłowałem nie tak szybko, jak mi się zdawało, ale teraz podgonimy i zaraz będziemy przy śluzie.

Po czym zrobiłem jeszcze jedną milę.

Sam zacząłem się niepokoić. Jeszcze raz spojrzałem na mapę. Śluza wallingfordzka była najwyraźniej oznaczona w odległości półtorej mili od śluzy w Benson. Mapa była dobra i solidna, a poza tym sam pamiętałem tę śluzę. Dwa razy przez nią się przeprawiałem. Gdzież więc jesteśmy? Co się z nami stało? Przyszło mi na myśl, że to chyba sen, leżę w łóżku i śpię, zaraz się obudzę i powiedzą mi, że jest już po dziesiątej.

Zapytałem kuzynkę, czy nie uważa tego za sen. Odparła, że właśnie chciała mnie zapytać o to samo. Zaczęliśmy zastanawiać się, czy oboje nie śnimy, a jeśli tak, to kto naprawdę śni, a kto jest tylko cudzym snem. Bardzo nas to zainteresowało.

Wiosłuję jednak bez przerwy, a tu śluzy wciąż nie widać, rzeka staje się coraz bardziej posępna i tajemnicza wśród gęstniejących cieniów nocy, świat wokół nas robi się niemiły i niesamowity. Myślę o elfach, skrzatach, błędnych ognikach i tych bezecnych dziewczętach, które przez całą noc siedzą na skałach i wabią ludzi w odmęty itd. Żałuję, że nie wiodłem życia cnotliwszego i tak mało znam psalmów. Pośród tych rozważań usłyszałem błogosławione dźwięki pieśni „Ale mu się nic nie stało!”, granej, z fałszem, na harmonii. Byliśmy ocaleni.

W zasadzie nie zachwycam się harmonią. A mimo to jakże urocza wydała się nam obojgu ta melodia, o ileż piękniejsza niż głos Orfeusza, dźwięki lutni Apolla i tym podobna muzyka. Umysły nasze znajdowały się w takim stanie, że niebiańskie pienia mogły nas tylko jeszcze bardziej przygnębić. Pełną harmonii, do głębi wzruszającą pieśń, i do tego poprawnie wykonaną, przyjęlibyśmy za ostrzeżenie dla naszych duszyczek i porzucilibyśmy wszelką

nadzieję. Natomiast w urywanych dźwiękach „Ale mu się nic nie stało!”, płynących z mimowolnymi wariacjami z piskliwej harmonii, było coś bardzo ludzkiego i pokrzepiającego na duchu.

Słodkie dźwięki zbliżały się do nas i po chwili łódka, z której płynęły, zrównała się z nami.

Siedziało w niej kilku wiejskich kawalerów, którzy ze swymi pannami wybrali się na spacer w noc księżycową (księżyca wprawdzie nie było, ale to już nie ich wina). Jak żyję, nie widziałem ludzi bardziej miłych i sympatycznych. Pozdrowiłem ich, zapytałem, czy mogą mi wskazać drogę do śluzy w Wallingford, i dodałem, że szukam tej śluzy już od dwóch godzin.

— Śluza w Wallingford! — zawołali. — A niechże panu szanownemu Bóg da zdrowie! Znieśli ją, panie drogi, więcej niż rok temu. Nie ma jej, panie szanowny. Jesteś pan tuż pod Cleeve. Bill, słuchaj, ten pan szuka śluzy w Wallingford, jak pragnę Boga!

Nigdy bym w to nie uwierzył, że jesteśmy koło Cleeve. Miałem ochotę rzucić im się na szyję i serdecznie ich ucałować. Rzeka jednak zbyt wartko płynęła w tym miejscu, musiałem więc powściągnąć swe zapały i ograniczyć się do słów podzięki.

Ale dziękowaliśmy im stokrotnie. Powiedzieliśmy też, że noc jest cudna, życzyliśmy im miłego spaceru po rzece, ja — zdaje się — zaprosiłem ich na tydzień do siebie, a kuzynka oświadczyła, że mama bardzo im będzie rada, jeśli przyjdą z wizytą. Potem zaśpiewaliśmy we dwójkę pieśń żołnierzy z „Fausta” i, mimo wszystko, zdążyliśmy do domu na kolację.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

***Nasza pierwsza noc. Pod żaglowym* płótnem. Wołanie o pomoc. Przekora czajników - jak sobie z nią poradzić? Kolacja. Kiedy jesteśmy dobrzy ? Poszukiwana bezludna wyspa, sucha, z wygodami, najchętniej w okolicy południowej części Oceanu Spokojnego. Zabawna przygoda ojca Jerzego. Bezsenna noc.**

Harris i ja już myśleliśmy, że śluzę w Bell Weir też chyba zniesiono. Jerzy ciągnął nas do Staines, gdzie my dwaj go zluzowaliśmy. Mieliśmy wrażenie, iż ciągniemy za sobą pięćdziesiąt ton i że zrobiliśmy już czterdzieści mil. Było pół do ósmej, gdyśmy przeprawili się przez śluzę. Wsiedliśmy wszyscy da łodzi. Płynąc wzdłuż lewego brzegu rozglądaliśmy się za miejscem, gdzie można by zawinąć.

Pierwotnie zamierzaliśmy zatrzymać się na wyspie Magna Charta, która należy do najbardziej uroczych zakątków na Tamizie, wijącej się tutaj cichą zieloną doliną. Chcieliśmy rozbić namiot w którejś z malowniczych zatoczek, jakich wiele wokół tej wysepki. Ale znacznie mniej niż w ciągu dnia cniło nam się teraz za malowniczymi widokami. Skrawek wody między barką z węglem a gazownią zupełnie by nam na tę noc wystarczył. Nie nęcił nas piękny krajobraz. Chcieliśmy zjeść kolację i iść spać. Dowiosłowaliśmy jednak do cypla pod nazwą „Picnic Point”. Wpłynęliśmy do przemiłego zakątka pod wiązem i przycumowaliśmy łódź do wystających nad wodą korzeni tego wyniosłego drzewa.

Wówczas pomyśleliśmy o kolacji (podwieczorku nie jedliśmy, aby zyskać na czasie), ale Jerzy zaprotestował: — Lepiej naprzód rozpiąć namiot, zanim zupełnie się ściemni, teraz będziemy jeszcze widzieli, co robimy. Po pracy —

mówił — zasiądziemy do kolacji z czystym sumieniem i swobodną głową.

Nikomu z nas nawet się nie śniło, że rozpięcie płachty może wymagać tyle zachodu. W teorii wyglądało to niezwykle prosto. Bierze się pięć żelaznych kabłąków, podobnych do bramek używanych przy grze w krokieta, tylko znacznie większych, umocowuje się te kabłąki nad łodzią, potem rozpościera się na nich płótno i przywiązuje na dole. Trwa to wszystko dziesięć minut. Tak nam się zdawało.

Nie doceniliśmy zadania, jakie stało przed nami.

Podnieśliśmy żelazne pałąki i usiłowaliśmy wepchnąć ich końce w gniazda służące do tego celu. Trudno uwierzyć, że jest to praca niebezpieczna, a jednak gdy dziś spoglądam wstecz, dziw mnie bierze, że ktoś spośród nas uszedł z życie mi może dać świadectwo prawdzie. Bo nie pałąki to były, lecz szatany. Najpierw w ogóle nie chciały wleźć do swoich gniazdek i musieliśmy rzucać się na nie, kopać i tłuc je bosakiem. A kiedy wlazły, wyszło na jaw, że się wpakowały w nie swoje gniazda i muszą się stamtąd wynosić.

Ale nie chciały wyłazić i dopiero kiedy my dwaj wzięliśmy się do nich, po pięciominutowej walce nagle wyskoczyły i rzuciły się na nas — chciały nas wrzucić do wody i utopić. Na środku miały zawiasy. Wystarczyła chwila nieuwagi, żeby szczypały nas nimi w delikatne części ciała. Gdyśmy szarpali się z jedną stroną pałąka, usiłując nakłonić ją, by spełniła swą powinność, druga strona tchórzliwie zachodziła nas od tyłu i waliła w głowę.

W końcu umocowaliśmy te pałąki. Pozostało nam tylko rozpiąć na nich płótno. Jerzy rozwinął je i umocował jeden koniec nad dziobem łódki. Harris stał w środku i miał przejąć płótno od Jerzego, rozwinąć dalej i mnie przekazać resztę, na którą czekałem w tyle łodzi. Długie to było czekanie. Jerzy swoją część roboty wykonał bez zarzutu, ale Harris nie znał się na tym i wszystko poplątał.

Jak on to zrobił, nie wiem, i on sam tego nie umiał wyjaśnić. Dość powiedzieć, że zrobił taki jakiś hokus-pokus,

iż po dziesięciu minutach nadludzkiego wysiłku zdołał dokumentnie zapakować się w to płótno. Był nim owinięty tak mocno, tak ściśle opatulony i złożony we dwoje, że ani rusz nie mógł się wydostać. Oczywiście, zapamiętale walczył o wolność — swoboda jest przecież przyrodzonym prawem każdego Anglika — i w trakcie tych zapasów (jak się później dowiedziałem) okładał Jerzego, gdzie popadło. Wówczas Jurek, klnąc Harrisa, ruszył do boju i s a m się zamotał i zrolował w płótnie.

Ja o niczym nie wiedziałem. O rozwijaniu namiotu nie miałem zielonego pojęcia. Kazali mi stać na rufie i czekać, aż płótno przyjdzie do mnie. Staliśmy więc obaj, Montmorency i ja, i czekaliśmy, potulni jak dwa baranki. Owszem, widzieliśmy, że płótno nielicho podryguje i szarpie się na wszystkie strony, ale przypuszczaliśmy, że inaczej być nie może, i nie mieszaliśmy się do tego.

Słyszeliśmy też stłumione głosy ludzkie, dochodzące spod spodu. Domyślając się, że robota nie idzie lekko, postanowiliśmy czekać, aż sytuacja się nieco uprości, i dopiero wtedy wykonać to, co do nas należy.

Czekaliśmy dość długo i przez cały czas sytuacja coraz bardziej się wikłała. Wreszcie z kłębowiska wychynęła nad burtę głowa Jerzego i przemówiła:

— Pomóżże nam, dudku! Stoisz tam jak wypchana mumia. Widzisz przecie, że się dusimy, ty lalo malowana!

Nigdy nie zatykam uszu, gdy słyszę wołanieo pomoc, więc podszedłem i wyplątałem ich z płótna. Czas był ostatni, bo Harrisowi twarz już dobrze zsiniała.

Trzeba było jeszcze pół godziny ciężkiej pracy, aby namiot prawidłowo rozpiąć, po czym pozamiataliśmy i zaczęliśmy przygotowania do kolacji. Kociołek z wodą postawiliśmy na maszynce z przodu łodzi, a sami przeszliśmy na rufę i udając, że nic on nas nie obchodzi, zabraliśmy się do wyjmowania z kosza żywności.

Tylko w ten sposób można na rzece nakłonić kociołek, żeby się zagotował. Bo jak zobaczy, że czekacie na niego z

niecierpliwością, nigdy nie zaśpiewa swej piosenki. Należy więc odejść i zacząć jeść, jakby wam ani w głowie było pić herbatę. Najlepiej przy tym wcale się na niego nie oglądać. Wówczas wnet usłyszycie bulgotanie wody, która rwie się do tego, by zostać herbatą.

Jeśli bardzo wam się śpieszy, możecie wiele zdziałać wołając do siebie, że nie macie ochoty na herbatę i wcale jej nie 'będziecie pili. Trzeba podejść do kociołka tak, żeby wszystko słyszał,i krzyknąć na całe gardło: „Ja nie będę pił herbaty, a ty, Jerzy?”, na co on woła: ,,Ja? Skąd? Nie znoszę herbaty. Napijemy się lemoniady — herbata jest ciężkostrawna”. W tym momencie kociołek już kipi i wrzątkiem gasi ogień na maszynce.

Uciekliśmy się do tego niewinnego podstępu — wynik był ten, że zanim przygotowaliśmy resztę kolacji, herbata już na nas czekała. Zapaliliśmy latarnię i siedliśmy w kucki do kolacji.

Dawno nam się to należało.

Przez trzydzieści pięć minut, jak łódź długa i szeroka, nie słychać było żadnego innego odgłosu prócz szczęku noży i widelców, brzęku talerzy i wytrwałego chrzęstu czterech kompletów zębów trzonowych. Wreszcie Harris powiedział: „Ach!”, i wyjął spod siebie lewą nogę, zastępując ją prawą.

W pięć minut potem Jerzy też powiedział: „Ach!”, i rzucił swój talerz na brzeg. Minęły jeszcze trzy minuty i Montmorency po raz pierwszy od chwili wyjazdu dał wyraz swemu zadowoleniu: położył się na boku i wyciągnął nogi. Ja również powiedziałem: „Ach!”, i odrzuciwszy głowę w tył, wyrżnąłem w żelazny pałąk, ale wcale się tym nie zmartwiłem — nawet nie zakląłem.

Jak dobrze nam, gdy sobie podjemy — jacy jesteśmy zadowoleni ż siebie i całego świata! Ludzie doświadczeni mówili mi, że kto ma czyste sumienie, czuje się szczęśliwy i zadowolony, a przecież pełny żołądek daje nie najgorsze wyniki, tylko tańszym kosztem i bez większej fatygi. Gdy

człowiek porządnie i zdrowo się pożywi, staje się pobłażliwy i szlachetny, wspaniałomyślny i czuły.

Osobliwy, zaiste, jest wpływ organów trawiennych na nasz intelekt. Ani pracować, ani myśleć nie można, jeśli nie zgodzi się na to żołądek. To on dyktuje nam wzruszenia i namiętności. Po jajkach na boczku powiada: „Pracuj!”, po befsztyku z porterem mówi: „Śpij”. Po filiżance herbaty (dwie kopiaste łyżeczki na filiżankę i niechaj herbata nie parzy się dłużej niż trzy minuty) w te słowa odzywa się do mózgu: „A teraz wstań i pokaż swą siłę. Bądź wymowny, głęboki, wrażliwy, spójrz bystrym okiem na przyrodę, przypatrz się życiu, rozwiń białe skrzydła rozedrganej myśli, wzbij się, boski duchu, wysoko ponad świat, który kręci się tam w dole, i przez strzeliste aleje płonących gwiazd leć ku wrotom wieczności!”

Po gorących bułeczkach żołądek mówi tak: „Będziesz leniwy i bezmyślny jak zwierzę pasące się na murawie — nierozumne, o oczach apatycznych, bez iskry fantazji, nadziei, strachu, miłości i życia”. Po wypiciu odpowiedniej ilości koniaku mówi: „Nuże! Błaznuj, szczerz zęby, fikaj koziołki, baw swoich bliźnich, pleć byle co, bełkocz bez związku, pokaż, jaką bezradną i żałosną ofiarą jest człowiek, który swój rozum i wolę, niczym nowo narodzone kociątka, leżące jedno przy drugim, utopił w kałuży alkoholu”.

Jesteśmy tylko nędznymi niewolnikami swoich żołądków. Nie uganiajcie się za ideałami dobra i sprawiedliwości, przyjaciele! Strzeżcie tylko, jak oka w głowie, swego żołądka, karmcie go troskliwie i rozumnie. Cnota i zadowolenie same przyjdą i zapanują w twoim sercu bez żadnego wysiłku z twej strony. Będziesz dobrym obywatelem, kochającym małżonkiem, czułym ojcem — zacnym i bogobojnym człowiekiem...

Przed kolacją wszyscy trzej byliśmy skłonni do zwady, patrzyliśmy na siebie spode łba, humory nam zupełnie nie dopisywały. Po kolacji, rozpromienieni, uśmiechaliśmy się do siebie i do psa. Kochaliśmy się wzajemnie, miłowaliśmy cały

świat. Harris wstał i nadepnął Jerzemu na odcisk. Gdyby to się stało przed kolacją, Jerzy dałby wyraz swoim życzeniom co do losu Harrisa na tym i na tamtym świecie i uczyniłby to w sposób budzący dreszcz zgrozy w każdym poważnym człowieku.

W obecnym stanie rzeczy Jerzy powiedział:

— Ostrożnie, stary, odcisk też chce żyć!

A Harris darował sobie cierpką uwagę, że niepodobna nie wleźć na fragment nogi Jerzego, jeśli ktoś chce się ruszyć w odległości dziesięciu jardów od miejsca, w którym siedzi ten człowiek: nie stwierdził, że facet z takimi długimi girami nie powinien nigdy wchodzić do łodzi normalnych rozmiarów; powstrzymał się od rady, żeby Jerzy zwiesił swe kończyny za burtę — i zamiast tego wszystkiego, co by naopowiadał przed kolacją, teraz rzekł:

— Och, strasznie cię przepraszam, mój drogi. Ale nie boli, prawda?

Na to Jerzy:

— Ani trochę. Zresztą, to moja wina.

— O nie, moja.

Z jakąż przyjemnością się tego słuchało! Zapaliliśmy fajki. Siedzieliśmy sobie, patrzyliśmy w cichą noc i gawędzili o tym i owym.

— Czemuż — westchnął Jerzy — całe nasze życie tak nie wygląda? Z dala od świata, z jego grzesznymi pokusami, wiodłoby się życie czyste, spokojne i dobre.

Odparłem, że nieraz tęsknię do takiego życia. Zaczęliśmy zastanawiać się nad możliwością wyjazdu w czwórkę na jakąś miłą, dobrze wyposażoną przez naturę, bezludną wyspę, gdzie żylibyśmy w lesie.

— Na bezludnych wyspach, o ile mi wiadomo — zauważył Harris — panuje niebezpieczna wilgoć.

— Ale nie jest mokro na wyspach, które zostały odpowiednio zdrenowane — odparł Jerzy.

Rozmowa przeszła na temat suszenia i gdy się zgadało o bibule, Jerzemu przypomniała się śmieszna historia, jaka się

przytrafiła jego ojcu.

Ojciec Jerzego podróżował, z jednym facetem przez Walię i na noc zatrzymali się w małej gospodzie. Spotkali tam paru gości, przyłączyli się do nich i razem spędzili wieczór.

W bardzo miłym nastroju wieczór przeciągnął się do późnej nocy. Gdy wreszcie nadeszła pora na spoczynek (ojciec Jerzego był wtedy bardzo jeszcze młody), obaj mieli nieco w czubie. Spać wypadało im w jednym pokoju, tylko łóżka mieli oddzielne. Wzięli świecę i poszli na górę. Gdy wchodzili do pokoju, świeca straciła równowagę, zawadziła o ścianę i wypadła z lichtarza. Musieli po ciemku rozebrać się i po omacku wejść do łóżek. Tak też zrobili, lecz wleźli obaj do jednego łóżka, nic o tym nie wiedząc. Jeden złożył głowę jak należy, a drugi wtarabanił się do łóżka z przeciwnej strony i położył nogi na poduszce.

Przez chwilę było cicho, po czym odezwał się ojciec Jerzego:

— Joe!

— Co, Tomku? — odparł głos Joego z drugiej strony łóżka.

— Wiesz, jakiś mężczyzna leży w moim łóżku. Położył nogi na poduszce.

— To bardzo dziwne, Tomku — odrzekł Joe — ale słowo ci honoru daję, że w moim łóżku też leży jakiś gość.

— Co chcesz zrobić?

— Wykopać faceta.

— Ja też! — mężnie zawtórował ojciec Jerzego. Wywiązała się krótka walka, po której dwa ciała rymnęły na podłogę i dał się słyszeć nieco płaczliwy głos:

— Tomek!

— Co?

— Jak ci poszło?

— Widzisz, co tu ukrywać, mój mnie wyrzucił.

— Mój też! Słuchaj, nie podoba mi się ta oberża. A tobie?

— Jak się ta oberża nazywała? — zapytał nagle Harris.

— „Prosię i Gwizdek” — odparł Jerzy. — Czemu się pytasz?

— Nie, to inna — powiedział Harris.

— O co ci chodzi? — dopytywał się Jerzy.

— Hm, to ciekawe. Taka samiuśka historia przytrafiła się mojemu ojcu w pewnej wiejskiej oberży. Często słyszałem tę opowieść z jego ust. Myślałem, że to ta sama gospoda.

Położyliśmy się o dziesiątej. Myślałem, że zmęczony dobrze będę spał. Stało się jednak inaczej. Zwykle rozbieram się, przykładam, głowę do poduszki i już ktoś wali w drzwi i woła, że jest pół do dziewiątej. Dziś jednak wszystko sprzysięgło się przeciw mnie. Nowość sytuacji, twarda łódka, skurczona pozycja (nogi trzymałem pod jedną ławką, a głowę na drugiej), pluskanie wody wokół łodzi, wiatr szeleszczący gałęziami drzew — wszystko to sprawiało, iż nie mogłem zasnąć i czułem się rozklekotany.

Wreszcie zasnąłem na parę godzin. Przez cały czas wżerała mi się w kręgosłup jakaś wystająca część naszej łodzi — część ta wyraźnie wyrosła w nocy, bo gdyśmy wyjeżdżali, na pewno jej nie było, a rano zniknęła bez śladu. Śniło mi się, że połknąłem suwerena i że borują mi dziurę w plecach, aby go tamtędy wydostać. Bardzo to było nieładnie z ich strony, powiedziałem więc, że będę im dłużny tę sumę i oddam na pierwszego. Nie chcieli o tym nawet słyszeć. Mówili, że dla mnie lepiej będzie, jeśli teraz wydostaną tego suwerena, bo potem odsetki niepomiernie wzrosną. Wnet jednak tak mnie rozeźlili, że im powiedziałem, co o nich myślę, na co jeszcze okrutniej nacisnęli wiertarkę... i obudziłem się.

W łodzi nie było czym oddychać. Bolała mnie głowa. Postanowiłem wyjść i odetchnąć rześkim nocnym powietrzem. Włożyłem na siebie, co mi wpadło w rękę — trochę moich własnych rzeczy, a resztę Jerzego i Harrisa — i wypełzłem spod namiotu na brzeg.

Noc była cudowna. Księżyc skrył się i zostawił pogrążoną w ciszy ziemię sam na sam z gwiazdami.

Zdało się, że wśród głębokiej ciszy, kiedy my, dzieci ziemi, śpimy, rozmawiają z nią gwiazdy, jej siostry — mówią

o wielkich tajemnicach głosami zbyt dalekosiężnymi i cichymi, aby dziecięce uszy ludzkie mogły złowić ich dźwięki.

Budzą w nas lęk te gwiazdy, takie dalekie,chłodne i jasne. Jesteśmy wobec nich jak dzieci, które, nauczone czcić nieznanego boga, drobną nóżką weszły do świątyni pogrążonej w półmroku. Jak te dzieci stoimy pod kopułą niebios, z której spływa na ziemię blada poświata gwiazd, spozieramy w górę w nadziei i trwodze, wypatrujemy straszliwej zjawy unoszącej się w przestworzach.

A przecież noc niesie ukojenie i dodaje nam sił. W obliczu jej ogromu nasze codzienne zmartwienia pierzchają jakby zawstydzone swą małością. Dzień pełen był niepokoju i troski, serca wezbrały goryczą i gniewem, świat ukazał nam swe okrutne i niesprawiedliwe oblicze. Nadchodzi Noc i niczym najtkliwsza matka kładzie nam na głowie swą delikatną rękę, odwraca do siebie naszą zapłakaną twarzyczkę, uśmiecha się i chociaż nic nie mówi, wiemy, co chciałaby powiedzieć, tulimy rozpalony policzek do jej łona — i ból przechodzi.

Czasem cierpimy tak dotkliwie, że stoimy przed nią w milczeniu, bo mowa ludzka nie jest zdolna wyrazić naszego bólu, i tylko jęk wyrywa nam się z piersi. Serce Nocy pełne jest litości. Nie mogąc ulżyć mękom, które nas dręczą, Noc bierze naszą dłoń w swe ręce, świat maleje pod nami i niknie w oddali, na czarnych skrzydłach Nocy wznosimy się na chwilę tak wysoko, że obcujemy z potężniejszą od niej Istotą. W cudownym blasku światła wiekuistego całe życie ludzkie leży przed nami jak otwarta książka. Wiemy już, że Ból i Męka są tylko aniołami Boga.

Jedynie tym, którzy nosili wieniec cierniowy, dane jest spojrzeć na ową cudowną światłość. Kiedy jednak powrócą na ziemski padół, nie wolno im nic o tym mówić ani zdradzić tajemnicy, jaką posiedli.

Bardzo już dawno temu przez daleką krainę wędrowało konno kilku zacnych rycerzy. Ścieżka wiodła ich przez ostępy

leśne, gdzie gęsto splotły się krzewy głogu i ostrymi kolcami raniły zabłąkanych wędrowców. Liście drzew, rosnących w tym lesie, były tak ciemne i grube, że ani jeden promyk słońca nie przedarł się przez gęstwinę gałęzi i nie oświetlił mrocznej i posępnej kniei.

Kiedy nasi rycerze przedzierali się przez ów ciemny las, jeden z nich odłączył się od towarzyszy, pojechał przed siebie i nie wrócił. Rycerze, wielce zasmuceni, wędrowali dalej, opłakując towarzysza, pewni jego śmierci.

Wreszcie dotarli do celu swej podróży, wspaniałego zamku, gdzie spędzili wiele dni wśród wesołej uciechy. Pewnej nocy, kiedy siedzieli wokół bierwion płonących na środku wielkiej sieni i beztrosko popijali szlachetne wino, stanął przed nimi z pozdrowieniem na ustach ich zaginiony towarzysz. Szaty jego były w strzępach jak łachmany żebraka, piękne kiedyś ciało rycerza okryły straszliwe rany, ale twarz jaśniała niewypowiedzianą radością.

Zaczęli go wypytywać, co się z nim działo. Opowiedział, jak zbłądził w ciemnym lesie i przez wiele dni i nocy błąkał się, aż wreszcie pokaleczony i krwawiąc obficie legł i oczekiwał śmierci.

Kiedy nadeszła ostatnia chwila, nagle, Boże miły! — z mroku ostępów wyszła przepiękna dziewczyna i wziąwszy go za rękę poprowadziła krętymi ścieżkami, na których noga ludzka nie postała, do miejsca, gdzie ponad mrokiem lasu jaśniało światło tyle potężniejsze od blasku dnia, ile słońce mocniej świeci od zwykłej lampy. W tym cudownym blasku strudzony rycerz ujrzał jakby we śnie widok tak wspaniały i piękny, że zapomniał o swych krwawiących ranach i stał urzeczony, ogarnięty radością głębszą niż morze, którego nikt jeszcze nie zgłębił.

Cudowna wizja zniknęła — rycerz padł na kolana i podziękował dobremu duchowi za to, że zawiódł go w ów mroczny las i pozwolił mu ujrzeć cudowny widok.

Ciemny ów las nazywał się Ból. O tym jednak, co ujrzał zacny rycerz, nie wolno nam powiedzieć ani słowa.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

***Jak to Jerzy raz w życiu wcześnie* wstał. Jerzy, Harris i Montmorency nie lubią widoku zimnej wody. Bohaterstwo i silna wola Jerome'a. Jerzyi jego koszula —historia z morałem na końcu. Harris jako kucharz. Rzut oka w przeszłość — przeznaczony specjalnie do użytku szkolnego.**

Na drugi dzień obudziłem się o szóstej rano. Jerzy także już nie spał. Odwróciliśmy się obaj na drugi bok i próbowaliśmy zasnąć, ale nam się to nie udało. Gdyby z jakichś względów nie wolno nam było zasnąć, gdybyśmy musieli zaraz wstać i ubrać się, to ledwie popatrzylibyśmy na zegarki, sen by nas zmorzył i spalibyśmy do dziesiątej. Gdy jednak nie było najmniejszej potrzeby, byśmy wstali, i mogliśmy poleżeć co najmniej dwie godziny, a zrywanie się o tej porze zupełnie nie miało sensu — za sprawą zwykłej ironii losu poczuliśmy obydwaj, że skonamy, jeśli będziemy leżeli choćby jeszcze pięć minut.

Jerzy wspomniał, że coś podobnego, tylko znacznie gorszego, przytrafiło mu się jakieś półtora roku temu, kiedy mieszkał sam u niejakiej pani Gippings. Pewnego wieczoru zegarek mu się popsuł i stanął na kwadrans po ósmej. Jerzy nic o tym nie wiedział, bo tak się jakoś złożyło, że idąc spać zapomniał (co mu się nigdy nie zdarzało) nakręcić zegarek i nie patrząc na niego powiesił go nad poduszką.

Stało się to w zimie, tuż przed najkrótszym dniem w roku, a na dobitkę od tygodnia mgła okrywała miasto, gdy więc Jerzy obudził się rano, fakt, że było jeszcze bardzo ciemno, nic mu nie mówił. Sięgnął ręką po zegarek. Był kwadrans po ósmej.

— Jezus Maria, Józefie święty, módlcie się za nami! — krzyknął. — Toż o dziewiątej muszę być w City! Czemu nikt mnie nie obudził? Wstydu nie mają!

Zerwał zegarek z gwoździa, rzucił na łóżko, wyskoczył, wykąpał się w zimnej wodzie, ubrał się i ogolił (też w zimnej wodzie, bo nie było czasu na jej zagrzanie), po czym podskoczył do zegarka zobaczyć, która godzina.

Czy to się stało wskutek wstrząsu, jakiego zegarek doznał, gdy Jerzy rzucił go na łóżko, czy z jakichś innych nieznanych powodów — dość, że zegarek szedł i teraz wskazywał za dwadzieścia dziewiąta.

Jerzy porwał go i zbiegł po schodach. W jadalni było ciemno i głucho — ani ognia, ani śniadania. Mruknął pod nosem, że to hańba i wstyd. Postanowił, gdy wróci do domu wieczorem, powiedzieć pani G., co o niej myśli. Szybko włożył płaszcz i kapelusz, chwycił parasol i pobiegł ku drzwiom frontowym. Były jeszcze zamknięte na zasuwę. Jerzy rzucił klątwę na panią G., nazwał ją przy tym niemrawą staruchą, i bardzo się dziwił, że ludzie nie mogą wstać w porę, jak Bóg przykazał. Odsunął rygiel, przekręcił klucz w zamku, otwarł drzwi i wyskoczył na ulicę.

Dopiero gdy przebiegł ćwierć mili, zauważył dziwne i ciekawe zjawisko: ulice świeciły pustką, wszystkie sklepy były zamknięte. Poranek jest niewątpliwie bardzo ciemny i mglisty pomyślał Jerzy — ale to jeszcze nie powód, by życie zamarło w całym mieście. Jeśli j a muszę iść do pracy, to jakim prawem inni mieliby się wylegiwać tylko dlatego, że jest ciemno i mgła?

Wreszcie doszedł do placu Holborn. Sklepy pozamykane, ani jednego omnibusu! Na placu trzech ludzi, w tym jeden policjant. Wózek z kapustą i wyszargana drynda to wszystko. Jerzy wyjął zegarek — za pięć dziewiąta! Przystanął i zbadał sobie puls. Potem pochylił się i szczypał po nogach. Wreszcie, wciąż z zegarkiem w ręku, podszedł do policjanta i zapytał, czy nie wie, która godzina.

Która godzina? powtórzył stróż porządku, podejrzliwie mierząc Jerzego od stóp do głów.

Ano, niech pan nadstawi ucha, zaraz godzina wybije.

Jerzy nadstawił ucha i rzeczywiście pobliski zegar nie dał się długo prosić.

— Ale on uderzył tylko trzy razy! obrażonym tonem zauważył Jerzy, gdy zegar przestał bić.

— A pan by chciał, żeby ile razy uderzył? — zapytał konstabl.

— Jak to? Dziewięć — odparł Jerzy pokazując zegarek.

— Czy pan wie, gdzie pan mieszka? — surowo zapytał stróż bezpieczeństwa.

Jerzy po krótkim namyśle podał swój adres.

— Aha, rozumiem, nie wszyscy w domu — rzekł tamten. — Ano dobrze. Niech pan posłucha mej rady i pójdzie tam na palcach, a ten zegarek weź pan z sobą. I lepiej jeśli na dziś damy sobie spokój.

Jerzy zawrócił. Zamyślony doszedł do domu i sam sobie otworzył drzwi.

Najpierw chciał się rozebrać i wrócić do łóżka. Gdy jednak pomyślał, że trzeba będzie znów się ubierać i jeszcze raz wykąpać i umyć, zrezygnował i postanowił uciąć drzemkę w fotelu.

Nie mógł jednak zasnąć. W całym życiu nigdy mniej mu się nie chciało spać. Zapalił więc lampę, wyjął szachownicę i zaczął grać z samym sobą. Ale nawet szachy go nie rozruszały. Nudne to było, przestał grać i wziął się do czytania. Lektura nie wzbudziła w nim odrobiny zainteresowania. Włożył tedy płaszcz i jeszcze raz wyszedł na spacer.

Ulice ziały straszliwą pustką. Wszyscy policjanci, jakich spotkał po drodze, patrzyli na niego i z nie ukrywaną podejrzliwością, świecili mu w oczy latarkami i oglądali się za nim. W końcu czuł się tak, jakby istotnie coś przeskrobał. Doszło do tego, że przemykał się bocznymi uliczkami i krył

się w ciemnych bramach, ilekroć usłyszał miarowy krok policjanta.

Takie zachowanie, rzecz jasna, jeszcze bardziej budziło nieufność organów bezpieczeństwa. Policjanci uwzięli się na niego. Podchodzili i pytali, co tu robi. Gdy odpowiadał: „Nic. Wyszedłem sobie na spacerek” (była czwarta rano), robili miny, z których wynikało, że mu nie wierzą, a wreszcie dwóch agentów policji w cywilu poszło z nim, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście mieszka tam, gdzie mówi. Asystowali mu, gdy kluczem obracał w zamku, a kiedy wszedł do środka, stanęli w pozycji wyczekującej po drugiej stronie ulicy i nie spuszczali z oka domu, w którym mieszkał.

Miał ochotę dla zabicia czasu rozpalić ogień . i przygotować sobie śniadanie. Ale co tylko ruszył, poczynając od wiadra z węglem, a kończąc na łyżeczce, musiał albo to upuścić, albo na to upaść. Narobił tyle hałasu, że śmiertelny strach go zdejmował, aby pani G. się nie obudziła. Staruszka mogła przecież pomyśleć, że włamali się do mieszkania bandyci, otworzyć okno i zawołać: „Policja!”, a wtedy obaj tamci tajniacy doskoczą do niego, założą mu kajdanki i pomaszerują z nim do sądu.

Nerwy zupełnie odmówiły mu posłuszeństwa. Widział już siebie na rozprawie. Próbuje wyjaśnić ławie przysięgłych, jak to było, ale nikt mu nie wierzy i skazują go na dwadzieścia lat ciężkich robót, a matka na wiadomość o tym umiera, bo z żalu pękło jej serce. W tym stanie rzeczy Jerzy postanowił nie przykładać ręki do śniadania. Okrył się płaszczem i siedział w fotelu do chwili, gdy o pół do ósmej pani G. zeszła na dół.

Od owego poranka — zapewniał Jerzy — nigdy już nie wstał za wcześnie. Nauka nie poszła — jak mówił — w las.

Kiedy Jerzy opowiadał mi tę historię z życia wziętą, siedzieliśmy obaj okutani w pledy. Jak tylko skończył, wziąłem się do roboty: zacząłem wiosłem budzić Harrisa. Trzeci sztych okazał się skuteczny: Harris obrócił się na drugi bok, powiedział, że już schodzi do jadalni, i poprosił o swoje

sznurowane buty. Rychło jednak za pomocą bosaka uprzytomniliśmy mu, gdzie jest. Zerwał się i szurnął na drugi koniec łodzi psa, który spał na samym środku jego piersi snem sprawiedliwego.

Podnieśliśmy płótno i wszyscy czterej wytknęliśmy głowy za burtę. Patrzyliśmy w wodę i trzęśli się z zimna. Wczoraj wieczór była mowa o tym, że zerwiemy się wczesnym rankiem, odrzucimy precz pledy i szale, odchylimy płótno namiotu,z radosnym okrzykiem skoczymy do wody i długo będziemy pływać, jak młodzi bogowie. Atoli gdy nadszedł ranek, myśl o kąpieli nie była już tak ponętna. Wiał zimny wiatr, widok wody przejmował dreszczem.

— No, kto pierwszy? — zapytał wreszcie Harris.

Nikt jednak nie ubiegał się o palmę pierwszeństwa. Jerzy sprawę swego udziału w tym przedsięwzięciu rozstrzygnął w ten sposób, że wycofał się do wnętrza łodzi i zaczął wkładać skarpetki. Montmorency pozwolił sobie zawyć, co świadczyło, jaką zgrozą przejmuje go sama myśl o kąpieli. Harris oświadczył, że bardzo trudno będzie wrócić do łodzi, po czym jął rozglądać się za spodniami.

Ja nie byłem skłonny się poddać, choć w zasadzie nie przepadam za nurzaniem się w wodzie. Mogą tam być różne kołki i wodorosty. Znalazłem wyjście kompromisowe — zejdę nad rzekę i po prostu opryskam się wodą. Wziąłem ręcznik, wylazłem z łodzi na brzeg i wdrapałem się na gałąź drzewa, która zanurzała się w rzece. Było nieznośnie zimno. Wiatr ciął jak nożem. Postanowiłem nie pryskać się jednak. Skoczę do łodzi i włożę ubranie. Już zawróciłem, lecz właśnie w tej chwili durna gałąź załamała się pode mną i z ręcznikiem w ręce wpadłem do wody z okropnym pluskiem. Zanim się zorientowałem w sytuacji, byłem już na środku rzeki z galonem wody w brzuchu.

— Na Jowisza! Stary Jerome jednak skoczył! — usłyszałem okrzyki Harrisa. Właśnie wydostałem się na powierzchnię i prychałem wodą. — Nie przypuszczałem, że się na to zdobędzie. A ty, Jerzy, co powiesz?

— Ciepła woda, co? — krzyknął Jerzy.

— Cudna! — zawołałem plując wodą. — Frajerzy jesteście, że się nie kąpiecie. Za skarby świata nie oddałbym tej rozkoszy. Czemu nie chcecie spróbować? Trzeba tylko odrobiny odwagi.

Ale nie zdołałem ich namówić.

Gdyśmy się ubierali, zdarzyła się dość zabawna historia. Byłem przemarznięty i z takim pośpiechem wkładałem koszulę, że mi wpadła do wody. Diabli mnie brali, tym bardziej że Jerzy ryknął śmiechem. Nie widziałem w tym nic śmiesznego i zakomunikowałem to Jerzemu, ale moja uwaga jeszcze mu dodała ducha. Jak żyję, nie widziałem, żeby ktoś tak się śmiał. Wreszcie zupełnie mnie wyprowadził z równowagi. Oświadczyłem mu, że jest zaplutym cymbałem i głupim idiotą. Jerzy odpowiedział na to jeszcze głośniejszym rykiem. Ale, gdy już miałem wyciągnąć ją z wody, zauważyłem, że to wcale nie moja koszula, tylko Jerzego. Wówczas po raz pierwszy przemówił do mnie nieodparty komizm tej sytuacji i zacząłem się śmiać. Spoglądałem na mokrą koszulę Jurka i na niego, jak ryczy ze śmiechu. Coraz bardziej mnie to bawiło. Tak się zatrząsłem ze śmiechu, że koszula wypsnęła mi się z powrotem do wody.

— Właź... właź... po nią... do wody! — wołał Jerzy, rycząc jak opętany.

Zrazu nie mogłem mu odpowiedzieć, bo sam pękałem ze śmiechu, ale w końcu, między dwiema salwami, zdołałem wykrztusić:

— To nie moja koszula, to twoja!

Jeszcze nie widziałem, żeby twarz ludzka tak błyskawicznie zmieniła wyraz — niepohamowana radość przedzierzgnęła się nagle w śmiertelną powagę.

— Co? — huknął, zrywając się na równe nogi. — Ach, ty tępa głowo! Czy nie możesz uważać, co robisz? Czemu, do cholery, nie pójdziesz ubierać się na brzegu? Dla takich nie ma miejsca w łodzi, nie ma! Dawaj bosak.

Starałem się uprzytomnić mu cały komizm tej sytuacji. Nic nie rozumiał. Jerzemu czasem ogromnie brakuje poczucia humoru.

Harris zaproponował na śniadanie jajecznicę. Powiedział, że może ją usmażyć. On to świetnie robi — tak przynajmniej należało sądzić z tego, co mówił. Nieraz już smażył jajecznicę na wycieczkach i przejażdżkach jachtem. Zdobył sobie nawet pewną sławę na tym polu. Kto raz spróbował jajecznicy Harrisa (można się było tego domyślić z jego opowiadania), nie chciał już słyszeć o niczym innym, usychał z tęsknoty do tej potrawy i ginął marnie, jeśli mu jej nie dali.

Słysząc te słowa, nabraliśmy ogromnego apetytu na jajecznicę Harrisa. Wręczyliśmy mu maszynkę do gotowania, patelnię i wszystkie jajka, które jeszcze się nie stłukły i nie obsmarowały całej zawartości kosza. Błagaliśmy go, by przystąpił do dzieła.

Miał pewne trudności z tłuczeniem jajek — a właściwie nie tyle z tłuczeniem, co z takim rzucaniem ich na patelnię, aby się nie dostały na spodnie lub nie pociekły po rękawie. W końcu ulokował z pół tuzina jajek na patelni, a sam przykucnął przy maszynce i poganiał je widelcem.

Była to ciężka praca — tak przynajmniej sądził Jerzy i ja. Ilekroć Harris zbyt przysunął się do patelni, parzył sobie palce. Wówczas upuszczał to, co miał w ręce, i tańczył naokoło maszynki, strzepując palcami i klnąc na czym świat stoi. Wystarczyło, żebym z Jerzym spojrzał na niego, od razu pokazywał te sztuki. Zrazu myśleliśmy, że to należy do niezbędnych zabiegów kulinarnych.

Nie wiedząc, co to jest jajecznica, wyobrażaliśmy sobie, że to jakaś potrawa czerwonoskórych lub mieszkańców Wysp Hawajskich, której właściwe przyrządzanie wymaga tańców i pieśni rytualnych. Montmorency podszedł i powąchał jajecznicę. Tłuszcz prysnął mu w nos i sparzył go, wobec czego Montmorency też zaczął tańczyć i kląć. W sumie było to jedno z najciekawszych i najbardziej

atrakcyjnych widowisk, jakie widziałem w swym życiu. Jerzy i ja bardzo żałowaliśmy, że nie trwało dłużej.

Wynik zawiódł jednak nadzieje Harrisa. Nie bardzo było na co patrzeć. Sześć jaj weszło na patelnię, a to, co z niej wyszło, mogło się zmieścić na łyżeczce od herbaty i było niczym więcej jak przypalonym i nieapetycznym wyskrobkiem.

Harris twierdził, że to wina patelni i że wszystko znacznie lepiej by się udało, gdybyśmy mieli kociołek na ryby i gazową kuchenkę. Postanowiliśmy zrezygnować z jajecznicy do chwili, gdy posiądziemy ów niezbędny sprzęt domowy.

Zanim skończyliśmy śniadanie, wiatr przycichł, a słońce zaczęło mocno przygrzewać. Ranek był tak cudny, że przeszedł nasze najśmielsze marzenia. Nic tutaj nie przypominało, że żyjemy w dziewiętnastym wieku. Kiedy patrzyliśmy na rzekę w słońcu poranka, mogliśmy bez trudu wyobrazić sobie, że przegroda wieków, dzieląca nas od owego pamiętnego po wsze czasy czerwcowego ranka roku 1215, została usunięta na bok i że oto my, synowie wolnych chłopów, w zgrzebnych szatach, z puginałami za pasem, czekamy tam, aby na własne oczy zobaczyć, jak zostanie zapisana owa doniosła karta historii, której znaczenie miało być wyłożone prostemu ludowi z górą czterysta lat później przez niejakiego Olivera Cromwella (a on gruntownie ją przestudiował).

Jest piękny ranek letni — słoneczny, ciepły i cichy. Ale w powietrzu drży już nadchodząca burza. Król Jan spędził noc w Duncroft Hall. Wczoraj przez cały dzień w małej mieścinie Staines rozbrzmiewał szczęk oręża i stukot kopyt końskich na kocich łbach miejskiego bruku, okrzyki dowódców, soczyste przekleństwa i grube żarty brodatych łuczników halabardników, kopijników i zaciężnych włóczników, gadających jakimś obcym językiem.

Przybywają konne orszaki wielmożów — rycerze w barwnych strojach okrytych kurzem, widać z dalekiej drogi. Przez cały wieczór wystraszeni mieszczanie muszą otwierać,

i to szybko, drzwi, aby przyjąć w swych domach hałastrę żołnierską. Trzeba tym wojakom dać kwaterę i wikt, a gdyby im się nie dogodziło, jak należy, marny los spotkałby i dom, i wszystkich jego mieszkańców. Miecz bowiem jest sędzią, oskarżycielem i katem w tych burzliwych czasach. W zamian za to, co wziął, oszczędza on oskubanego z dobytku, jeśli oczywiście tak się mieczowi podoba.

Wokół ogniska na rynku biwakuje wojsko barona. Przybywa ludzi coraz więcej. Żołdacy jedzą, tęgo popijają, ryczą na całe gardło pijackie śpiewki, grają w kości i swarzą się zawzięcie. Zapada mrok, nadciąga noc. Blask ogniska rzuca niesamowite cienie na broń ułożoną w stosy i niekształtne sylwetki żołnierzy. Miejska dzieciarnia podkrada się do biwaku i z podziwem patrzy na wojsko, hoże dziewuchy z okolicznych wiosek podchodzą bliżej, śmieją się, przygadują wojakom, a ci nie pozostają im dłużni. Tęgie zuchy niczym nie przypominają wiejskich kawalerów, którzy, pogardzeni przez dziewczęta, stoją teraz na boku i gapią się, a ich szerokie gęby głupawo się uśmiechają. Na polach wokół grodu migocą blade światła obozów, gdyż tutaj rozłożyły się wojska przyboczne jakiegoś wielkiego pana, a tam, za miastem kręcą się i czają jak wilki francuscy najemnicy Jana kłamcy.

W każdej ciemnej uliczce stoi wartownik, na każdym wzgórzu wokół Staines błyskają ognie straży. Tak mija noc i nad piękną doliną starej Tamizy wschodzi poranek pamiętnego dnia, który przesądzi o losie przyszłych pokoleń.

Skoro świt na tej z dwóch wysp, która położona jest niżej od swej sąsiadki, a nieco wyżej od miejsca, gdzie my teraz stoimy, dał się słyszeć zgiełk i rwetes wszczęty przez gromadę rzemieślników. Jedni rozpinają wielki namiot przywieziony tu wczoraj wieczór, stolarze zbijają gwoździami ławy i ustawiają je w rzędy, terminatorzy londyńskich tapicerów uwijają się z różnobarwnymi suknami i jedwabiami, przynoszą złote i srebrne tkaniny.

A tam co znowu? Drogą od Staines, wijącą się nad brzegiem rzeki, podąża w naszą stroną dziesiątka chłopów jak dęby. To halabardnicy, na pewno ludzie barona. Śmieją się, mówią coś do siebie niskimi, gardłowymi basami. Stanęli na drugim brzegu, jakieś sto jardów w górę rzeki od nas. Opierają się na swym orężu i czekają.

Mija godzina za godziną, a drogą bez przerwy maszerują w górę rzeki zbrojne oddziały. Przyłbice i napierśniki błyszczą w rannym słońcu, rzucającym na zbroję długie promienie. W końcu, jak okiem sięgnąć, całą drogę gęsto wypełnia lśniąca stał i ciżba roztańczonych rumaków. Jezdni przebiegają galopem od jednego oddziału do drugiego i wykrzykują rozkazy. Proporce lekko falują pod tchnieniem ciepłego wietrzyka. Co chwila na drodze robi się zamieszanie i szeregi maszerujących rozstępują się ustępując drogi jakiemuś wielkiemu baronowi na bojowym rumaku, w otoczeniu rycerskiej straży przedzierającemu się naprzód, aby zająć miejsce na czele swych poddanych i wasali.

A na zboczu Cooper's Hill, wprost naprzeciwko, gromadzą się i dziwują wieśniacy. Przybiegają również ciekawe mieszczuchy ze Staines. Nikt nie wie, co się święci, ale każdy wypowiada się na temat wielkiego wydarzenia, jakie mają ujrzeć na własne oczy. Niektórzy mówią, że to, co się tu dziś stanie, przyniesie wszystkim wiele dobrego, ale starzy ludzie potrząsają głowami, bo różne już bajki słyszeli w swym życiu.

Cała rzeka aż po Staines usiana jest łodziami wszelkiego rodzaju. Widać też małe, kryte walijskie łódki, które dziś nie cieszą się już powodzeniem i są używane tylko przez ludzi niezamożnych. Krzepcy wioślarze wzięli już przeszkodę, jaką stanowią progi rzeczne w miejscu, w którym po latach zbudowano malowniczą śluzę Bell Weir, albo przeholowali łódki przez te progi. Teraz łódki tłoczą się, nie śmiejąc jednak zbytnio się zbliżyć, wokół wielkich krytych barek,

oczekujących chwili, gdy będą mogły przewieźć króla Jana na miejsce, gdzie wiekopomna Karta czeka na jego podpis.

Nadeszło południe. Od wielu godzin czekamy cierpliwie wraz z tłumem. Krąży pogłoska, że śliski jak piskorz Jan znów wywinął się z kleszczy barona i umknął z Duncroft Hall, a za nim podążyli jego najemnicy. Mówią, że królowi ani w głowie podpisać kartę wolności swych poddanych i że tylko patrzeć, jak zacznie z całkiem innej beczki.

Niedoczekanie jego! Tym razem wzięty został w żelazne kleszcze i daremnie się wił i próbował wyśliznąć. Daleko wzniósł się nad drogą obłoczek kurzu. Już się zbliża i rośnie, coraz głośniej biją końskie kopyta. Wśród rozstępujących się zbrojnych szeregów toruje sobie drogę świetna kawalkada wystrojonych lordów i rycerzy. Z przodu i z tyłu, i po obu bokach jadą zbrojni ludzie baronów, a w samym środku król Jan.

Król zmierza do miejsca, gdzie barki stoją w pogotowiu. Grupa najznakomitszych baronów wychodzi mu na spotkanie. Jan wita ich uśmiechem i słowami słodkimi jak miód — zdawać by się mogło, że zaproszono go tu na ucztę wydaną na jego cześć. A jednak, gdy unosi się w strzemionach, aby zsiąść z konia, łypie okiem najpierw na swych francuskich żołdaków pozostawionych w tyle, a potem na otaczające go zwarte i groźne szeregi wojska baronów.

Czyżby było za późno? Jeden straszliwy sztych zadany kawalerzyście u jego boku, jeden okrzyk rzucony Francuzom, jedna szalona szarża na nie przygotowane szeregi stojące przed nim — i pożałowaliby panowie rokoszanie dnia, w którym ważyli się pokrzyżować jego zamiary. Śmielsza ręka mogłaby odwrócić kartę nawet w tak trudnej sytuacji. Gdyby tu był król Ryszard, oderwałby czarę wolności od ust Anglii i przez setki lat nie zaznałaby smaku swobody!

Lecz serce króla Jana zadrżało na widok surowych twarzy angielskich zbrojnych mężów, królewskie ramię bezwolnie

opada na uzdę. Jan zsiada z konia i sadowi się w pierwszej barce.

Baronowie podążają za nim. Każdy z nich trzyma opancerzoną rękę na rękojeści miecza. Pada rozkaz odjazdu.

Z wolna ciężkie, kolorowe barki odpływają od brzegu Runnymede. Powoli prą przeciw wartkiemu nurtowi. Wreszcie daje się słyszeć głuchy łoskot. Barki szorują o brzeg wysepki, która od tego dnia będzie nosiła nazwę Wyspy Wielkiej Karty. Król Jan schodzi na brzeg. Czekamy z zapartym oddechem. Wreszcie głośny okrzyk rozdziera powietrze. Oto — o czym dziś dobrze wiemy — położono wielki i niewzruszony kamień węgielny angielskiej świątyni wolności.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

***Henryk VIII i Anna Boleyn. Niełatwo* jest mieszkać pod jednym dachem z dwojgiem zakochanych. Ciężkie dni narodu angielskiego. Nocą, w poszukiwaniu piękna. Bezdomni. Harris wybiera się na tamten świat. Zjawia się anioł. Nieoczekiwana radość i jej wpływ na Harrisa. Kolacyjka. Drugie śniadanie. Królestwo za musztardę. Krwawa potyczka. Maidenhead. Pod żaglem. Trzech rybaków. Sypią się na nas przekleństwa.**

Siedziałem na brzegu zajęty wywoływaniem wyżej opisanej wizji historycznej, kiedy Jerzy zapytał mnie, czy — jak już zażyję wypoczynku i wrócę do sił nie byłbym skłonny pozmywać naczyń. To mnie od dawnych dni chwały przywołało do prozaicznej teraźniejszości, pogrążonej w nędzy i grzechu. Zszedłem więc do łódki i za pomocą patyka oraz garści trawy wyczyściłem patelnię, ostateczny szlif nadając jej mokrą koszulą Jerzego.

Wstąpiliśmy na Magna Charta Island, by rzucić okiem na kamień przechowywany w domku wzniesionym na tej wyspie, na którym to kamieniu została ponoć podpisana Wielka Karta. Nie mogę stanowczo się wypowiedzieć, czy rzeczywiście podcyfrowano ją tutaj, czy też — jak twierdzą poniektórzy — na drugim brzegu Tamizy, w Runnymede. Osobiście byłbym wszakże gotów poprzeć przyjętą przez ogół teorię wyspy. Nie ulega bowiem wątpliwości, że gdybym podówczas był jednym z baronów, usilnie bym nalegał na swoich kolegów, by takiego ancymona i piskorza jak król Jan trzymać na wyspie, gdzie niełatwo zrobić niespodziankę lub wypłatać figla.

Na gruntach Ankerwyke House, położonych tuż za Picnic Point, zachowały się ruiny starego klasztoru. W tych właśnie kątach Henryk VIII umawiał się podobno i widywał z Anną Boleyn. Spotykali się także w zamku Hever w hrabstwie Kent oraz gdzieś pod St. Albans. Zapewne trudno było wówczas Anglikom znaleźć takie miejsce, w którym by nie gruchało tych dwoje młodych wartogłowów.

Czy byliście państwo kiedy w domu, gdzie można spotkać parę mającą się ku sobie? To straszne. Chciałbyś trochę odsapnąć i idziesz do salonu. Otwierając drzwi słyszysz hałas, jakby ktoś nagle coś sobie przypomniał i zerwał się na równe nogi. Kiedy wchodzisz, Emilia wychyla się przez okno i z niezmiernym zainteresowaniem przygląda się czemuś po przeciwnej stronie ulicy, a twój przyjaciel, Jan Edward, na drugim krańcu pokoju bez pamięci pogrążył się w oglądaniu fotografii cudzej rodziny.

— Och, pardon — powiadasz zatrzymując się na progu. — Nie wiedziałem, że tu ktoś jest.

— Och, doprawdy? — mówi Emilia, mrożąc cię swym chłodem i dając niedwuznacznie do zrozumienia, że ci nie wierzy.

Przez chwilę nie wiesz, co z sobą zrobić.

— Bardzo tu ciemno — zagadujesz. — Czemu państwo nie zapalą gazu?

Jan Edward:

— Och, nie zauważyłem, że ciemno. A Emilia:

— Tatuś nie lubi, jak się pali gaz po południu. Powtarzasz im parę najnowszych wiadomościi wykładasz swój pogląd na kwestię irlandzką. Odnosisz jednak wrażenie, że to ich nie interesuje. Wszystko, co mają do powiedzenia na poruszone przez ciebie tematy, zamyka się w następujących uwagach: „Aha!”, „Niemożliwe!”, „Czyżby?”, „Tak” i „Co pan powie?” Po dziesięciu minutach konwersacji w tym stylu podajesz tył i zmykasz. Ze zdumieniem stwierdzasz, że ledwieś zdążył wyjść, drzwi same się za tobą zamknęły, choć nawet nie tknąłeś ich palcem.

W pół godziny później bierze cię chętka zapalić fajkę w oranżerii. Jest tam jeden tylko fotel. Zasiada na nim Emilia. Jan Edward natomiast, jeśli można" polegać na tym, co mówi jego ubranie, musiał siedzieć na podłodze. Nic nie mówią, tylko oboje rzucają ci spojrzenia, których wymowa jest dostatecznie zrozumiała w każdym cywilizowanym społeczeństwie. Wycofujesz się natychmiast i tym razem sam zamykasz za sobą drzwi.

Teraz boisz się wetknąć nos do jakiegokolwiek pokoju w całym domu. Przez pewien czas chodzisz po schodach do góry i na dół, wreszcie siadasz w swej sypialni. Kiedy już dostatecznie się wynudziłeś, wkładasz na głowę kapelusz i idziesz przejść się po ogrodzie. Maszerujesz ścieżką. Przechodząc koło altany zaglądasz do środka. Wciśnięci w kąt siedzą tam: ten kretyn z tą idiotką. Widzą cię i niewątpliwie dochodzą do wniosku, że łazisz za nimi w jakichś tylko sobie wiadomych niecnych celach.

— Czemuż nie poświęcono jednego pokoju tylko na te rzeczy i nie trzymają w nim takich gołąbków? — mruczysz pod nosem. Biegniesz do hallu, łapiesz parasol i wychodzisz.

Podobne historie musiały się dziać, kiedy ów postrzelony chłopak, Henryk VIII, zalecał się do swej małej Anusi. Mieszkańcy hrabstwa Buckingham natykali się w okolicach Windsoru i Wraysbury na tę rozmiłowaną parę i wołali: „Ach, to pan!" Na co Henryk rumienił się i odpowiadał: „Tak, to ja. Mam się tu zobaczyć z jednym gościem". Anna zaś dodawała: „Och, jakże się cieszę, że pana widzę. Proszę sobie wyobrazić, że właśnie spotkałam pana Henryka VIII w tej alejce i co się okazuje? Że idzie w tym samym kierunku co ja. Czy to nie zabawne?"

W takich wypadkach świadek spotkania schodził im z drogi, mówiąc sobie w duchu: „Lepiej się w tych stronach nie pokazywać, póki oni tu się pieszczą i obejmują. Pojedziemy sobie do hrabstwa Kentu".

Podąża więc jeden z drugim do Kentu i pierwszą rzeczą, jaką tam widzi po przyjeździe, są Henryk i Anna, którzy

bawią się w ciuciubabkę naokoło zamku w Hever.

— A do diaska! — wołają. — I stąd trzeba nam wiać. Mamy już tego po dziurki w nosie. Pojedziemy sobie do St. Albans, uroczego cichego St. Albans!

Przyjeżdżają do St. Albans, a tam te szelmy całują się pod murami opactwa. Wówczas kto żyw, wypływał na morze i parał się korsarstwem do chwili, gdy tych dwoje nareszcie się pobrało.

Między Picnic Point a Old Windsor Tamiza jest rozkoszna. Brzegiem rzeki biegnie cienisty gościniec, przy którym tu i ówdzie widać piękne domki. Droga wiedzie do „Dzwonów z Ouseley", malowniczej gospody (jak zresztą większość oberż nad górną Tamizą), gdzie można wypić szklaneczkę świetnego ale. Tak twierdzi Harris, a w sprawach napojów można na nim polegać.

Old Windsor jest też po swojemu sławny. Edward Wyznawca miał tu swój pałac i właśnie tutaj wielki hrabia Godwin został przez ówczesne organa sprawiedliwości uznany winnym spisku na życie królewskiego brata. Hrabia Godwin ułamał kawałek chleba i trzymając go w ręku powiedział:

— Jeśli jestem winny, niechaj się udławię tym chlebem!

Włożył chleb do ust, chciał go połknąć, udławił się i skonał.

Za Old Windsor rzeka przestaje być interesująca i dopiero pod Boveney wraca do siebie. Jerzy i ja holowaliśmy łódkę aż za Home Park, który ciągnie się na prawym brzegu od mostu Alberta do mostu Wiktorii. Gdyśmy mijali Datchet, Jerzy zapytał mnie, czy przypominam sobie naszą pierwszą wycieczkę w górę rzeki i czy pamiętam, jak przybiliśmy do brzegu w Datchet o dziesiątej wieczór, żeby tam przenocować.

Odparłem, że owszem, pamiętam. Sporo czasu upłynie, nim zapomnę.

Było to w sobotę, tuż przed sierpniowym „świętem bankowym". W trójkę (tę samą co dziś), zmęczeni i głodni,

dotarliśmy do Datchet.

Wzięliśmy z łodzi kosz, dwie walizki, pledy, płaszcze i jeszcze parę innych kawałków. Z tym wszystkim ruszyliśmy rozejrzeć się za jakimś legowiskiem. Przechodzimy koło bardzo przytulnego hoteliku z wejściem otoczonym bluszczem i dzikim winem. Ale nie było tam kapryfolium, a mnie, sam nie wiem dlaczego, zachciało się akurat kapryfolium.

— Och, nie wchodźmy tu—mówię. — Pójdziemy jeszcze kawałek dalej i zobaczymy, czy nie ma gdzie wokół wyjścia kapryfolium.

Parę kroków dalej trafiliśmy na inny hotel. Owszem, był też bardzo ładny, a na całej jednej jego ścianie wiło się kapryfolium. Ale Harrisowi nie spodobał się człowiek, który stał oparty o drzwi frontowe. Jego zdaniem źle patrzyło z oczu temu facetowi i brzydkie miał buty. Poszliśmy więc dalej. Zrobiliśmy kawał drogi, lecz żadnego hotelu już nie zobaczyliśmy. Spotkanego przechodnia poprosiliśmy, żeby wskazał nam adresy kilku hoteli.

— Jak to? — odparł. — Przecież panowie już zostawili hotele za sobą. Musicie wrócić, to dojdziecie do „Jelenia”.

— Och — mówimy — byliśmy tam i nie spodobało nam się. Ani śladu kapryfolium.

— No to — powiada — naprzeciwko „Jelenia” jest „Dwór”. Może by tam panowie spróbowali.

Harris wyjaśnił, że nie chcieliśmy wejść do

„Dworu”, bo nam nie przypadł do gustu jeden gość, i dodał, że to właśnie jemu nie odpowiadał ani kolor włosów, ani buty tego faceta.

— W takim razie sam już nie wiem, co panowie zrobią ze sobą — odparł nasz informator — bo mamy tu tylko dwie gospody: „Jeleń” i „Dwór”.

— I więcej nie ma? — zawołał Harris.

— Ano nie ma.

— To gdzie się mamy podziać? — krzyczał Harris.

Wtedy zabrał głos Jerzy:

— Harris i ty, Jerome, możecie sobie wybudować hotel, jeśli macie ochotę, i dać komuś zamówienie, żeby wam zrobił gości, którzy by mogli mieszkać w waszym hotelu. Ja wracam pod „Jelenia”.

Genialni ludzie nigdy nie wcielają w czyn swych ideałów. Harris i ja westchnęliśmy nad marnością wszelkich ziemskich pragnień. I poszliśmy za Jerzym.

Zanieśliśmy nasze manatki do „Jelenia” i złożyliśmy je w sieni na podłodze.

Zjawił się właściciel.

— Dobry wieczór panom — powiedział.

— A, dobry wieczór — odparł Jerzy. — Poprosimy o trzy łóżka.

— Żałuję bardzo, łaskawy panie, ale to niemożliwe.

— No cóż, nie szkodzi — powiedział Jerzy.

— Niech będą dwa. Dwóch z nas może spać w jednym łóżku, prawda? — rzekł zwracając się do mnie i Harrisa. Harris odpowiedział:

— Tak, oczywiście — mając na myśli, że Jerzy i ja doskonale możemy spać razem.

— Żałuję bardzo, łaskawy panie — powtórzył właściciel — ale w całym hotelu nie mamy ani jednego wolnego łóżka. W tej chwili musieliśmy ulokować po dwóch, a nawet po trzech dżentelmenów w każdym łóżku.

To nas trochę zbiło z tropu.

Lecz Harris, jako wytrawny podróżnik, stanął na wysokości zadania. Zaśmiał się swobodnie i powiedział:

— Ha, trudno! Z próżnego i Salomon nie naleje. Musi pan dać nam przytułek w sali bilardowej.

— Żałuję bardzo, łaskawy panie. Trzech dżentelmenów śpi już na stole bilardowym, a dwóch na podłodze w saloniku. Absolutnie nie mogę dziś panów przenocować.

Zabraliśmy z podłogi nasze rzeczy i poszliśmy do „Dworu”. Był to bardzo miły hotelik. Powiedziałem, że bardziej mi przypadł do serca niż tamten.

— Właśnie — przytaknął Harris. — Tu będzie znacznie lepiej i nie będziemy musieli patrzeć na rudego gościa, choć, prawdę mówiąc, nie jego to wina, że jest ryży, biedaczek.

Oto jak dobre serce i zdrowy rozsądek przemówiły przez jego usta.

Ale ci z „Dworu” nawet nie czekali, aż się odezwiemy. Hotelarka przywitała nas na progu oznajmieniem, że jesteśmy czternastym towarzystwem, które musi odprawić, bo w ciągu półtorej godziny odeszło z kwitkiem trzynaście grup podróżnych. Gdyśmy nieśmiało napomknęli o stajni, sali bilardowej i piwnicy na węgiel, odpowiedziała nam szyderczym śmiechem; wszystkie zakamarki od dawna były zatkane gośćmi.

Zapytaliśmy, czy w całym miasteczku nie zna jakiegoś kąta, gdzie moglibyśmy się schronić na noc.

— Ano, jeśli panowie nie są wymagający... wcale tego lokalu nie polecam, żeby potem nie było... ale pół mili stąd, na drodze do Eton jest piwiarnia...

Nie daliśmy jej skończyć. Porwaliśmy kosz, torby podróżne, płaszcze, pledy, paczki i ruszyliśmy biegiem. Wydaje nam się, że była to raczej cała mila niż pół, ale wreszcie dotarliśmy na miejsce i zziajani wpadliśmy do szynku.

Trafiliśmy na zwykłych gburów. Śmiali się nam prosto w nos. W całym domu były tylko trzy łóżka, na których spało już siedmiu pojedynczych dżentelmenów i dwie pary małżeńskie. Ale spotkaliśmy przy szynkwasie jakiegoś poczciwego flisaka, który poradził nam, byśmy spróbowali jeszcze u właściciela sklepu kolonialnego obok „Jelenia”.

Wróciliśmy, lecz u sklepikarza był już komplet. W sklepie zgadaliśmy się z pewną kobieciną, która okazała nam tyle serca, że podjęła się zaprowadzić nas do swej przyjaciółki, mieszkającej niedaleko i — jak zapewniała nasza opiekunka — wynajmującej czasem pokoje panom.

Staruszka bardzo była kiepska w nogach. Ćwierć mili, dzielące nas od domu jej kumy, zabrało nam dobre

dwadzieścia minut. Gdyśmy pociągali za nią nogami, umilała nam drogę opowiadaniem, jak to ją łamie i strzyka przeróżnie w krzyżu.

Pokoje przyjaciółki były już zajęte. Ale otrzymaliśmy rekomendację do pani spod numeru 27. Pod numerem 27 był komplet. Posłano nas pod numer 32, gdzie też niceśmy nie wskórali.

Znaleźliśmy się znów na ulicy. Harris siadł na koszu i oświadczył, że nigdzie już nie pójdzie. W tym cichym miasteczku mówił pragnie umrzeć. Prosi tylko Jerzego i mnie, byśmy w jego imieniu pocałowali w rękę mamusię i powiedzieli wszystkim jego przyjaciołom, że im przebaczył, a śmierć miał lekką.

W tej ciężkiej chwili zjawił się anioł przebrany za małego chłopca (nie wyobrażam sobie, by anioł mógł trafniej niż tym razem przybrać ludzką postać). Niósł dzban piwa, a w drugiej ręce trzymał jakieś coś na sznurku, co upuszczał na każdy płaski kamień po drodze i zaraz podrywał. Wywoływało to dźwięk nad wyraz niewdzięczny, natarczywy i denerwujący.

Zapytaliśmy tego wysłannika niebios (że nim jest, okazało się w chwilę później), czy nie wie o jakimś samotnym domu, gdzie mieszka niezbyt wiele niedołężnych osób (najchętniej — stare damy i sparaliżowani dżentelmeni), które można by bez większej fatygi sterroryzować i zmusić, by odstąpiły na noc łóżka trzem gotowym na wszystko mężczyznom. A jeśli nie, to może by nam wskazał jakiś pusty chlew, nieczynny piec do wypalania wapna lub coś w tym guście. Nie znał niczego takiego — przynajmniej w najbliższej okolicy. Ale — powiedział — gdybyśmy chcieli pójść z nim, to jego matka ma jeden wolny pokój i może nas przenocować.

W bladym świetle księżyca rzuciliśmy mu się na szyję i błogosławiliśmy go. Byłby to przepiękny obraz, gdyby chłopczyk nie załamał się pod brzemieniem naszych czułości i nie klapnął na ziemię, a my trzej na niego. Harrisa ogarnęła

taka radość, że zasłabł i musiał wyrwać chłopcu z ręki dzban. Dopiero gdy wychylił połowę jego zawartości, zdołał odzyskać przytomność, po czym puścił się biegiem, zostawiając wolną drogę Jerzemu i mnie wraz z bagażem.

Chłopiec mieszkał z matką w małym, czteropokojowym domku. Zacna niewiasta dała nam na kolację bekon na gorąco. Sprzątnęliśmy wszystko, a było tego z pięć fantów. Zjedliśmy też placek z owocami i wypiliśmy dwa sagany herbaty, po czym poszliśmy spać. W pokoju były dwa łóżka. Jedno polowe, szerokości dwóch stóp sześciu cali. Spał w nim Jerzy ze mną. Żeby nie wypaść, związaliśmy się prześcieradłem. Drugie łóżko, dziecięce, należało do chłopczyka. Zagarnął je Harris na swój wyłączny użytek. Rano wystawały z łóżeczka dwie gołe nogi na odległość jakichś dwóch stóp. Jerzy i ja używaliśmy ich do wieszania ręczników podczas kąpieli.

Gdy po raz drugi przyjechaliśmy do Datchet, nie byliśmy już tak wybredni w wyborze hotelu.

Wracając do naszej obecnej wycieczki, trzeba powiedzieć, że nic szczególnego nam się nie przydarzyło, kiedy wytrwale ciągnęliśmy łódź, zmierzając ku Małpiej Wyspie. Tuż przed wyspą przybiliśmy do brzegu i zjedliśmy drugie śniadanie. Gdyśmy zabrali się do wołowiny na zimno, okazało się, że na śmierć zapomnieliśmy wziąć ze sobą musztardę. Doprawdy, nigdy ani przedtem, ani potem nie miałem takiej strasznej ochoty na musztardę. Z reguły wcale za nią nie przepadam i niezmiernie rzadko używam tej przyprawy, ale tym razem oddałbym za nią wszystkie skarby świata.

Nie wiem, ile jest tych skarbów i co są warte, lecz temu, kto by mi właśnie wtedy przyniósł łyżkę musztardy, oddałbym je bez wahania. Taki już jestem rozrzutny, kiedy mam ochotę na coś, czego nie mogę dostać.

Harris powiedział, że też by oddał skarby świata. Nielichy więc interes zrobiłby ten, kto by tutaj przyszedł z wiadrem musztardy — do końca życia opływałby w skarby świata całego.

A jednak! Śmiem twierdzić, że obaj zaczęlibyśmy kręcić, gdybyśmy już dostali tego cymesu. Człowiek w chwili uniesienia składa takie ekstrawaganckie oferty, lecz naturalnie, gdy pójdzie po rozum do głowy, widzi, że obiecywał złote góry w zamian za byle co. Opowiadano mi, jak jeden turysta wspinając się na jakąś górę w Szwajcarii w pewnej chwili powiedział, że dałby królestwo za szklankę piwa, a kiedy dotarł do szałasu, w którym sprzedawano ten napój, zrobił piekielną awanturę, bo zażądali od niego pięć franków za butelkę. Krzyczał, że to ohydne zdzierstwo, i napisał o tym do „Timesa”.

Brak musztardy stał się powodem żałoby w naszej łódce. W niemym milczeniu jedliśmy wołowinę. Życie wydało nam się czcze i nieciekawe. Z łezką wspominaliśmy szczęśliwe dni naszego dzieciństwa. Trochę poprawiły nam się humory dopiero przy placku z jabłkami. A kiedy Jerzy dobył z dna kosza puszkę z ananasem i kulnął ją na środek łodzi, doszliśmy do przekonania, że mimo wszystko warto żyć.

Wszyscy trzej przepadamy za ananasem. Oglądaliśmy obrazek na etykiecie i wiele myśleliśmy o soku w środku. Uśmiechaliśmy się do siebie, a Harris wycierał łyżeczkę.

Po czym zaczęliśmy szukać klucza do konserw. Całą zawartość kosza przewróciliśmy do góry nogami. Przetrząśnięte zostały nasze torby podróżne. Podnieśliśmy deski leżące na dnie łodzi. Wszystko wynosiło się na brzeg i tam trzęsło każdym kawałkiem po kolei. Klucz przepadł jak kamień w wodę.

Wówczas Harris spróbował otworzyć puszkę scyzorykiem. Złamał go i paskudnie zaciął się w palec. Jerzy użył nożyczek. Prysnęły w górę i o mały włos nie wykłuły mu oka. Kiedy opatrywali swe rany, ja usiłowałem wybić dziurę za pomocą ostrego końca bosaka, ale bosak zjechał z puszki, a mnie rzuciło w mulistą wodę między łodzią a brzegiem, głęboką na dwie stopy. Nie naruszona puszka potoczyła się i rozbiła po drodze filiżankę.

Szał nas ogarnął. Wzięliśmy puszkę na brzeg. Harris poszedł na pole i przyniósł wielki kamień z ostrym szpicem, ja wróciłem do łodzi i przyciągnąłem maszt. Jerzy trzymał tę zarazę, Harris dzierżył kamień przystawiony ostrym końcem do jej denka, a ja podniosłem wysoko maszt,zbalansowałem go w powietrzu, zebrałem wszystkie siły i rąbnąłem.

Słomiany kapelusz Jerzego ocalił mu wtedy życie. Zachował ten kapelusz (to, co z niego zostało). W zimowe wieczory, kiedy pali się fajki i panowie opowiadają o niebywałych niebezpieczeństwach, jakie dane im było przeżyć, Jerzy zdejmuje go z gwoździa, pokazuje wszem wobec i odświeża mrożącą krew w żyłach historię, której za każdym razem dodaje nowych kolorów.

Harris wyszedł z tej opresji tylko skaleczony.

Teraz ja wziąłem puszkę w swe ręce i kułem ją masztem, póki zupełnie nie opadłem z sił. Wówczas zabrał się do niej Harris.

Ubijaliśmy ją na płasko, obtłukiwaliśmy na graniasto, kuliśmy na wszystkie bryły znane geometrii — ale dziury nie daliśmy rady zrobić. Wówczas Jerzy wziął puszkę w obroty i wykołatał z niej kształt tak dziwny, tak niesamowity, tak nieziemski w swej potwornej ohydzie, że się chłopak przestraszył i cisnął precz maszt. Siedzieliśmy w trójkę na trawie wokół tego potworka i patrzyliśmy na niego.

Na wieczku puszka miała wklęśnięcie, co robiło wrażenie szyderczego grymasu. Piekło nas ogarnęło. Harris doskoczył, podniósł ją i pylnął na sam środek rzeki. Kiedy tonęła, miotaliśmy w nią przekleństwami. Wróciliśmy do łodzi. Zmiataliśmy z tego miejsca i zatrzymaliśmy się dopiero w Maidenhead.

Maidenhead jest miejscowością zbyt snobistyczną, aby mogła być miła. Zbierają się tu dandysi z całej Tamizy wraz ze swymi wyfiokowanymi towarzyszkami. Jest to miasto wystawnych hoteli, uczęszczanych przeważnie przez kokotki i baletniczki. Oto kocioł czarownicy, z którego wychodzą owe demony rzeki — statki parowe. Książę, którego nazwisko

często figuruje na szpaltach „London Journal”, stale trzyma w Maidenheadpied-à-terre,a heroina trzytomowego modnego romansu zawsze tutaj spożywa kolację, gdy się wypuszcza za miasto z cudzym mężem.

Szybko minęliśmy Maidenhead i dopiero za miastem zwolniliśmy tempo, by zażyć całej rozkoszy, jaką daje cudowna trasa za śluzami Boulter i Cookham. Kliwedeński Las odziany był jeszcze w pyszne szaty wiosenne. Wznosząc się tuż nad brzegiem rzeki, roztaczał przed naszymi oczami pełną harmonii gamę czarownej zieleni. Nic nie mąci tu uroku krajobrazu — to chyba najmilszy odcinek rzeki. Długośmy się ociągali, nim wolno wypłynęliśmy z tego cichego zakątka.

Tuż przed Cookham wprowadziliśmy łódkę w odnogę rzeki i zjedliśmy podwieczorek. Był wieczór, gdyśmy się przeprawili przez śluzę. Zerwała się ostra bryza. Cud chciał, że była to bryza pomyślna. Z reguły bowiem wiatr na Tamizie dmie zawsze przeciw tobie, bez względu na to, w którą płyniesz stronę. Tak jest rano, gdy się wybierasz na całodzienną wycieczkę. Wiosłujesz wytrwale i zapuszczasz się daleko, przez cały czas myśląc o tym, jak łatwo będzie wrócić — pod żaglem. Tymczasem ledwie zjadłeś podwieczorek, wiatr zawraca i przez całą drogę do domu tyrasz przy wiosłach pod wiatr.

Ale jeśli zapomniałeś wziąć żagiel, wiatr wytrwale, podczas drogi tam i z powrotem, ci sprzyja. Ha, trudno! Przez całe życie ciężko jesteśmy doświadczani, boć człowiek rodzi się po to, aby miał zmartwienia, jak celem iskry jest strzelić w górę i zgasnąć.

Tego wieczoru ktoś tam najwidoczniej się pomylił i skierował nam wiatr w plecy zamiast prosto w nos. Cichaczem i prędziutko wciągnęliśmy żagiel na maszt, żeby owe moce nie spostrzegły swej pomyłki. Rozciągnęliśmy się w łódce w pozycjach pełnych zadumy, żagiel się wzdął, naprężył, fuknął na maszt i łódka frunęła po . falach.

Ja sterowałem.

Nie znam rzeczy bardziej podniecającej niż sztuka żeglarska. Jeszcze nie wymyślono nic takiego, co by bardziej przypominało latanie w powietrzu — nie mówię o tym, co się nam czasem śni. Niosą cię skrzydła wiatru, sam nie wiesz dokąd. Nie jesteś już małym stworzonkiem ulepionym z gliny, które w pocie czoła pełznie po ziemi krętymi ścieżkami — stałeś się cząstką Natury! Serce twoje bije wraz z jej sercem. Natura bierze cię w potężne ramiona i podnosi, by przytulić do swej piersi. Umysł twój jednoczy się z jej duchem. Twe członki robią się lekkie jak piórka. Tobie śpiewają ptaszki niebieskie. Ziemia wydaje ci się daleka i maleńka. Chmury nad głową to twoi bracia. Wyciągasz do nich ramiona.

Tamiza należała do nas. Z jednym wyjątkiem: gdzieś daleko majaczyła krypa rybacka, zakotwiczona na środku rzeki. Siedziało na niej trzech rybaków. A my ślizgaliśmy się po falach, las na brzegach uciekał wstecz. Nic nie mówiliśmy.

Sterowałem.

Gdyśmy się zbliżyli, okazało się, że trzej rybacy to starsi i bardzo godni panowie. Siedzieli na krzesłach i pilnie wpatrywali się w linki. Krwawy zachód słońca kładł tajemnicze blaski na wodę, przypalał ogniem wierzchołki wyniosłych drzew, otaczał złotą aureolą spiętrzone chmury. Była godzina, która rzuca urok na ludzi, o której zachłystujemy się bezgraniczną nadzieją i tęsknotą. Nasz żagielek rysował się na tle purpurowego nieba, wokół zapadał zmierzch i, mieniąc się jeszcze kolorami tęczy, powoli okrywał świat mrokiem. Za nami skradała się noc.

Byliśmy jak rycerze ze starej legendy, co żeglują przez jakieś tajemnicze jezioro do nieznanego królestwa zmierzchu, ku wielkiej krainie zachodu słońca.

Nie dotarliśmy do królestwa zmierzchu. Wjechaliśmy za to na krypę z trzema starszymi panami. Zrazu nie widzieliśmy, co się stało, bo żagiel zasłonił nam widok, ale z okrzyków, jakie rozdarły ciszę wieczorną, wysnuliśmy

wniosek, żeśmy weszli w styczność z istotami ludzkimi, które doznały jakiejś przykrości i są w złym humorze.

Harris ściągnął żagiel i wszystko się wyjaśniło. Postrącaliśmy owych trzech starszych dżentelmenów z krzeseł. Utworzyli niekształtny kopczyk na dnie krypy. Teraz pomału, z trudem gramolili się na wierzch jeden przez drugiego i otrząsali z ryb. W trakcie tych wysiłków klęli, nie używali jednak zwykłej obiegowej monety wyzwisk, tylko miotali długimi, starannie opracowanymi, a przy tym komunikatywnymi przekleństwami, które obejmowały całą naszą drogę życiową, zapuszczały się w daleką przyszłość, ogarniały wszystkich naszych krewnych, przyjaciół, znajomych, pokrywały każdą rzecz mającą jakiś związek z nami —słowem, były to wymysły pełne soczystej treści.

Harris zwrócił im uwagę, że powinni być nam wdzięczni za odrobinę urozmaicenia po całym dniu nudy. Napomknął przy tym, iż zgorszeniem i smutkiem napawa go, gdy słyszy, na co ludzie w tak podeszłym wieku sobie pozwalają.

Nic wszakże nie wskórał. Jerzy oświadczył, że po tym, co zaszło, bierze ster w swoje ręce. Umysł tej miary — mówiło mnie — nie powinien zniżać się do takich głupstw jak sterowanie łódką. Lepiej będzie, gdy zajmie się tym człowiek prosty, chyba że chcemy się wszyscy potopić i ani zipnąć. Wziął tedy linki w ręce i dosterował aż do Marlow.

A w Marlow zostawiliśmy łódź przy moście i poszliśmy przenocować „Pod Koroną”.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

***Marlow. Opactwo w Bisham. Mnisi* z Medmenham. Montmorency nosi się z zamiarem popełnienia morderstwa na starym kocurze. Ale w końcu postanawia darować mużycie. Skandaliczne zachowanie pewnego foksteriera w londyńskim domu towarowym. Opuszczamy Marlow. Wspaniały korowód. Parowy stateczek—praktyczne wskazówki, jak się z nim droczyć i jak tarasować mu drogę. Nie wypijemy Tamizy. Spokojny pies. Dziwne zniknięcie Harrisa i pasztetu.**

Marlow należy do najmilszych spośród znanych mi miasteczek nad Tamizą. Jest to ruchliwa i gwarna mieścina. Jako całość nie odznacza się, prawdę mówiąc, zbytnią malowniczością. Niemniej można tam znaleźć sporo interesujących kątów i zakamarków. Owe przęsła, które ostały się, choć sam most, łączący dzisiejsze czasy z dawnymi, legł w gruzach, wiodą naszą wyobraźnię w przeszłość, kiedy panem na dworze marlowskim był Algar Saksoński, zanim William zaborczy zagarnął go i podarował królowej Matyldzie, zanim dwór ten przeszedł w ręce hrabiów

Warwick albo wielce mądrego i przytomnego lorda Paget, doradcy czterech królów po kolei.

Kto zaś lubi wysiąść z łódki i pójść na przechadzkę, piękne znajdzie pod Marlow okolice; sama zresztą Tamiza ukazuje się tutaj w całej swej krasie. W dół rzeki aż do Cookham cudna trasa biegnie wśród lasów i łąk. Ach, te lasy! Kochane stare Quarry. Woods! Wasze wąskie, pnące się w górę rzeki, kręte leśne drożyny zachowały do tej chwili aromat wspomnień dawnych, słonecznych dni letnich. Ileż

widm roześmianych twarzy nawiedza wasze cieniste aleje! Jakże często w poszumie liści szepczą do mnie słodkie głosy sprzed wielu, wielu lat...

Droga z Marlow do Sonning jest może jeszcze piękniejsza. Na prawym brzegu, dokładnie pół mili powyżej mostu w Marlow, wznosi się słynne stare opactwo w Bisham, którego kamienne mury rozbrzmiewały kiedyś okrzykami templariuszy, w którym swego czasu mieszkała Anna z Cleves, a potem rezydowała królowa Elżbieta. Opactwo w Bisham obfituje w melodramatyczne rekwizyty. Jest tam sypialnia obita kobiercami i tajemna alkowa, ukryta wysoko nad ziemią w grubym murze. Upiór Świętej Damy, która zatłukła na śmierć swego synka, do dziś błąka się tutaj po nocach i stara się umyć swe widmowe ręce w astralnej miednicy.

Spoczywa tu Warwick, ,,ten, który robił królów", dziś obojętny na takie głupstwa jak ziemscy królowie i ziemskie królestwa. A także Salisbury, ten, co dobrze zasłużył się ojczyźnie pod Poitiers. Tuż przed opactwem, na samym brzegu Tamizy, stoi kościół w Bisham. Jeśli w ogóle są groby warte obejrzenia, to na pewno należą do nich groby i nagrobki w tym kościele. Kołysząc się w łódce w cieniu buków pod Bisham, Shelley — mieszkał wówczas w Marlow (jego dom można jeszcze zobaczyć na West Street) — stworzył Bunt Islamu.

Nieco wyżej śluzy w Hurley jest miejsce, w którym — nieraz tak sobie myślałem — mógłbym zostać przez miesiąc i byłby to czas jeszcze za krótki, aby wchłonąć w siebie całe jego piękno. Wioska Hurley, pięć minut drogi od śluzy, należy do najstarszych osad nad rzeką i datuje się od owej zamierzchłej epoki, nazywanej w osobliwym języku „czasami królów Seberta i Offy". Zaraz za śluzą (w górę rzeki) leży Duńskie Pole, na którym obozowali kiedyś duńscy najeźdźcy w czasie marszu na hrabstwo Gloucester. Trochę dalej, w cudownym zakątku nad rzeką, gnieżdżą się ruiny opactwa Medmenham.

Słynni mnisi z Medmenham, zwani powszechnie „Klubem Ognia Piekielnego”, stanowili bractwo hołdujące dewizie: „Rób, co ci się podoba”. To hasło zachowało się do dziś nad zniszczoną bramą opactwa. Na wiele lat przed założeniem szalbierczego zakonu braci lekkoduchów i wesołków z Medmenham stał na tym samym miejscu klasztor bardziej surowej reguły i żyli w nim mnisi nieco innego pokroju niż owo rozwiązłe towarzystwo, jakie pojawiło się tutaj w pięćset lat po nich.

Cystersi, których opactwo stało w Medmenham w XIII wieku, za całą odzież nosili zgrzebne habity i kaptury. Nie jedli ani mięsa, ani ryb, ani jajek. Spali na słomie. O północy wstawali na mszę. Dzień wypełniała im praca rąk, czytanie Pisma Świętego i modlitwa. Całe ich życie płynęło w grobowej ciszy, bo nikt nie śmiał się odezwać.

Ponure bractwo pędziło posępny żywot w tym uroczym zakątku, który Stwórca obdarzył słońcem i weselem! Jakże to dziwne, że głosy Natury wokół nich — łagodny szmer wody, szelest sitowia nad rzeką, melodyjny szum wiatru w gałęziach drzew — nie zdołały ukazać im prawdziwego sensu życia. Przez długie dni nasłuchiwali w milczeniu głosu z nieba. A przecież od rana do wieczora i nocą wśród uroczystej ciszy głos ten przemawiał do nich miriadami dźwięków. Nic nie słyszeli.

Od Medmenham do uroczej śluzy w Hambledon krajobraz pełen jest słodyczy, potem jednak, począwszy od Greenlands aż do Henley i jeszcze dalej, pustką wieje i nudą. Greenlands stanowi letnią rezydencję, zresztą nie nazbyt powabną,mojego agenta prasowego, cichego i skromnego starszego pana. Często spotyka się go w tych stronach podczas letnich miesięcy — lekko i sprężyście wiosłuje w pojedynkę lub w czasie przeprawy przez śluzę beztrosko gawędzi ze starym dozorcą.

W poniedziałek wstaliśmy dosyć wcześnie i poszliśmy wykąpać się przed śniadaniem. W drodze powrotnej Montmorency zachował się jak ostatni idiota.

Jedyną sprawą, w której dzieli nas poważna różnica zdań, jest sprawa kotów. Ja lubię koty. Montmorency ich nie znosi.

Kiedy spotkam kota, mówię: „Biedny kiciuś!”, pochylam się i drapię go za uchem. A on zadziera ogon, który robi się sztywny jak drut, napina grzbiet niczym łuk i ociera nos o moje spodnie. Atmosfera jest miła i przyjazna. Gdy Montmorency spotka się z kotem, wie o tym cała ulica. W ciągu dziesięciu sekund trwoni się tyle grubych słów, ile wystarczyłoby przeciętnemu szanującemu się obywatelowi na całe życie, gdyby używał ich z należytą rozwagą.

Nie winię o to psa (najczęściej ograniczam się do tego, że daję mu po łbie lub tylko rzucam w niego kamieniami), bo wiem, że taka jest jego psia natura. Foksteriery rodzą się obciążone poczwórnym grzechem pierworodnym w porównaniu z wrodzoną zmazą innych psów.

Wielu, wielu lat cierpliwych wysiłków ze strony nas, chrześcijan, potrzeba, aby wydatnie zreformować chuligańską naturę foksteriera.

Pamiętam, jak raz siedziałem w poczekalni domu towarowego na Haymarket, otoczony gromadą psów, oczekujących powrotu swych właścicielek, które poszły na zakupy. Był tam jeden brytan, ze dwa szkockie owczarki, bernardyn, parę spanieli i nowofunlandczyków, jeden ogar, francuski pudel, który głowę miał gęsto okrytą włosem, lecz dalej świecił gołym ciałem, potem buldog, kilka piasków wielkości szczura, z gatunku tych, jakie się sprzedaje pod Lowther Arcade, i dwa teriery z Yorkshire.

Psiska siedziały sobie, cierpliwe, dobre, głęboko zamyślone. Uroczysty spokój panował w poczekalni. Przenikała ją atmosfera ciszy, rezygnacji i łagodnego smutku.

Wówczas weszła młoda piękna pani z potulnym foksterierkiam na smyczy. Zostawiła go w poczekalni uwiązanego między buldogiem a pudlem. Usiadł i rozglądał się przez chwilę. Potem utkwił wzrok w suficie — z jego miny można się było domyślić, że duma o swej rodzicielce.

Następnie ziewnął. Potem zlustrował spojrzeniem otaczające go psy, milczące, poważne, godne.

Rzucił okiem na buldoga, który spał jak zabity na prawo od niego. Spojrzał w lewo na pudla,zastygłego w pozie wyniosłej i sztywnej. Wówczas, bez słowa ostrzeżenia, bez cienia prowokacji, ugryzł pudla w przednią łapę, do której mu było najbliżej. Pełen bólu skowyt wypełnił cichy i cienisty zakątek.

Wynik tej pierwszej próby foksio ocenił jak najbardziej pozytywnie i postanowił kontynuować wysiłki zmierzające do rozruszania towarzystwa. Przeskoczył pudla i ostro zaatakował owczarka. Ten obudził się i natychmiast wszczął dziką i hałaśliwa burdę z pudlem. Foksiunio wrócił na swoje miejsce, chapnął buldoga za ucho i chciał nim rzucić jak piłką. Buldog, zwierzę zadziwiająco bezstronne, ruszył do boju w myśl zasady: co na drodze — to nieprzyjaciel, i nie przepuścił nawet dozorcy. Dla słodkiego foksterierka było to hasłem do zapoczątkowania bójki z terierem, który też nie był od tego. Walka ta przyniosła foksterierowi niemałą rozrywkę i nieszybko się skończyła.

Tym, co znają psią naturę, nie trzeba mówić, że w tej chwili już wszystkie psy, jakie zebrały się w poczekalni, walczyły z takim zapałem, jakby od wyniku potyczki zależał los ich ogniska rodzinnego. Wielkie psy walczyły z sobą nie przebierając wśród zapaśników. Małe żarły się we własnym kółku, a wolny czas wypełniały sobie w ten sposób, że gryzły po nogach swych dużych braci.

Cała poczekalnia zamieniła się w straszliwe piekło. Hałas był potworny. Na placu przed magazynem zebrał się tłum. Ludzie pytali się, czy to zebranie rady parafialnej. A jeśli nie, to kogo tu mordują i za co? Nadbiegli faceci z drągami i powrozami. Próbowali rozdzielić psy. Zaalarmowano policję.

Kiedy rozróbka doszła do szczytu, wróciła milusia młoda dama. Porwała na ręce swojego psiapsiulka (zdążył już unieszkodliwić na dobry miesiąc teriera i miał teraz minkę nowo narodzonego jagnięcia), obcałowywała pieszczocha i

pytała, czy go tu nie zabili i co mu zrobiły te brzydkie, podłe psiska. Foksterier tulił się do niej i patrzył jej w oczy, jakby chciał powiedzieć: „Och, strasznie się cieszę, żeś przyszła i zabierzesz mnie stąd, bo oni tacy są niegrzeczni!”

Oświadczyła, że dyrekcja domu towarowego stanowczo nie ma prawa pozwalać, by umieszczano takie dzikie bydło jak te psiska razem z pieskami przyzwoitych ludzi, i że ma wielką ochotę pociągnąć kogoś tutaj do odpowiedzialności sądowej.

Taka jest natura foksterierów. Dlatego też nie żywię pretensji do Montmorency'ego o to, że ma na pieńku z kotami. Tego poranka jednak sam żałował, że zaczął.

Wracaliśmy, jak się rzekło, prosto z wody. Byliśmy w pół drogi na High Street, gdy z domu przed nami wypadł kot i począł truchcikiem biec na drugą stronę ulicy. Montmorency wydał okrzyk radości, okrzyk srogiego wojownika, który widzi, że wróg sam mu wpadł w ręce — podobny głos wydarł się zapewne z piersi Cromwella, kiedy ujrzał Szkotów schodzących z pagórka — i szurnął za swą zdobyczą.

Ofiarą Montmorency'ego było wielkie czarne kocisko. W życiu nie widziałem większego dryblasa i spod ciemniejszej gwiazdy. Postradał pół ogona, jedno ucho i poważną część nosa. Był to zwierz długi i muskularny. Minę miał spokojną i zadowoloną.

Montmorency puścił się za tym kiciusiem z szybkością dwudziestu mil na godzinę. Tamten wcale jednak nie przyśpieszył kroku, jak gdyby zupełnie nie zdawał sobie sprawy, że jego życiu grozi niebezpieczeństwo. Dreptał spokojnie do chwili, gdy kandydat na mordercę znalazł się w odległości jarda od niego. Wówczas odwrócił się i siadł na środku jezdni. Spojrzał na Montmorency'ego z uprzejmą miną, jakby chciał zapytać:

— Słucham. Czy pan ma do mnie interes?

Montmorency'emu nie brak odwagi. Ale w spojrzeniu kota było coś, co mogło zmrozić krew w żyłach najdzielniejszego psa. Nagle przystanął. Spojrzał na kota.

Nic nie mówili. Ale można bez trudu dośpiewać sobie następującą rozmowę między nimi:

Kot:

— Czym mogę panu służyć? Montmorency:

— Nie... nic, dziękuję bardzo. Kot:

— Niechże się pan nie krępuje, jeśli w samej rzeczy czegoś panu trzeba.

Montmorency(nieco się cofając):

— Och, nie... bynajmniej... doprawdy... proszę się nie trudzić. Ww... wziąłem pana za kogo innego. Zdawało mi się, że się... że się znamy. Przepraszam, że niepotrzebnie pana niepokoiłem.

Kot:

— Ależ nic takiego, bardzo mi było miło. A może jednak mógłbym czymś się panu przysłużyć?

Montmorency(wciąż się cofając):

— Nie, dziękuje... bynajmniej. Pan jest doprawdy bardzo uprzejmy dla mnie. Do widzenia.

Kot:

— Moje uszanowanie.

Po czym wstał i pobiegł truchcikiem dalej, a Montmorency podwinął to, co nazywa swym ogonem, wrócił do nas i zajął poślednie miejsce w straży tylnej pochodu.

Do dziś dnia, gdy mu powiesz: „Kota!”, wzdryga się i patrzy żałośnie na ciebie, jakby chciał powiedzieć:

— Daj spokój.

Po śniadaniu dokonaliśmy zakupów, by zaopatrzyć łódź w aprowizację na następne trzy dni. Jerzy oświadczył, że trzeba kupić jarzyn, bo niezdrowo jest ich unikać. Poza tym łatwo je ugotować. Sam się tym zajmie. Nabyliśmy zatem dziesięć funtów kartofli, buszel grochu i parę główek kapusty. W hotelu zaopatrzyliśmy się w pasztet mięsny parę tortów agrestowych, udo baranie. Potem obiegliśmy miasto i zaprowiantowaliśmy się w owoce, ciastka, chleb, masło, dżem, bekon, jajka i tak dalej.

Wymarsz z Marlow zaliczam do naszych największych sukcesów. Odbyło się to z fasonem i zrobiło duże wrażenie, choć nie było ostentacji. We wszystkich sklepach, jakieśmy odwiedzili, położyliśmy nacisk na to, by wszystko wysłali w naszej obecności. Nie nas nabierać na piękne słówka: „Tak, proszę pana. Natychmiast to wyślę. Chłopak będzie tam przed panem!” A potem sterczysz na przystani jak kto głupi i musisz dwa razy latać do sklepu, żeby robić im awanturę. Czekaliśmy, aż zapakują koszyk, i braliśmy z sobą posłańca. Wstąpiliśmy do wielu sklepów i wszędzie trzymaliśmy się tej zasady. Dzięki temu, gdy zakończyliśmy zakupy, kroczył wraz z nami taki reprezentacyjny zespół chłopców, jaki tylko można sobie wymarzyć. Ostatni etap naszego marszu środkiem High Street w stronę rzeki był zapewne widowiskiem od dawna w Marlow nie oglądanym.

Pochód szedł w następującym porządku:

Montmorency — z pasykiem w pysku.

Dwa kundle — podejrzane towarzystwo, jego przyjaciele.

Jerzy — dźwiga płaszcze i pledy. Pali krótką fajkę.

Harris — stara się iść z niewymuszonym wdziękiem, choć taszczy w jednej ręce wypchaną i nie domkniętą walizę,a w drugiej trzyma butelkę z lemoniadą.

Dwaj chłopcy — ze sklepu z warzywami i od piekarza, obaj z koszykami.

Służący z hotelu — niesie ciężki kosz na bieliznę.

Chłopak z cukierni — z koszykiem.

Chłopiec ze sklepu kolonialnego — z koszykiem.

Kudłaty pies.

Chłopak z mleczarni — z kobiałką.

Indywiduum — niosące torbę podróżną.

Jego serdeczny druh — ręce w kieszeniach, pali glinianą fajeczkę.

Chłopiec z owocami — z koszykiem.

Ja — niosę trzy kapelusze i parę butów, staram się zrobić taką minę, jakbym nie wiedział, że mam coś w rękach.

Sześciu pędraków i cztery bezdomne psy.

Gdyśmy przybyli do przystani, stróż zapytał:

— Zaraz, zaraz. Panowie zostawili tu statek parowy czy barkę?

Zdziwił się trochę, gdy poinformowaliśmy go, żeśmy przybyli tu dwójką ze sternikiem.

Mieliśmy owego poranka urwanie głowy ze statkami parowymi. Zbliżały się właśnie „dni Henley” i całe gromady statków płynęły w górę rzeki, jedne szły w pojedynkę, inne holowały barki. Nie cierpię statków parowych. Chyba każdy wioślarz ich nienawidzi. Ledwie ujrzę taki stateczek, bierze mnie ochota zwabić go w odludny zakątek rzeki i tam bez świadków cichcem zakatrupić dziada.

Zachowują się tak hałaśliwie i arogancko, że zdolne są zbudzić najgorsze instynkty drzemiące na dnie mej duszy. Ogarnia wtedy człowieka tęsknota do dawnych, dobrych czasów, kiedy można było podejść do drugiego i powiedzieć mu, co się o nim myśli, posługując się przy tym toporkiem oraz łukiem i strzałami. Sama mina faceta, który z rękami w kieszeniach stoi na rufie i pali cygaro, star owi już dostateczny powód do zerwania pokoju. A gdy jeszcze jaśnie pan zacznie na ciebie gwizdać, byś mu zjechał z drogi — tak, jestem dziwnie spokojny, że to wystarczy, aby każda ława przysięgłych, złożona z wioślarzy, orzekła, iż działałeś w stanie „wyższej konieczności”.

Statki parowe musiały, w swym przekonaniu, gwizdać na nas, żebyśmy ustąpili im z drogi. Nie będzie w tym chyba czczej przechwałki, jeśli wyznam uczciwie, że nasza łódeczka w ciągu jednego tygodnia napotkanym po drodze statkom parowym dokuczyła, zabrała czasu i narobiła złej krwi więcej niźli cała flotylla pojazdów rzecznych razem wzięta.

— Uwaga, statek parowy! — wołał któryś z nas, gdy wypatrzył daleko nieprzyjaciela. W mgnieniu oka wszystko było gotowe na jego godne przyjęcie. Ja brałem w ręce linki, Harris i Jerzy siadali obok — wszyscy odwróceni plecami do statku — a łódź dryfowała spokojnie na środek rzeki.

Statek sunie i gwiżdże, a my płyniemy sobie z prądem. Zbliżywszy się do nas na odległość stu jardów zaczyna świstać, jakby się wściekł. Jacyś ludzie biegną do burty, wychylają się i ryczą na nas. Nic nie słyszymy! Harris opowiada nam historyjkę o swej matce. Jerzy i ja za skarby świata nie oddalibyśmy jednego słowa z tej anegdoty.

Statek wydaje z siebie ostatni, rozpaczliwy gwizd, od którego o mało kocioł mu nie pękł, po czym cofa się, puszcza parę, robi nagły zwrot i już szoruje o dno. Kto żyw na pokładzie, biegnie na dziób i drze się na nas. Ludzie na brzegu przystają i krzyczą do nas, a wszystkie łódki, jakie znalazły się w pobliżu, podpływają, wioślarze przyłączają się do wrzaskliwego chóru — i na całej rzece, daleko w górę i w dół, robi się wściekła awantura. Harris przerywa swoją opowieść w najciekawszym miejscu, z lekkim zdziwieniem podnosi wzrok i mówi do Jerzego:

— Słuchaj, Jurek. Niech mnie gęś kopnie, jeżeli to nie jest statek parowy.

Na co Jerzy:

— A wiesz, że i mnie się zdawało, jakbym coś słyszał.

Po czym ogarnia nas nerwowe podniecenie, wszystko plącze nam się w rękach i nie wiemy, jak usunąć się z drogi, więc tamci cisną się na pokładzie i jeden przez drugiego udzielają nam wskazówek.

— Prawym wiosłem... ty idioto! Lewe w tył! Nie, nie ty... ten drugi... Zostawże linki w spokoju, słyszysz? Hop, razem! Nie, nie tak! Ach, ty...

Wreszcie spuszczają na wodę szalupę i śpieszą nam z pomocą. Po kwadransie ciężkiej pracy usuwają nas ze swej drogi. Mogą płynąć dalej. Serdecznie im dziękujemy i prosimy, by wzięli nas na hol.

Ale nie było wypadku, żeby się na to zgodzili.

Wynaleźliśmy inny jeszcze sposób wyprowadzania z równowagi arystokratycznych pasażerów statków parowych. Otóż braliśmy ich za robotnicze towarzystwo na dorocznej majówce na koszt fabrykanta i pytaliśmy, czy są „grandą od

Schichta” albo czy są może zacnymi templariuszami z Bermondey i czy mogliby pożyczyć nam rondla.

Starsze panie, nie obyte z rzeką, bardzo się zawsze gorączkują przy spotkaniu ze statkiem. Pamiętam, jak raz płynąłem ze Staines do Windsor — odcinek ten szczególnie obfituje w owe mechaniczne potwory — w towarzystwie, w którym były trzy damy tego pokroju. Emocja była nie byle jaka. Ledwie pokazał się na horyzoncie jakiś statek, panie usilnie nalegały, by wysiąść na brzeg i siedzieć tam, póki straszydło nie zniknie nam z oczu. Mówiły, że bardzo im przykro, ale dobro ich rodzin wymaga, by nazbyt nie ryzykowały.

Gdyśmy dotarli do śluzy w Hambledon, okazało się, że nie mamy już wody do picia. Wzięliśmy dzbanek i poszliśmy do domu dozorcy poprosić o wodę.

Jerzy był naszym rzecznikiem. Z ujmującym uśmiechem na ustach zapytał:

— Przepraszam, czy pozwoliłby pan nam trochę wody?

— A jakże — odparł zacny staruszek. — Proszę wziąć, ile panom trzeba, a resztę proszę zostawić.

— Stokrotne dzięki — szepnął rozglądając się Jerzy. — Gdzie... pan ją przechowuje?

— Zawsze w tym samym miejscu, chłopcze — odparł flegmatyczny starzec. — Za pańskimi plecami.

— Nie widzę wody — powiedział obracając się w kółko Jerzy.

— Oj, bożyczku, gdzieś pan podział oczy? — zauważył stróż odwracając Jerzego i pokazując mu ręką na prawo i lewo. — Jest, panie, co oglądać.

— Och! — zawołał Jerzy, pojmując, w czym rzecz. — Czy pan chce, żebyśmy pili Tamizę?

— Całej nie wypijecie — odparł poczciwina. — Ja popijam Tamizę już od piętnastu lat.

Jerzy zapewnił staruszka, że jego wygląd nie jest najlepszą reklamą firmy, z której bierze wodę, i że my wolimy spod pompy.

Dostaliśmy wody w domu parę kroków dalej. Śmiem twierdzić, że też pochodziła z Tamizy, ale nie wiedzieliśmy o tym i wszystko było w porządku. Czego oczy nie widzą — to nie może wywołać rozstroju żołądka.

Spróbowaliśmy wody z rzeki kiedy indziej i nie ma czym się chwalić. Płynęliśmy z prądem. Skręciliśmy w odnogę, aby zjeść podwieczorek pod Windsorem. Dzban był pusty i mieliśmy do wyboru: nie pić herbaty lub zaczerpnąć wody z rzeki. Harris radził zaryzykować. Nic nam nie będzie, jeśli wodę się przegotuje. Zapewniał, że wrzątek zabije wszelkie szkodliwe mikroby. Napełniliśmy więc kociołek wodą z odnogi Tamizy i zagotowaliśmy, pilnie bacząc przy tym, by woda zakipiała.

Zaparzyliśmy herbatę i już rozsiedliśmy się wygodnie do podwieczorku, gdy Jerzy, z filiżanką w pół drogi do ust, nagle zatrzymał się i zawołał:

— A to co?

— Jakie „to”? — zapytał Harris i ja.

— No, to! — odparł Jerzy patrząc na zachód.

Harris i ja spojrzeliśmy w tym kierunku i zobaczyliśmy unoszonego przez leniwy nurt w naszą stronę — psa. Był to chyba najbardziej spokojny i potulny kundel, jakiego widziałem w swym życiu. Nigdy nie spotkałem psa, który by wyglądał na bardziej zadowolonego i wolnego od trosk. Rozmarzony, płynął na grzbiecie, a wszystkie cztery nogi zadarł w górę, prosto jak strzelił. Był wypasiony i miał dobrze rozwiniętą klatkę piersiową. Zbliżał się tedy ku nam, pogodny, pełen spokoju i dostojeństwa. Gdy zrównał się z naszą łódką, zawinął do przystani w sitowiu i wygodnie ułożył się na spoczynek.

Jerzy powiedział, że nie będzie pił herbaty, i wylał ją do wody. Harris, któremu też nie chciało się pić, poszedł za jego przykładem. Ja wychyliłem pół filiżanki, lecz pożałowałem.

Zapytałem Jerzego, czy uważa, że mogę dostać tyfusu.

— Ale skąd! — odparł. — Na pewno się wymigasz. A zresztą, co tu dużo mówić, za jakieś dwa tygodnie dowiesz

się, czy wóz, czy przewóz.

Popłynęliśmy odnogą Tamizy do Wargrave, na krótsze drogi. Trasa ta zaczyna się na prawym brzegu, w miejscu położonym jakieś pół mili powyżej śluzy Marsh, i godna jest uwagi jakomiły i cienisty odcinek, który poza tym skraca drogę prawie o pół mili.

Rzecz jasna, wejście do odnogi zagrodzono palami tudzież łańcuchami i otoczono tablicami ostrzegawczymi, które grożą wszelkiego rodzaju torturą, więzieniem i karą śmierci każdemu, kto ośmieli się dotknąć tych wód wiosłem. (Dziwię się, czemu ten i ów chamuś znad Tamizy nie rości sobie pretensji do powietrza nad rzeką i nie grozi każdemu, kto oddycha tym powietrzem, nawiązką w wysokości czterdziestu szylingów). Atoli przy odrobinie zręczności nietrudno wyminąć pale i łańcuchy, co się zaś tyczy tablic z pogróżkami, to — jeśli masz pięć minut wolnego czasu i nikt się nie kręci w pobliżu — możesz zedrzeć jedną, albo i dwie, i wrzucić do wody.

W połowie drogi wysiedliśmy, aby zjeść drugie śniadanie. Właśnie pożywialiśmy się, kiedy Jerzego i mnie spotkała przykra niespodzianka.

Harris też był zaskoczony, ale śmiem wątpić, czy przeżył połowę tego, co my.

Rzecz, proszę państwa, miała się tak: siedzimy na łączce, jakieś dziesięć jardów od brzegu. Dopiero co usadowiliśmy się wygodnie, aby się pokrzepić. Harris trzyma na kolanach pasztet wołowy i kraje go na plasterki, a Jerzy i ja podstawiamy mu talerzyki.

— Macie może łyżkę? — pyta Harris. — Potrzebna mi do sosu.

Kosz stał tuż za nami. Odwróciliśmy się obaj, żeby wyjąć łyżeczkę. Nie trwało to nawet pięciu sekund. Gdyśmy wrócili do poprzedniej pozycji

— Harris i pasztet zniknęli!

Stało się to na otwartym i rozległym polu. W promieniu kilkuset jardów nie było ani jednego drzewa, ani śladu płotu.

Do Tamizy wpaść nie mógł, bo siedzieliśmy między nim a rzeką, i musiałby przeskoczyć przez nas.

Wodziliśmy oczami dokoła, potem spojrzeliśmy na siebie.

— Do nieba został wzięty? — zapytałem.

— Ale pasztetu chyba nie zabrali? — odparł Jerzy.

Obiekcja ta miała swój ciężar gatunkowy, odrzuciliśmy więc hipotezę wniebowzięcia.

— Moim zdaniem — ciągnął Jerzy, zstępując na grunt rzeczy zwykłych i potwierdzonych przez praktykę — prawda polega na tym, że było trzęsienie ziemi. — Po czym dodał z nutą żalu w głosie:

— Szkoda, że się wziął do krajania pasztetu.

Z westchnieniem jeszcze raz zwróciliśmy spojrzenia ku miejscu, gdzie Harris i pasztet po raz ostatni byli widziani na tej ziemi. Ujrzeliśmy tam

— krew zastygła nam w żyłach i włosy zjeżyły się na głowach! — głowę Harrisa, nic, tylko głowę sterczącą na szyi sztywno i prosto wśród wybujałej trawy, a na jego twarzy, czerwonej jak burak, malowało się niesłychane oburzenie.

Jerzy pierwszy odzyskał przytomność umysłu.

— Mów! — zawołał. — Powiedz nam, czyś żywy czy martwy, i gdzie jest reszta twej osoby.

— Och, nie bądź głupim osłem! — odparła głowa Harrisa. — Jestem pewny, żeście to zrobili naumyślnie.

— Cośmy zrobili? — zawołaliśmy obydwaj.

— Ano, posadziliście mnie tutaj. Świński kawał! Jazda, bierzcie pasztet!

Z głębi ziemi, jak się nam wydawało, wynurzył się pasztet — w stanie opłakanym. A za nim wygramolił się Harris — sponiewierany, ubłocony, mokry.

Okazało się, że siedział, nic o tym nie wiedząc, na samym skraju rowu, który zasłaniała przed okiem ludzkim wysoka trawa. Pochylił się trochę w tył i wpadł tam razem z pasztetem.

W życiu — zapewniał — tak się nie zdziwił, jak wtedy, gdy poczuł, że odpływa, i nie miał zielonego pojęcia, co się stało.

Pierwszą jego myślą było, że nadszedł koniec świata.

Harris do dziś dnia jest przekonany, że myśmy to z góry ukartowali. Oto jak bezpodstawne podejrzenie snuje się czasem nawet za ludźmi bez skazy. Albowiem mówi poeta: „Któż uniknie oszczerstwa?”

Któż, zaiste!

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Wargrave. Figury woskowe. Sonning. **Nasz stew. Montmorency ironizuje. Walka między nimaczajnikiem. Jerzy uczy się grać na banjo. Spotyka się z brakiem zrozumienia. Kłody na drodze muzyka amatora. Nauka gry na kobzie. Smutek ogarnia Harrisa po kolacji. Idę z Jerzym na spacer. Wracamy głodni i przemoczeni. Z Harrisem coś niedobrze. Harris i łabędzie, historia niepowszednia. Harris ma noc niespokojną.**

Po drugim śniadaniu ruszyliśmy dalej. Pod łagodnym tchnieniem pomyślnego wiatru żagiel poniósł nas aż za Wargrave i Shiplake. Wargrave wygląda niczym dojrzały owoc w sennym słońcu letniego popołudnia. Inaczej mówiąc, gdy mijasz mieścinę, która uwiła sobie gniazdko nad zakrętem rzeki, masz wrażenie, że patrzysz na uroczy stary obraz. Widok Wargrave nieprędko zatrze się w pamięci turysty.

Gospoda pod nazwą „Święty Jerzy i Smok”

w Wargrave chlubi się szyldem, który z jednej strony wymalował Leslie, członek Akademii Królewskiej, a z drugiej — Hodgson, z tejże Akademii. Leslie wyobraził walkę ze smokiem, Hodgson ukazał scenę „Po walce” — święty Jerzy, już po robocie, ze smakiem wychyla kufel piwa.

Day, autor „Sandforda i Mertona”, żył i — co jeszcze większy zaszczyt przynosi miastu — został zamordowany w Wargrave. W kościele wystawiono pomnik pani Sarze Hill, która uczyniła zapis w wysokości jednego funta rocznie; suma ta, zgodnie z ostatnią wolą pani Hill, przeznaczona jest do podziału, co roku na Wielkanoc, między dwoje chłopiąt i parę dziewcząteк, „które nigdy nie były krnąbrne względem

rodziców i na które nikt się nie poskarżył, że używały nieprzystojnych słów, mówiły nieprawdę, kradły lub wybijały okna”. Słuchajcie, słuchajcie! Tego wszystkiego trzeba się wyrzec za pięć szylingów rocznie! Oto gra nie warta świeczki.

Opowiadają w Wargrave, że kiedyś, bardzo dawno temu, znalazł się chłopiec, który rzeczywiście nigdy nic takiego nie zrobił, a w każdym razie nie dał się złapać na gorącym uczynku (tego tylko można było wymagać i na tyle liczyć) — i dzięki temu zdobył wieniec chwały. Przez trzy tygodnie był potem wystawiony na pokaz pod wielkim szklanym kloszem na ratuszu.

Co się dalej działo z tymi pieniędzmi — nikt nie wie. Mówią, że co roku przekazuje się funta na rzecz najbliższego gabinetu figur woskowych.

Shiplake jest piękną wioską, ale nie widać jej z Tamizy, bo leży na wzgórzu. W tamtejszym kościele odbył się ślub Tennysona.

Aż do Sonning rzeka wije się, obmywając liczne wysepki. Cicho tutaj, pusto i głucho. Ludzi się nie spotyka i tylko o zmierzchu można czasem ujrzeć zakochaną wiejską parkę, spacerującą na brzegu. Mieszczuch z Londynu i lord Fitzdudeck zostali za nami, w Henley, a do ponurego, brudnego Reading jeszcze kawałek drogi. Ta część rzeki szczególnie nadaje się do wspominania dawnych, dobrych czasów, twarzy i postaci, które się rozpłynęły w niepamięci, do rozmyślań nad tym wszystkim, co mogło być, ale nie było — a zresztą, niech to diabli wezmą!

W Sonning wysiedliśmy z łodzi i poszliśmy na spacer. Nad całą Tamizą nie ma drugiego takiego zakątka — zupełnie jak z bajki. Bardziej przypomina dekorację teatralną niż wieś zbudowaną z cegieł spojonych murarską zaprawą. Każdy dom tonie wśród róż, a teraz, na początku czerwca, rozkwitały ogromne, gęste bukiety tych kwiatów w całym blasku ich delikatnej urody. Jeśli zawadzisz o Sonning, zatrzymaj się w gospodzie „Pod Bykiem”, tuż za kościołem.

To klasyczny wzór starej wiejskiej oberży. Z frontu — porosłytrawą czworoboczny dziedziniec, gdzie wieczorem na ławkach pod konarami drzew siadają starzy ludzie i przy piwie rozprawiają o miejscowych wydarzeniach dnia. Wewnątrz — niskie powały, izby o dziwnych kształtach, okna z maleńkimi szybkami, koślawe schody, kręte korytarzyki.

Jakąś godzinę włóczyliśmy się po uroczym Sonning. Za późno już było, byśmy mogli przed nocą minąć Reading, postanowiliśmy zatem wrócić i przenocować na którejś z wysp pod Shiplake. Było jeszcze dość wcześnie, gdyśmy się tam rozgościli, i Jerzy oświadczył, że czasu jest dość, powstały więc idealne warunki do przyrządzenia dobrej, a nawet amatorskiej kolacji. Zapowiedział przy tym, że pokaże nam, jak można błysnąć na wycieczce sztuką kulinarną, i zaproponował, żeby z jarzyn, resztek zimnej wołowiny i różnych odpadków zrobić irlandzki stew.

Trudno było nie ulec tej pokusie. Jerzy nazbierał chrustu i rozpalił ognisko. Harris i ja wzięliśmy się do obierania ziemniaków. Nigdy bym nie uwierzył, że tyle z tym zachodu. Okazało się, że jest to impreza na wielką skalę, w jakiej nigdy jeszcze nie brałem udziału. Przystąpiliśmy do dzieła w nastroju wesołym, można by nawet rzec: płochym, ale gdyśmy się uporali z pierwszym kartoflem, odechciało nam się żartów. Im więcej obieraliśmy, tym więcej zostawało obierzyn. Kiedyśmy okroili kartofel z łupin i wydłubali oczka, nic z niego nie zostało, w każdym razie tyle, że nie ma o czym mówić. Jerzy przyszedł i rzucił okiem — kartofelek był wielkości fasoli.

— O, nie, panowie — powiedział. — Tak nie można. Marnujecie tylko kartofle. Musicie skrobać.

No to skrobaliśmy, a praca była cięższa niż obieranie. Cóż za niezwykłe kształty mają kartofle — całe w jakichś guzach, brodawkach i dołkach. Przez dwadzieścia pięć minut przykładaliśmy się do roboty i oporządziliśmy cztery kartofle. Potem ogłosiliśmy strajk. Oświadczyliśmy, że teraz sami będziemy musieli do nocy skrobać się z brudu.

Nie miałem dotąd pojęcia, czego się człowiek może doskrobać. Wierzyć się nie chciało, że obierki, w których Harris i ja ugrzęźliśmy po kolana, mogły pochodzić z czterech nędznych kartofli. Oto do czego dojść można oszczędnością i pracą!

Jerzy powiedział, że cztery pyrki na irlandzki stew to śmieszne, umyliśmy więc jeszcze pół tuzina i nie oskrobane włożyliśmy do rondla. Potem wsypaliśmy tam posiekaną główkę kapusty i pół garnca grochu. Jerzy wymieszał to wszystko i oznajmił, że jest jeszcze dużo miejsca, wobec czego przetrząsnęliśmy obydwa kosze — wyłowiliśmy niemało rozmaitych odpadków,okrawków i resztek. Dorzuciliśmy je do rondla. Odnaleźliśmy też pół wieprzowego pasztetu i kawałek gotowanego bekonu. Dopchnęliśmy i to. Jerzemu wpadło w rękę pół puszki marynowanego łososia — poszło do rondla.

— Na tym polega — mówił — pożytek, jaki daje irlandzki stew.Można załatwić się z tylu zbędnymi rzeczami.

Wyłowiłem dwa zbite jajka. Doszlusowały do rondla. Jerzy wyjaśnił, że dzięki nim sos będzie gęstszy.

Nie pamiętam już innych ingrediencji, wiem tylko jedno: nic się nie zmarnowało. Pamiętam, że pod koniec Montmorency, który przez cały czas okazywał wielkie zainteresowanie tym, co się działo, oddalił się z poważną i zatroskaną miną. Po paru minutach wrócił ze zdechłym szczurem wodnym w zębach. Najwyraźniej pragnął ofiarować go jako swój osobisty wkład do kolacji. Czy uczynił to w złośliwej intencji, czy tylko chciał się przyczynić — nie umiem powiedzieć.

Przedyskutowaliśmy zagadnienie, czy włożyć to do rondla, czy nie. Harris wyraził pogląd, że szczur będzie w sam raz, gdy się go zmiesza z resztą, i że każdy drobiazg może się przydać. Jerzy jednak odwołał się do precedensów. Nigdy nie słyszał o wodnych szczurach w irlandzkim stew,woli więc — mówił — pójść utartą drogą i nie będzie się puszczał na eksperymenty.

Na to Harris:

— Jeśli nigdy nie spróbujesz żadnej nowości, to skąd będziesz wiedział, czy to dobre, czy nie? Właśnie tacy jak ty hamują postęp. Pomyśl o tym, który pierwszy spróbował niemieckich kiełbasek!

Irlandzki stew udał się znakomicie. Chyba nic jeszcze tak mi nie smakowało. Był taki jakiś świeży i pikantny. Naszemu podniebieniu dawno obrzydły oklepane potrawy. Oto stało przed nami danie o nieznanym zapachu i smaku do niczego niepodobnym.

A przy tym rzecz pożywna. Jerzy słusznie podkreślił, że stew został sporządzony z najlepszych surowców. Wprawdzie nie zawadziłoby, gdyby groch i kartofle były nieco miększe, ale mieliśmy wszyscy dobre zęby, nic więc się nie stało. A sos — nie sos to był, lecz poemat — może odrobinę za tęgi na słabszy żołądek, za to bardzo pożywny.

Kolacja zakończyła się herbatą i plackiem z wiśniami. W czasie deseru Montmorency stoczył walkę z czajnikiem i poniósł sromotną klęskę.

Od początku wycieczki okazywał niezwykłe zainteresowanie czajnikiem. Gdy woda się gotowała, siedział i ze zdziwioną miną bacznie przyglądał się czajnikowi, raz po raz przy tym warczał, wyraźnie szukając zaczepki. Gdy tamten zaczynał bełkotać po swojemu i dymić parą,

Montmorency brał to za jawne wyzwanie. Byłby się zmierzył z czajnikiem, gdyby nie to, że zawsze ktoś w tej samej chwili doskoczył do maszynki i zabrał psu łup sprzed nosa, zanim zdążył go dopaść.

Dziś postanowił nas uprzedzić. Ledwie czajnik się odezwał, Montmorency zerwał się i warcząc ruszył ku niemu z groźną miną. Czajnik był nieduży, ale odwagi mu nie brakowało. Niewiele myśląc, plunął na psa.

— Ach, to tak! — warknął Montmorency, obnażając kły. — Ja cię nauczę bezczelnie lżyć ciężko pracującego przyzwoitego psa, ty nędzny długi nochalu, ty brudasie, łajdaku, ty! Uważaj!

Rzucił się na biedną ofiarę i chwycił ją za dzióbek.

Ciszę wieczorną rozdarło wycie mrożące krew w żyłach. Montmorency opuścił łódkę i odbył spacer dla zdrowia, trzy razy naokoło wyspy, z szybkością trzydziestu pięciu mil na godzinę. Co chwila jednak zatrzymywał się i rył nosem w każdej kałuży z zimnym błotem.

Od tego dnia Montmorency spoglądał na czajnik z mieszanym uczuciem bogobojnej trwogi, nieufności i nienawiści. Ilekroć go zobaczył, warczał i wycofywał się w popłochu z podwiniętym ogonem, a kiedy stawialiśmy czajnik na maszynce, Montmorency niezwłocznie wymykał się z łódki. Siedział na brzegu dopóty, dopóki wszystko się nie skończyło.

Po kolacji Jerzy sięgnął po banjo i chciał grać, ale Harris zaprotestował. Oświadczył, że boli go głowa i nie czuje się na siłach tego słuchać. Jerzy był zdania, iż muzyka może przynieść ulgę Harrisowi. Muzyka — mówił — kojąco działa na nerwy i często uśmierza ból głowy. Brzdąknął przy tym parę razy, żeby dać Harrisowi pojęcie, jak by to wyglądało.

Harris wyznał, że woli już ból głowy.

Jerzy do dziś dnia nie nauczył się grać na banjo. Ze wszystkich stron spotykał się z zupełnym brakiem zrozumienia. Na wycieczce parę razy, wieczorkiem, próbował trochę poćwiczyć, ale nigdy jego wysiłki nie zostały uwieńczone sukcesem. To, co wygadywał wtedy Harris, każdego by wyprowadziło z równowagi, a na dobitkę Montmorency siadał i od początku do końca koncertu wył jak najęty. Nie tak się daje człowiekowi uczciwą szansę.

— Kiego diabła on się tak wydziera, gdy gram na banjo! — z oburzeniem wołał Jerzy, celując butem w Montmorency'ego.

— A ty po co grasz, kiedy on wyje? — replikował Harris łapiąc but. — Zostawże go w spokoju. On nie może nie wyć. Słuch ma dobry. Gdy ty grasz, jemu płakać się chce.

Jerzy postanowił zatem odłożyć naukę gry do chwili powrotu do domu. Ale i tam nie poszło mu łatwo. Pani P.

przychodziła na górę i mówiła, że bardzo przeprasza — osobiście lubi, jak Jerzy gra — lecz dama, która mieszka piętro wyżej, znajduje się w odmiennym stanie i doktor obawia się, że muzyka może zaszkodzić dziecku.

Wówczas Jerzy późną nocą brał instrument pod pachę i ćwiczył na pobliskim skwerze. Mieszkańcy sąsiednich domów donieśli o tym policji. Pewnej nocy agenci zaczaili się na Jurka i ujęli go. Dowody przeciw niemu były niezbite, musiał więc podpisać zobowiązanie, że przez sześć miesięcy będzie siedział cicho.

Po tej przygodzie stracił serce do muzyki. Podjął wprawdzie dwie jeszcze lub trzy nieśmiałe próby muzykowania, kiedy minęło sześć miesięcy, musiał wszakże walczyć z tą samą co dawniej powszechną dezaprobatą. Wkrótce potem Jerzy porzucił wszelką nadzieję. Dał ogłoszenie w gazecie, że jest do sprzedania banjo, wprost za bezcen, ponieważ „przestało być potrzebne właścicielowi”. Zabrał się wtedy do studiowania sztuk z kartami.

Komuż by się nie odechciało nauki gry na instrumencie muzycznym! Zdawać by się mogło, że społeczeństwo, we własnym interesie, zrobi wszystko, by człowiekowi pomóc w opanowaniu sztuki muzycznej. A społeczeństwu ani się śni!

Znałem pewnego młodzika, który uczył się grać na kobzie. To wprost nie do wiary, ile napotkał oporów. Ba! Nawet własna rodzina bynajmniej nie udzieliła mu tego, co można by nazwać gorącą zachętą. Ojciec od samego początku był zaciekłym przeciwnikiem kobzowania i wyrażał się o tym bez żadnych osłonek.

Mój młody przyjaciel wstawał wczesnym rankiem, żeby trochę poćwiczyć, ale musiał poniechać tych wysiłków przez wzgląd na swą siostrzyczkę. Jako osoba o religijnym poniekąd zacięciu utrzymywała, że okropna to rzecz w taki sposób zaczynać dzionek boży.

Siedział więc młody kobziarz po nocach, kiedy wszyscy spali, i grał. To też niedobrze się skończyło, bo dom przez niego zyskał złą sławę. Zapóźnieni przechodnie przystawali

na ulicy i słuchali, a rankiem następnego dnia roznieśli po całym mieście, że tej nocy straszne morderstwo popełniono w domu pana Jeffersona. Opisywali ze szczegółami, jak to na własne uszy słyszeli przeraźliwe krzyki nieszczęsnej osoby i ordynarne przekleństwa i obelgi rzucane przez mordercę, po których nastąpiły błagania ofiary o litość i ostatni, śmiertelny charkot nieboszczyka.

W tym stanie rzeczy pozwolono mu ćwiczyć za dnia, w kuchni od podwórza, przy drzwiach zamkniętych. Lecz mimo tych środków ostrożności najbardziej efektowne pasaże słychać było w salonie. Matka rozczulała się wtedy do łez. Mówiła, że to jej przypomina świętej pamięci ojca

(połknął go, biedaka, rekin, gdy kąpał się w morzu opodal brzegu Nowej Gwinei). Skąd to skojarzenie, nie umiała wyjaśnić.

Potem sklecili dla niego szałasik na drugim końcu ogrodu, z ćwierć mili od domu, i kazali mu brać dudy w garść i lecieć tam, ilekroć będzie miał ochotę poćwiczyć. Zdarzało się, że przyszedł gość, który o niczym nie wiedział, a rodzina grajka na śmierć zapomniała powiedzieć mu wszystko i ostrzec przed kobzą. Gość szedł sobie na spacer dookoła ogrodu. Nagle, niczego nie podejrzewając, wkraczał w zakazany rejon i stawał jak wryty. Jeśli był to człowiek zahartowany, kończyło się na zwykłych drgawkach, ale osoby przeciętnie odporne dostawały wariacji.

Musimy sobie powiedzieć, że jest coś niezmiernie smutnego w pierwszych próbach kobziarza amatora. Sam doznawałem tego uczucia, gdym słuchał mojego młodego przyjaciela.

Gra na kobzie wymaga, zdaje się, dużego wysiłku fizycznego. Nim zaczniesz, musisz nabrać w płuca tyle powietrza, żeby ci wystarczyło na całą piosenkę — przynajmniej do takich doszedłem wniosków obserwując Jeffersona.

Zaczynał wspaniale, nutą brzmiącą dziko, jakby to była surma bojowa. Od razu podnosiło mnie to na duchu. Ale

potem mój kobziarz grał coraz bardziej piano i pod koniec urywał w pół frazy, a instrument pykał i syczał.

Trzeba mieć końskie zdrowie, żeby móc grać na kobzie.

Jefferson nauczył się tylko jednej melodii. Ale nie słyszałem, by ktoś narzekał na zbyt szczupły repertuar młodego wirtuoza — broń Boże! Nazywało się to: „Oto nadchodzą Campbellowie, hurra, hurra!” Tak mówił wykonawca, natomiast jego ojciec utrzymywał, że to są „Szkockie dzwonki polne”. Nikt nie miał absolutnej pewności, co to mogło być, wszyscy jednak zgadzali się, że duch piosenki jest szkocki.

Gościom, którzy słyszeli mego przyjaciela po raz pierwszy, pozwalano zgadywać do trzech razy, co on gra. Każdy wymieniał co innego.

Po kolacji Harris zrobił się niemiły — pewnie stew popsuł mu humor. Chłopak nie przywykł do życia na wysokiej stopie — zostawiliśmy go w łódce, a sami wybraliśmy się na przechadzkę po Henley. Powiedział, że wypije kieliszek whisky, zapali fajkę i przygotuje nocleg. Gdy wrócimy, zawołamy na niego — podpłynie do brzegu i zabierze nas na wyspę.

— Tylko nie zaśnij, kochasiu — powiedzieliśmy odchodząc.

— Nie ma obawy, by człowiek zasnął po takiej kolacji — burknął i powiosłował z powrotem.

Henley przygotowywało się do regat. W miasteczku rojno było i gwarno. Spotkaliśmy sporą gromadkę znajomych z Londynu i w miłym towarzystwie czas szybko nam mijał. Dochodziła jedenasta, gdyśmy ruszyli w drogę powrotną do domu — tak zaczęliśmy już nazywać naszą łódkę. Mieliśmy przed sobą cztery mile drogi.

Noc była nieprzyjemna, zimno przejmujące, mżył kapuśniaczek. Szliśmy wolno przez ciemne i głuche pola, rozmawialiśmy półgłosem, zastanawialiśmy się, czy idziemy we właściwym kierunku, a przez cały czas nie opuszczała nas myśl o przytulnej łódce i jasnym świetle

przeświecającym przez napięty namiot. Myśleliśmy o Harrisie, Montmorencym i whisky. Chcieliśmy już być w domu.

Oczyma duszy widzieliśmy siebie, zmęczonych i przy apetycie, pod namiotem; widzieliśmy ciemną rzekę i bezkształtne drzewa, a pod ich konarami, niczym olbrzymich rozmiarów robaczka świętojańskiego — naszą kochaną, starą łódkę, przytulną, ciepłą i wesołą. Oto jemy już kolację, dziobiemy widelcami zimne mięso, podajemy sobie pajdy chleba. Słychać radosny szczęk noży, nasz śmiech wypełnia łódź i przez otwór namiotu ulatuje w noc ciemną. Przyśpieszyliśmy kroku, aby marzenie oblekło się w rzeczywistość.

Wreszcie dotarliśmy do ścieżki holowniczej. Bardzo się ucieszyliśmy, bo do tej chwili wcale nie byliśmy pewni, czy idziemy w stronę rzeki, czy w przeciwnym kierunku, a kiedy jesteś zmęczony i chcesz spać, taka niepewność to bardzo przykra rzecz. Minęliśmy Shiplake, gdy zegar wybijał za kwadrans dwunastą. Jerzy zamyślił się i rzekł:

— Czy ty przypadkiem nie pamiętasz, która to była wyspa?

— Nie — odparłem i też się trochę zaniepokoiłem. — Nie pamiętam. Ile jest tych wysp?

— Tylko cztery — uspokoił mnie Jerzy. — Wszystko będzie dobrze. Jeśli Harris czuwa.

— A jeśli nie? — zapytałem.

Ale odrzuciliśmy tę ewentualność.

Gdyśmy znaleźli się na wysokości pierwszej . wyspy, zawołaliśmy na Harrisa — nie było odpowiedzi. Poszliśmy dalej. Spróbowaliśmy nawiązać kontakt z drugą wyspą — wynik był ten sam.

— Och! Przypomniało mi się — powiedział Jerzy. — To była trzecia wyspa.

Z nadzieją w sercu pobiegliśmy dalej.

Z trzeciej wyspy też nie było odpowiedzi na nasze wołania.

Sytuacja robiła się poważna. Było już po północy. Hotele w Shiplake i Henley są z pewnością nabite. Nie możemy też biegać po nocy, dobijać się do bram domów i pytać właścicieli, czy mają pokoje do wynajęcia. Jerzy zaproponował, byśmy wrócili do Henley i napadli na policjanta. W ten sposób zdobędziemy nocleg na posterunku. Zaraz jednak opamiętaliśmy się: a co będzie, jeśli policjant odda nam to, co dostał, i nie zechce nas zamknąć? Nie sposób spędzić całą noc na bójkach z policjantami. Zresztą baliśmy się, że przesolimy i dostaniemy po sześć miesięcy.

Głosami pełnymi rozpaczy wołaliśmy w ciemnościach w stronę czegoś, co wyglądało na czwartą wyspę, ale nic z tego nie wynikło. Deszcz zaczął lać na dobre i widać było, że nieprędko przestanie. Przemokliśmy na wylot, szczękaliśmy zębami. Stan nasz był opłakany. Zaczęliśmy zastanawiać się, czy nie ma tu więcej wysp niż cztery, i w ogóle gdzie jesteśmy. A może o milę dalej? A może zawędrowaliśmy w inne strony? W czarną noc wszystko wyglądało tak dziwnie i tak inaczej. Zaczęliśmy rozumieć cierpienia Tomcia Palucha.

I właśnie gdy porzuciliśmy już wszelką nadzieję... tak, wiem, że zawsze wtedy coś musi się stać w powieści lub noweli, ale nic na to nie poradzę. Kiedy przystępowałem do pisania tej książki, postanowiłem być wierny faktom. I słowa dotrzymam, choćby wypadło mi w tym celu posługiwać się wytartymi frazesami.

Stało się to właśnie wtedy, gdyśmy porzucili już wszelką nadzieję, i dlatego muszę użyć tego zwrotu. Właśnie gdyśmy porzucili już wszelką nadzieję, nagle dostrzegłem, że nieco niżej od miejsca, w którym stoimy, jakiś dziwny i niesamowity odblask pełga wśród drzew na drugim brzegu. Najpierw przyszły mi na myśl upiory

.— takie chwiejne i tajemnicze było to światło. Zaraz jednak jak błyskawica przeszyła mnie myśl, że to jest nasza łódka, posłałem więc na drugi brzeg okrzyk tak przeraźliwy, że nawet noc musiała zadrżeć w swym łóżku.

Z zapartym oddechem czekaliśmy minutę, a wtedy — o! boska muzyko ciemności! — usłyszeliśmy w odpowiedzi ujadanie Montmorency'ego. Odkrzyknęliśmy mu tak, że obudziłoby to nawet Siedmiu Braci Śpiących — nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego trzeba większego hałasu, żeby obudzić siedmiu śpiących niż jednego — i po chwili, która wydała nam się godziną, a w rzeczywistości trwała jakieś pięć minut, ujrzeliśmy oświetloną łódź i usłyszeliśmy zaspany głos Harrisa. Pytał się, gdzie jesteśmy.

Harris jakoś dziwnie sobie poczynał. Było to więcej niż zwykłe znużenie. Podpłynął do brzegu w miejscu, w którym fizyczną niemożliwością było wejść do łódki. I natychmiast zasnął. Kosztowało nas mnóstwo pohukiwań i wrzasków, nimeśmy go obudzili i doprowadzili do jakiej takiej przytomności. Ale w końcu dopięliśmy swego i bezpiecznie dostaliśmy się na pokład.

Zauważyliśmy, że Harris ma nad wyraz smętną minę. Robił wrażenie człowieka, który wiele przeszedł. Zapytaliśmy go, czy coś się stało.

— Łabędzie! — powiedział.

Widocznie przycumowaliśmy łódź do brzegu tuż przy gnieździe łabędzi, bo w chwilę po naszym odejściu łabędzica wróciła do domu i zrobiła Harrisowi awanturę. Wyrzucił ją za drzwi. Poszła i po chwili wróciła z mężem. Harris zapewniał, że musiał stoczyć regularną bitwę z obojgiem małżonków. Ostatecznie męstwo i zręczność przeważyły szalę zwycięstwa — Harris zmusił łabędzie do odwrotu.

W pół godziny później wróciły z osiemnastu przyjaciółmi! Rozgorzała straszliwa bitwa — tak przynajmniej wynikało z jego trochę niejasnej relacji. Łabędzie chciały wyciągnąć Harrisa i Montmorency'ego z łódki i utopić. Harris przez cztery godziny bohatersko się bronił. Wytłukł je do nogi, odpłynęły w dal i tam pozdychały.

— Jak mówisz? Ile było tych łabędzi? — zapytał Jerzy.

— Trzydzieści dwaaa — sennym głosem odparł Harris.

— Dopiero co mówiłeś, że osiemnaście.

— Nie. Nie mówiłem — obruszył się Harris. — Powiedziałem dwanaście. Czy ty myślisz, że nie umiem liczyć?

Ile było naprawdę tych łabędzi, nigdyśmy się nie dowiedzieli. Pytaliśmy o to Harrisa na drugi dzień rano, ale zdziwił się: „Jakie łabędzie?” Pewnie uważał, że to się nam śniło.

Och, jak cudnie było siedzieć bezpiecznie w łódce po tylu ciężkich przejściach! Zjadłem z Jerzymposilną kolację i bylibyśmy potem napili się grogu, gdyby nam się udało znaleźć whisky, ale nic z tego. Przepytaliśmy Harrisa, co z nią zrobił. Nie rozumiał, co znaczy słowo „whisky” i w ogóleo czym my mówimy. Montmorency miał taką minę, jakby coś wiedział, ale nie puścił pary z ust. Dobrze spałem tej nocy i byłbym spał jeszcze lepiej, gdyby nie Harris. Jeśli dobrze pamiętam, co najmniej dwanaście razy budził mnie w nocy. Plątał się po łodzi z latarnią i szukał ubrania. Przez całą noc miał, zdaje się, mnóstwo kłopotów z własnym przyodziewkiem.

Dwa razy kazał podnieść się Jerzemu i mnie, bo chciał sprawdzić, czy nie leżymy na jego spodniach. Za drugim razem Jerzy dostał białej gorączki.

— Po jaką cholerę potrzebne ci w nocy spodnie? — zapytał z oburzeniem. — Połóż się i śpij!

Kiedy znów się obudziłem, Harris miał nowe zmartwienie: nie mógł znaleźć swoich skarpetek.

I jeszcze, jak przez mgłę, przypominam sobie, że mnie odwrócił na drugi bok mrucząc coś pod nosem. Jeśli go dobrze zrozumiałem, zachodził w głowę, gdzie, u licha ciężkiego, podział się jego parasol.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Domowe obowiązki. Zapał do pracy. Stary wyga— co robi i co opowiada? Sceptycyzm młodego pokolenia. Pierwsze wspomnienia wioślarza. Na tratwie. Jerzy jest niezrównany. Stary przewoźnik, i jego metoda. Zawsze spokojny i pełen pogody. Nowicjusz. Krypa. Przykry wypadek. Rozkosze przyjaźni. Pod żaglem, moje pierwsze doświadczenie. Dlaczegośmy się nie utopili?

Na drugi dzień obudziliśmy się późno i na wyraźną prośbę Harrisa zjedliśmy skromne śniadanie bez żadnych delikatesów. Potem się pozmywało naczynia i wszystko pięknie posprzątało. (Wdrażając się w te zajęcia miałem możność wyrobić sobie dość jasny pogląd w kwestii, która od dawna nie dawała mi spokoju. Otóż zastanawiałem się nieraz, co robi dla zabicia czasu kobieta, która ma na głowie tylko jedno gospodarstwo domowe). Wyruszyliśmy koło dziesiątej. Byliśmy zdecydowani zrobić porządny kawał drogi.

Zgodziliśmy się, że nie będziemy holowali łodzi, tylko dla odmiany trochę powiosłujemy. Harris uważał, że najlepiej by było, gdyby nas dwóch wiosłowało, a on sterował. Mnie jednak wcale się to nie uśmiechało.

— Harris okazałby znacznie więcej zdrowego rozsądku — powiedziałem — gdyby zaproponował, że wraz z 'Jerzym weźmie się do roboty, a mnie dacie nieco odsapnąć. Wydaje mi się bowiem, że na tej wycieczce robiłem dotąd więcej, niżby na mnie przypadało, gdyby podział pracy był sprawiedliwy. Zaczynam mieć tego dość.

Stale odnoszę wrażenie, iż robię więcej, niż powinienem. Nie znaczy to, że mam Wstręt do pracy — proszę dobrze

mnie zrozumieć. Lubię pracować, a nawet palę się do roboty. Praca tak mnie urzeka, że mogę całymi godzinami siedzieć i patrzyć na nią. Lubię mieć ją przy sobie — na samą myśl o rozstaniu serce mi pęka z żalu.

Choćbyście dali mi nie wiem ile 'roboty — zawsze będzie mi jej za mało: gromadzenie pracy stało się moją pasją. Obecnie gabinet mam tak zawalony różnymi pracami, że szpilki byś nie wetknął. Jeśli tak dalej pójdzie, będę musiał w najbliższej przyszłości pomyśleć o przybudówce.

A jak dbam o swą pracę! Ba, niektóre prace, które leżą u mnie, są w moim posiadaniu od wielu, wielu lat, i nie znajdziesz na nich nawet śladu palca. Jestem niezmiernie dumny ze swej pracy. Co jakiś czas wyjmuję wszystko z szafy i otrzepuję z kurzu. Nikt lepiej niż ja nie konserwuje swej pracy.

Tak, palę się do roboty, ale przecież nie wyrzeknę się sprawiedliwości. Nigdy nie proszę o więcej, niż na mnie przypada.

I co z tego? Zawsze dają mi więcej, choć wcale o to nie prosiłem — więcej, tak mi się zdaje. To przykre.

Jerzy mówi, że całkiem niepotrzebnie się martwię. To tylko — powiada — wrodzona nadmierna skrupulatność podszeptuje mi obawę, że otrzymałem więcej pracy, niż mi się należało. A w gruncie rzeczy nie dostałem ani połowy tego, co na mnie przypada.

Mam jednak wrażenie, że on tak mówi tylko po to, by mnie pocieszyć.

Zauważyłem, że na wycieczce łódką każdy członek załogi ma kręćka na jednym punkcie — jest święcie przekonany, że sam robi wszystko. Harris uważa, że tylko on pracuje, a Jerzy i ja jesteśmy trutniami. Jerzego pusty śmiech ogarnął, gdy usłyszał, jakoby Harris, poza tym, że je i śpi, jeszcze coś robił. Był bowiem głęboko przekonany, że nie kto inny, tylko właśnie on — Jerzy w swej własnej osobie — zrobił wszystko, co warte jest wzmianki.

— Nigdy jeszcze — zakończył — nie byłem na wycieczce z dwoma takimi nygusami jak Harris i Jerome.

Ubawiło to Harrisa.

— Popatrz, popatrz! Nasz Jurek mówi o pracy!

— parsknął śmiechem. — A przecież wystarczy mu pół godziny, żeby padł trupem ze znużenia. Czyś ty kiedy widział go przy pracy? — zapytał zwracając się do mnie.

Przyznałem mu rację. Nie widziałem, żeby Jerzy pracował — a już na pewno nie widziałem od chwili, gdyśmy wybrali się na wycieczkę.

— A to dobre! Ciekawe, skąd ty możesz coś o tym wiedzieć — usadził Jerzy Harrisa. — Niech mnie Bóg skarze, jeśli Harris nie przespał pół wycieczki. Słuchaj — zwrócił się do mnie — czyś widział kiedy, żeby Harrisowi nie kiwała się głowa? Nie mówię o chwilach posiłku.

W imię prawdy musiałem poprzeć Jerzego. Od samego początku nie mieliśmy żadnej pociechy z Harrisa.

— Mówcie, co chcecie — wtrącił Harris — ale na pewno zrobiłem więcej niż stary Jerome.

— To nie sztuka. Mniej zrobić byś nie potrafił

— oświadczył Jerzy.

— Mam wrażenie, że Jerome uważa się za pasażera w naszej łódce — zakonkludował Harris.

Taka spotkała mnie wdzięczność za to, że począwszy od Kingston cały czas własnymi rękami ciągnąłem dwóch chłopów wraz z ich nędznym starym pudłem, że miałem oko na wszystko, o niczym nie zapomniałem, troszczyłem się o tych basałyków i dla nich orałem jak wół. Cóż, taki jest świat.

Trudności, jakie się wyłoniły, rozwiązaliśmy w ten sposób, że Harris i Jerzy mieli wiosłować do chwili, gdy miniemy Reading, a potem ja będę łódź holował. Perspektywa targania ciężkiej łodzi pod silny prąd wcale mi się nie uśmiechała. Owszem, swego czasu, a było to bardzo już dawno, wielkim głosem wołałem o ciężką pracę. Dziś wolę dać młodym pole do popisu.

Widzę, że podobną postawę zajmuje większość starych wilków rzecznych: ustępują miejsca innym, gdy trzeba odwalić ciężki kawałek roboty. Starego wygę poznasz od razu po tym, jak rozciąga się na poduszkach ułożonych na dnie łodzi i jak dodaje ducha wioślarzom gadkami o niebywałych wyczynach, jakich dokonał w zeszłym roku.

— Wy to nazywacie ciężką robotą! — cedzi przez zęby, z wielkim zadowoleniem pykając fajkę. Zwraca się do dwóch spoconych nowicjuszy, którzy od półtorej godziny wytrwale prą przeciw nurtowi: — Ano, widzicie, Jim Biffles, Jack i ja w ubiegłym sezonie wioślarskim pewnego popołudnia skoczyliśmy za jednym zamachem z Marlow do Goring. Pamiętasz, Jack?

Jack, który na przodzie łódki usłał sobie łóżeczko z wszystkich pledów i płaszczy, jakie udało mu się zebrać, i od dwóch godzin lulał tam słodko, teraz na apel kolegi otwiera jedno oko i snuje wrażenia z tamtej wyprawy. Przypomina sobie między innymi, że przez cały czas walczyli z niezwykle silnym prądem, a na domiar złego dął im w oczy gwałtowny wicher.

— Tak, zrobiło się wtedy swoje trzydzieści cztery mile, prawda? — dodaje pierwszy weteran. Ciągnie jeszcze jedną poduszkę i podkładają sobie pod głowę.

— Skądże znowu, nie przesadzajmy — mówi półgębkiem Jack, a w jego głosie brzmi nuta wymówki. — Było tego najwyżej trzydzieści trzy.

Jack i Tom tak się wysilili na tę rozmowę, że ogarnia ich śmiertelne znużenie i znów zasypiają. A dwaj naiwni młodzieńcy przy wiosłach dumni są z tego, że wolno im siedzieć w jednej łodzi z takimi gwiazdami wioślarstwa jak Jack i Tom. Jeszcze więc mocniej przykładają się do roboty.

Kiedy byłem młody, pilnie słuchałem sportowych opowieści z ust starszych. Pochłaniałem, łykałem, trawiłem każde ich słowo i nigdy nie miałem dość. Aliści młodemu pokoleniu nie dostaje owej dziecięcej wiary, jaka cechowała dawne czasy. W zeszłym roku my trzej wzięliśmy do łodzi

pewnego żółtodzioba i przez całą drogę faszerowaliśmy go, zgodnie z przyjętym zwyczajem, niezwykłymi historiami, przypisując sobie wszelkie możliwe bohaterskie czyny.

Uraczyliśmy tego młokosa całą serią klasyki sportowej — sędziwymi bujdami, którymi przez tyle lat karmili się wszyscy wioślarze na Tamizie — i dołożyliśmy mu siedem zupełnie oryginalnych opowiadań własnego chowu, w tym jedną rzecz całkiem wiarygodną, opartą, w pewnej mierze, na wypadku niemal zupełnie prawdziwym, który istotnie przed laty przytrafił się, w nieco innej postaci, naszym kolegom. Była to taka historia, że nawet dziecko mogło dać jej wiarę, i wielka krzywda by mu się nie stała.

Otóż ten smarkacz wykpił wszystkie nasze historie. Domagał się przy tym, byśmy jeszcze raz opowiedzieli o swoich niezwykłych przygodach, i stawiał dziesięć przeciw jednemu, że szczegóły nie będą się zgadzały.

Zgadało się o przygodach na rzece. Odświeżyliśmy także opowiadania o naszych wstępnych próbach na polu sztuki wioślarskiej. Pamiętam mój pierwszy krok: w piątkę złożyliśmy się po trzy pensy i wypłynęliśmy na jezioro w Regent's Park łodzią nader osobliwej konstrukcji, po czym suszyliśmy się w domku dozorcy parku.

Potem, gdy już raz zasmakowałem wody, wiele pływałem na tratwach po różnych podmiejskich gliniankach. Sport ten jest znacznie ciekawszy i przynosi więcej emocji, niż mogłoby się zdawać

— zwłaszcza gdy jesteś na środku stawu, a właściciel budulca, użytego przy zbijaniu tratwy, nagle ukazuje się na brzegu ze sporym kijem w ręku.

Pierwsze twoje wrażenie na widok tego pana jest, że bądź co bądź nie dorastasz do jego poziomu ani nie dorównasz mu w konwersacji. Dochodzisz więc do wniosku, że — gdyby nie wydało się to nazbyt niegrzeczne — najchętniej uniknąłbyś spotkania z nim. Postanawiasz dostać się na drugi brzeg i po cichu udać się szybko do domu,

jakbyś tego pana nie zauważył. On jednak, jak na złość, koniecznie chce wziąć cię za rękę i porozmawiać.

Z tego, co mówi, wynikałoby, że zna twego ojca, a z tobą jest w poufałych stosunkach. Cóż z tego, kiedy ciebie wcale do niego nie ciągnie. Woła: „Ja cię nauczę brać moje deski i robić sobie z nich tratwę!”, ale skoro sam dobrze już wiesz, jak to się robi, jego propozycja, choć niewątpliwie świadczy o niekłamanej życzliwości, jest trochę spóźniona i nie możesz jej przyjąć, bo chcesz oszczędzić mu fatygi.

Mimo wszystko ten pan tak gorąco pragnie

„spotkać się z tobą, że twoja oziębłość bynajmniej go nie zraża. Wysiłki, jakich nie szczędzi, gdy biega jak kot z pęcherzem, byle tylko powitać cię w miejscu wylądowania, bardzo ci pochlebiają.

Jeśli facet jest ciężkawy i cierpi na zadyszkę,możesz bez trudu uniknąć jego uprzejmości, ale gdy masz do czynienia z gościem młodym i długonogim, spotkania nie da się odroczyć. Rozmowa wszakże trwa bardzo krótko — mówi przeważnie on, a twoje uwagi sprowadzają się do krótkich okrzyków. Gdy tylko możesz się wymknąć, rozstajesz się ze swoim rozmówcą...

Ze trzy miesiące poświęciłem pływaniu na tratwach. Kiedy już posiadłem wszystkie arkana tej sztuki, postanowiłem przejść do wioślarstwa w ścisłym znaczeniu tego słowa i wstąpiłem do jednego z klubów wioślarskich na rzece Lea.

Pływając po tej rzece, zwłaszcza w soboty po południu, szybko nabierzesz wprawy i zręczności w manewrowaniu łódką, dzięki czemu unikniesz zderzeń z brutalami i zalania wodą przez barki. Masz również mnóstwo sposobności do opanowania najbardziej skutecznego i efektownego sposobu leżenia plackiem na dnie łodzi, co pozwala ci uniknąć strącenia do wody przez którąś z często tu spotykanych lin holowniczych.

Ale stylu tam nie posiądziesz. Styl zdobyłem dopiero, gdy wypłynąłem na Tamizę. Obecnie wszyscy bardzo się nim

zachwycają. Mówią, że jest taki oryginalny.

Jerzy, dopiero gdy skończył szesnaście lat, zbliżył się do wody. Wówczas, wraz z ośmiu kawalerami w jego wieku, udał się w pewną sobotę do Kew. Chcieli wynająć tam łódkę, zrobić wypad do Richmond i wrócić. Był wśród nich chłopak nazwiskiem Joskins, który miał o sobie wysokie mniemanie z tej racji, że raz czy dwa pływał łódką na Serpentynie w Hyde Park. Otóż ten Joskins powiedział im, że wioślarstwo to bycza zabawa!

Przybyli do przystani podczas gwałtownego odpływu. Ostry wiatr przeszywał rzekę. Nic sobie jednak z tego nie robiąc, przystąpili do wyboru odpowiedniej łodzi.

Zobaczyli na brzegu ósemkę wyścigową na dulkach, która ogromnie przypadła im do gustu. Powiedzieli, że ją biorą. Właściciela łódek nie było, zastępował go jakiś chłopak. Usiłował on ostudzić ich zapał do ósemki i pokazał parę innych łódek, bardziej wygodnych, przeznaczonych na wycieczki rodzinne. Nawet słyszeć o tym nie chcieli. Uważali, że w wyścigówce najlepiej będą wyglądali.

Chłopak zepchnął więc ósemkę na wodę. Zdjęli marynarki i zaczęli sadowić się w łodzi. Jerzy już wtedy wyróżniał się swą ciężką wagą i dlatego chłopak zaproponował, żeby siadł na czwartym miejscu. Nasz przyjaciel oświadczył, że numer czwarty bardzo mu odpowiada, czym prędzej wlazł na dziób i siadł plecami do steru. Po dłuższych perswazjach udało się wreszcie posadzić go, gdzie należy, i reszta załogi ulokowała się w łodzi.

Najbardziej nerwowy chłopiec został sternikiem. Joskins wyłożył mu zasady sterowania, a sam objął funkcję szlakowego, oświadczając reszcie załogi, że sprawa jest prosta: mają tylko robić to samo co on.

Zawołali: „Gotowe!”, chłopak z przystani chwycił bosak i odepchnął ich od brzegu.

Co potem się stało, Jerzy pamięta tylko piąte przez dziesiąte. Jak przez mgłę przypomina sobie, że ledwie ruszyli, numer piąty rąbnął go powyżej krzyża rękojeścią

wiosła, a równocześnie ławeczka, na której siedział, uciekła jak zaczarowana spod niego i klapnął na dno łodzi. W tejże chwili zobaczył ciekawy wypadek: numer drugi leżał na plecach i fikał nogami w powietrzu. Widocznie dostał ataku epilepsji.

Z szybkością ośmiu mil na godzinę ósemka przypłynęła bokiem pod mostem w Kew, przy czym wiosłował jeden tylko Joskins. Jerzy, gdy znów usiadł, starał się mu pomóc, ledwie jednak zanurzył wiosło, zniknęło, ku jego zdumieniu, pod łodzią i o mały włos nie wciągnęło go za sobą.

Sternik wyrzucił obie linki za burtę i zalał się łzami.

Jak się dostali z powrotem, tego Jerzy nie wie. Pamięta tylko, że trwało to czterdzieści minut. Gęsty tłum zebrał się na moście i z wielkim zainteresowaniem śledził pantomimę, jaka rozgrywała się na rzece. Wszyscy krzyczeli, każdy radził co innego. Trzy razy udało im się wrócić pod mostem i po trzykroć woda ich zniosła. Za każdym razem sternik podnosił wzrok i widząc znów most nad sobą płakał rzewnymi łzami.

Jerzy wyznał, iż owego popołudnia nawet do głowy mu nie przyszło, że kiedyś nabierze ochoty do sportu wioślarskiego.

Harris jest bardziej otrzaskany z wiosłowaniem na morzu i twierdzi, że woli to niż sport rzeczny. Mnie morze nie odpowiada. Pamiętam, jak zeszłego lata wynajęliśmy łódeczkę w Eastbourne. Przed laty niemało się nawiosłowałem po morzu, myślałem więc, że i tym razem świetnie dam sobie radę. Okazało się, że wszystko zapomniałem. Gdy jedno wiosło zanurzyłem głęboko, drugie wywijało młyńce w powietrzu. Musiałem stać, gdy chciałem zagarnąć wodę oboma wiosłami na raz. Na bulwarze zebrał się tłum arystokracji — jakże tu defilować przed nimi, wiosłując w sposób tak niepoważny! W pół drogi wylądowałem na plaży i wszedłem w porozumienie ze starym przewoźnikiem, który odstawił mnie do przystani.

Lubię patrzeć na starych wioślarzy, zwłaszcza wynajętych na godziny. Jest w ich zachowaniu tyle nieodpartego spokoju

i pogody ducha. Wolni są od nerwowego pośpiechu i tej gorączki, jakie z każdym dniem stają się coraz większą klęską życia w XIX wieku. Najętemu przewoźnikowi ani w głowie wyprzedzać wszystkie łódki, które płyną przed nim. Jeśli ktoś go prześcignie, bynajmniej się o to nie gniewa. A trzeba powiedzieć, że mijają go po kolei wszystkie łódki zmierzające w tym samym kierunku. Innych by to martwiło i irytowało. Niechże tedy szlachetna obojętność najętego wioślarza, wystawionego na próbę nerwów, będzie nam wzorem skromności i rezygnacji.

Wiosłować tak sobie, wedle zasady: „Byle naprzód”, niewielka to sztuka, ale wielu treningów wymaga takie opanowanie rzemiosła, aby można z całą swobodą przedefilować przed dziewczętami. Najpoważniejszym zmartwieniem nowicjusza jest „tempo”.

— Co u licha! — woła debiutant, gdy po raz dwudziesty w ciągu pięciu minut wyciąga wiosła, które się przypięły do twoich. — Jak wiosłuję sam, trzymam tempo znakomicie!

Bardzo zabawna to rzecz patrzeć, jak dwóch patałachów usiłuje się zgrać. Ten, co siedzi z przodu, twierdzi, że ani rusz nie może trzymać tempa ze szlakowym, bo tamten tak dziwnie jakoś wiosłuje. Szlakowy oburza się na tę insynuację i oświadcza, że od dziesięciu minut nic innego nie robi, tylko stara się dostosować do niewielkich możliwości kolegi. Z kolei tamten się obraża i prosi szlakowego, żeby o niego się niemartwił, tylko poszedł po rozum do głowy i zaczął porządnie wiosłować.

— Albo, wiesz co, ja się przesiądę na twoje miejsce! — dodaje, święcie przekonany, że to wyjaśni sytuację.

Przez następne sto jardów chlapią wiosłami po wodzie z niewielkim skutkiem i dopiero wtedy szlakowego olśniewa myśl, która wyjaśnia im tajemnicę wszystkich dotychczasowych niepowodzeń.

— Słuchaj, ja ci powiem, co jest! Wziąłeś moje wiosła! — woła, odwracając się do kolegi. — Dawaj je tu!

— A wiesz, cały czas zachodzę w głowę, co jest, że nie mogę dojść do ładu z tymi wiosłami — odpowiada tamten i, rozpromieniony, ochoczo wymienia wiosła. Teraz pójdzie jak po maśle.

Ale nie idzie. Zamiana też nie pomogła. Szlakowy wyciąga ręce, aż trzeszczy mu w stawach, bo inaczej nie dałby rady. Wiosła kolegi za każdym zamachem walą go w pierś jak w bęben. Następuje jeszcze jedna wymiana i obaj dochodzą do wniosku, że facet dał im dwie pary jakichś wybierków. Wymyślają więc na niego ile wlezie i to znów ich zbliża do siebie.

Jerzy powiedział, że od dawna pragnie odmiany i marzy o krypie. Pływać na krypie — mówił — nie taka prosta rzecz, jak by się zdawało. Jest wiosłowanie i wiosłowanie. Podobnie ma sięsprawa z krypą. Szybko nauczysz się pływać na niej i obracać bosakiem, ale długiej trzeba praktyki, byś robił to z godnością i nie miał rękawów pełnych wody.

Znałem młodzieńca, któremu przytrafił się bardzo przykry wypadek, gdy po raz pierwszy wybrał się krypą na wodę. Szło mu zrazu gładko. I to go rozzuchwaliło. Łaził po krypie tam i nazad i obracał drągiem z takim niedbałym wdziękiem, że rozkosz brała patrzeć na niego. Maszerował na przód krypy, wbijał bosak w dno i zaraz biegł na drugi koniec całkiem jak stary majtek. Och, wspaniały był to widok.

I długo jeszcze można by nim się napawać, gdyby, na nieszczęście, mój krypiarz nie zapragnął zachwyconym okiem ogarnąć krajobrazu, nie zrobił przy tym o jeden krok za dużo i nie wyszedł poza krypę. Bosak mocno,ugrzązł w mulistym dnie rzeki. Mój przyjaciel został na bosaku, a krypa popłynęła z nurtem. Znalazł się w pozycji zupełnie niepoważnej. Jakiś smarkacz idący brzegiem tak zawołał swego koleżkę, który został w tyle: „Chodźże prędko! Pokażę ci prawdziwą małpę na kiju!”

Nie mogłem przyjść z pomocą przyjacielowi, bo nieszczęście chciało, że nie byliśmy na tyle ostrożni, by

wziąć z sobą drugi bosak. Mogłem tylko siedzieć na krypie i patrzeć na nieszczęśnika. Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy, gdy bosak powoli zanurzał się w wodzie pod jego ciężarem. Był taki zamyślony.

Obserwowałem go, jak łagodnie pogrążał się w wodzie, a potem, jak się z niej wygramolił, mokry i żałosny. Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu, tak pociesznie wyglądał. Chichotałem przez jakiś czas, aż nagle uprzytomniłem sobie, że nie mam wcale powodu do radości. Znalazłem się tutaj, sam na krypie, bez bosaka, beznadziejnie dryfując, unoszony przez nurt — być może prosto na śluzę.

Ogarnęło mnie oburzenie na przyjaciela, który wykroczył poza burtę i zwiał. Mógł przynajmniej zostawić mi bosak.

Dryfowałem jeszcze z ćwierć mili, po czym ujrzałem krypę rybacką zakotwiczoną na środku rzeki. Siedziało na niej dwóch starych rybaków. Zobaczyli, że płynę prosto na nich, i wołali, żebym skręcił.

— Nie mogę! — odkrzyknąłem.

— Ale pan wcale nie próbuje! — zawołali.

Wyjaśniłem im wszystko, gdy się do nich zbliżyłem. Zatrzymali moją krypę i pożyczyli mi bosaka. Pięćdziesiąt jardów niżej była śluza. Miałem szczęście, że mi się nawinęli ci rybacy.

Pierwszy raz wybrałem się na wycieczkę krypą w towarzystwie trzech gości. Chcieli mi pokazać, jak to wygląda. Nie mogliśmy wybrać się razem, zaproponowałem więc, że pójdę pierwszy, wyprowadzę krypę na rzekę i zanim przybędą, trochę się na niej pokręcę dla wprawy.

Po południu przyszedłem na przystań, ale nie mogłem dostać krypy, wszystkie były już wynajęte. Nie pozostało mi nic innego, tylko siąść na brzegu, patrzeć na rzekę i czekać na przyjaciół.

Po chwili zwróciłem uwagę na jakiegoś faceta na krypie. Z ogromnym zdziwieniem spostrzegłem, że gość jest w kurtce i czapce uderzająco podobnych do tych, jakie sam

zwykle nosiłem. Był to niezawodnie nowicjusz — manewrował krypą w sposób nad wyraz ciekawy. Gdy wbijał bosak w dno, nigdy nie było wiadomo, co z tego wyniknie. Na pewno sam też nie wiedział. Raz puszczał się z nurtem, raz rzucał się pod prąd, kiedy indziej krypa nawracała wokół bosaka. Cokolwiek się zdarzyło, facet był jednakowo zdziwiony i zły.

Ludzie na brzegu ogromnie nim się zainteresowali i zaczęli zakładać się o to, co przyniesie następny manewr bosakiem.

Tymczasem na drugim brzegu pojawili się moi przyjaciele. Przystanęli i również przyglądali się temu, co wyprawiał ów krypiarz. Facet był odwrócony do nich plecami. Widzieli tylko kurtkę i czapkę. Niewiele myśląc doszli do wniosku, że to ja, ich kochany kolega, wystawiam się na pośmiewisko. Radość ich nie miała granic. Zaczęli niemiłosiernie się natrząsać z niefortunnego sportsmena.

Zrazu nie pojmowałem, w czym rzecz, i myślałem sobie: Na cóż oni sobie pozwalają, i to jeszcze względem zupełnie obcego człowieka! Nim jednak zdążyłem krzyknąć i zganić postępek kolegów, zrozumiałem, na czym polega ich omyłka. Schowałem się za drzewem.

Mój Boże! Ale się bawili kosztem faceta! Pięć minut stali na brzegu i posyłali mu łobuzerskie słówka, wykpiwali, wyśmiewali go i wyszydzali. Sypały się stare kawały. Wymyślili parę nowych dowcipów i poczęstowali go nimi. Rzucali mu różne śmieszne powiedzonka, których sens znany był tylko naszej paczce — dla niego były zupełnie niezrozumiałe. Wreszcie gość, nie mogąc dłużej znieść tych grubiańskich zaczepek, odwrócił się w ich stronę — zobaczyli jego twarz!

Z przyjemnością zauważyłem, że zostało im jeszcze tyle poczucia przyzwoitości, aby mogli zrobić głupie miny. Tłumaczyli się, że wzięli go za kogo innego. Mają nadzieję — mówili — że nie będzie ich posądzał o to, by mogli tak dotkliwie zelżyć kogoś, kto nie jest ich bliskim przyjacielem.

To, że go wzięli za swego przyjaciela, było oczywiście wystarczającym usprawiedliwieniem. Harris opowiadał mi kiedyś o przygodzie, jaka spotkała go w Boulogne. Pływał sobie niedaleko plaży, gdy nagle ktoś chwyta go za kark i siłą pakuje pod wodę. Harris walczył mężnie, ale napastnik był nie lada siłaczem. Wszelkie próby wyrwania się z jego łap okazały się daremne. Ofiara napaści przestała już kopać i zaczynała myśleć o sprawach ostatecznych, gdy kat wreszcie wypuścił ją z kleszczy.

Harris wstaje i rozgląda się za swym niedoszłym mordercą. Zbrodniarz stoi obok niego i śmieje się na całe gardło. Gdy jednak spojrzał na twarz Harrisa, wynurzającą się z wody, odskoczył w tył i ogromnie się zmieszał.

— Doprawdy, bardzo przepraszam — wybąkał zawstydzony — ale wziąłem pana za jednego z moich przyjaciół.

Całe szczęście — pomyślał Harris — że nie wziął mnie za swego krewniaka, bo jak amen w pacierzu, byłby mnie hultaj utopił.

Sztuka żeglarska jest rzeczą, która wymaga i wiedzy, i wprawy. W młodych latach byłem innego zdania. Reprezentowałem pogląd, że to przychodzi samo z siebie jak gra w chowanego lub klipę. Miałem kolegę, który podzielał moje poglądy, więc pewnego dnia, gdy wiatr dął nielicho, postanowiliśmy spróbować tego sportu. Byliśmy na wakacjach w Yarmouth, wobec czego zdecydowaliśmy się na przejażdżkę po rzece Yare. W przystani koło mostu wynajęliśmy łódź z żaglem.

— Pogoda jest marna — powiedział nam dozorca przystani, gdyśmy odbijali od brzegu — więc jak tylko miniecie zakręt, zrefujcie i idźcie bajdewindem.

Odparliśmy, że zrobi się, i krzyknęliśmy mu wesoło: „Cześć!” Ciekawi byliśmy, jak się chodzi „bajdewindem” i co można „zrefować”.

Wiosłowaliśmy, póki miasto nie zniknęło nam z oczu. Wtedy widząc przed sobą rozległą toń i czując, jak z boku

dmie prawdziwy huragan, uznaliśmy, że pora zacząć żeglarskie manewry.

Hektor — tak mu, zdaje się, było na imię — wiosłował, a ja zacząłem rozwijać żagiel. Zadanie nie było proste, lecz w końcu dopiąłem swego. Wówczas wyłonił się problem: gdzie jest góra, a gdzie dół żagla?

Kierując się instynktem, zadecydowaliśmy ostatecznie, że góra jest dołem, a dół górą, jakże mogło być inaczej, i zaczęliśmy wciągać go do góry nogami. Dużo jednak czasu minęło, zanim nam się udało, wszystko jedno jak, wciągnąć go na maszt. Żaglowi musiało się zdawać, że bawimy się w pogrzeb i że ja jestem trupem, a on całunem.

Gdy się okazało, że nie o to chodzi, dał mi w łeb reją i nie chciał słyszeć o niczym więcej.

— Zmocz ją — powiedział Hektor. — Zanurz w wodzie i zmocz tę szmatę.

Wyjaśnił mi, że marynarze zawsze moczą żagle przed wciągnięciem na maszt. Zrobiłem, jak miradził, ale to jeszcze pogorszyło sytuację. Gdy suchy żagiel trzepie cię po nogach lub owija się dookoła głowy, nie należy to do przyjemności, ale gdy tak się zachowuje płachta ociekająca wodą — cierpisz okrutnie.

Wreszcie wspólnymi siłami whisowaliśmy tę mokrą ścierkę. Umocowaliśmy ją nie wprost do góry nogami, tylko nieco na ukos, przywiązując do masztu cumą, którą ciachnęliśmy w tym celu.

To, że łódź nie wykopyrtnęła się, stwierdzam jako suchy fakt. Czemu tego nie zrobiła — na to nie umiem dać odpowiedzi. Wiele myślałem na ten temat, ale do dziś dnia nie udało mi się znaleźć dostatecznie przekonującego wyjaśnienia tego zjawiska.

Może przyczyny należy szukać w przyrodzonej złośliwości wszelkich rzeczy na tym świecie. Łódź prawdopodobnie, opierając się na powierzchownej obserwacji naszego zachowania, doszła do wniosku, że wypłynęliśmy w celach

samobójczych, i postanowiła sprawić nam zawód. Oto jedyna hipoteza, jaką mogę przedstawić w tej sprawie.

Czepiając się burty jak pijany płotu, zdołaliśmy utrzymać się w łodzi, ale był to nadludzki wysiłek. Hektor powiedział, że piraci i inni ludzie morza w czasie srogich szkwałów zawsze przywiązywali rudel do czegoś tam i najczęściej spuszczali top-kliwer. Jego zdaniem powinniśmy teżzrobić coś w tym guście. Ale ja byłem za tym, żeby łódka sama stawiała czoło atakom wiatru.

Ponieważ niepomiernie łatwiej było wprowadzić w czyn moją radę, Hektor zgodził się w końcu ze mną. Trzymaliśmy więc w objęciach poręcz nadburcia, a łodzi daliśmy wolną rękę.

Zrobiła około mili w górę rzeki z szybkością, jakiej nigdy potem już nie zaznałem i — wyznam szczerze — zaznać nie pragnę. W końcu, na zakręcie, łódź tak się chybnęła, że żagiel do połowy zanurzył się w wodzie. Następnie jakimś cudem wyprostowała się i szurnęła po niskim brzegu, na znacznej przestrzeni pokrytym mułem.

Ów błotnisty brzeg ocalił nam życie. Łódź przepruła kawał drogi i ugrzęzła w samym środku błota. Gdyśmy stwierdzili, że znów możemy poruszać się, jak nam się żywnie podoba, i że nic już nas nie podrzuca i nie trzęsie jak grochem w pęcherzu, podpełznęliśmy do żagla i urżnęliśmy go nożem.

Mieliśmy dość żeglarstwa. Nie chcieliśmy nadużywać tej sztuki i doznać przesytu. Żeglowaliśmy — dobre to było, pełne emocji i bardzo ciekawe — a teraz mieliśmy ochotę trochę powiosłować, po prostu dla odmiany.

Spróbowaliśmy za pomocą wioseł zepchnąć łódź z błotnistego brzegu. W trakcie tych wysiłków złamaliśmy wiosło. Potem byliśmy już bardzo ostrożni, ale nasze wiosła widać nadgniły ze starości, bo z kolei drugie trzasło, i to jeszcze prędzej niż pierwsze. Byliśmy zdani na łaskę losu.

Przed sobą mieliśmy jakieś sto jardów błota, za nami była woda. Nie pozostało nam nic innego, jak siedzieć i czekać, aż ktoś tu się pokaże.

Pogoda bynajmniej nie zachęcała do przejażdżki po rzece. Toteż minęły trzy godziny, nim ujrzeliśmy ludzką istotę. Był nią stary rybak, który, z największym trudem, wybawił nas wreszcie z opresji i — ku naszemu wstydowi — doholował do przystani.

Jego wynagrodzenie i to, co musieliśmy wybulić za złamane wiosła oraz cztery i pół godziny używania łodzi, pochłonęło nasze kieszonkowe za wiele, wiele tygodni. Jak widać, wyprawa pod żaglem słono nas kosztowała. Ale zdobyliśmy doświadczenie, a ludzie mówią, że za doświadczenie nigdy nie można przepłacić.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Reading. Holuje nas statek parowy. Nieznośne zachowanie małych łódek. Jak włażą w drogę statkom. Jerzy i Harris znów wymigują się od roboty. Historia dosyć banalna. Streatley i Goring.

Około jedenastej ujrzeliśmy Reading. Rzeka brudna jest tutaj i posępna. Nikt dłużej się nie zatrzymuje w tych okolicach. Samo miasto jest słynnym, starym grodem. Pamięta ono zamierzchłe czasy króla Ethelreda, kiedy to wojenne okręty Duńczyków zarzuciły kotwice na Kennet i z Reading ruszyły na grabież kraju Wessex. Tu właśnie Ethelred i jego brat, Alfred, pobili Duńczyków. Pierwszy walczył modlitwą, drugi — zbrojną ręką.

W jakiś czas potem Reading uznane zostało za miasto, do którego najwygodniej zwiać, jeśli w Londynie, coś się nie składa. Ilekroć zaraza wybuchała w Westminster, parlament dawał nogę do Reading, a w roku 1625 za parlamentem podążyły sądy — wszystkie procesy toczyły się w tym mieście. I dziś od czasu do czasu przydałaby się w Londynie jakaś nieduża zaraza, bo przynajmniej wtedy prawnicy i parlament nie zawracaliby nam głowy.

W okresie walki o prawa parlamentu hrabia Essex oblegał Reading, a ćwierć wieku później Wilhelm Orański pod tym miastem pobił na głowę wojska króla Jakuba.

Tu został pochowany Henryk I — w opactwie benedyktyńskim, które sam ufundował. W tymże opactwie wielki John of Gaunt wziął ślub z Białą Damą. Ruiny klasztoru zachowały się do dziś.

Przy śluzie w Reading spotkaliśmy stateczek parowy moich przyjaciół, który doholował nas aż pod Streatley. Świetna rzecz — płynąć na holu. Osobiście wolę to niż

wiosłowanie. Droga byłaby jeszcze przyjemniejsza, gdyby nie zgraja małych łódek, które wchodziły w paradę naszemu statkowi. Aby ich nie potopić, musieliśmy raz po raz zwalniać biegu, a nawet przystawać. To ustawiczne włażenie w drogę statkom jest doprawdy niesłychanym utrapieniem. Coś trzeba zrobić, aby raz z tym skończyć.

A jakie aroganckie i bezczelne są te łódki! Możesz sobie gwizdać, ile kocioł wytrzyma, a im się nie śpieszy. Gdyby mi dano wolną rękę, to od czasu do czasu spuściłbym taką łódkę na dno i mieliby nauczkę.

Tuż za Reading Tamiza odzyskuje całą swą urodę. Koło Tilehurst kolej żelazna szpeci krajobraz, ale od Mapledurham do Streatley trasa jest wspaniała. Niedaleko za śluzą w Mapledurham mijamy zamek w Hardwick. Karol I grał tamw kręgle. Okolice Pangbourne wraz z rozkoszną gospodą „Pod Łabędziem” są znane bywalcom wystaw obrazów nie gorzej niż tutejszym mieszkańcom.

Statek moich przyjaciół zostawił nas tuż przed grotą. Harris próbował mi wmówić, że teraz przyszła kolej na mnie i mam wiosłować. Musiałem uznać tę pretensję za wyssaną z palca. Przecież ustaliliśmy rano, że będę wiosłował do chwili, gdy znajdziemy się trzy mile za Reading. Ba! Reading zostało dziesięć mil za nami! Niewątpliwie znów przyszła kolej na nich.

A jednak nie udało mi się ani Jerzego, ani Harrisa nakłonić do bezstronnego spojrzenia na tę sprawę, wobec czego — aby uniknąć kłótni — chwyciłem za wiosła. Nie minęło dziesięć minut, gdy Jerzy zobaczył, że coś czarnego unosi się na rzece. Podpłynęliśmy, Jerzy pochylił się i chciał to złapać. Nagle krzyknął i odskoczył. Twarz mu zbielała.

Był to trup kobiety. Unosił się lekko na fali. Na twarzy topielicy malowały się słodycz i ukojenie. Nie była to twarz piękna. Przedwcześnie postarzała, wymizerowana i zapadnięta, robiła jednak miłe wrażenie, bo mimo piętna troski i biedy tchnęła owym spokojem, jaki się czasem

pojawia na obliczu osoby chorej, kiedy wreszcie przestała cierpieć.

Na szczęście — bo nie mieliśmy najmniejszej ochoty włóczyć się po sądach — ludzie na brzegu zobaczyli topielicę i zajęli się nią, oszczędzając nam kłopotu.

Potem usłyszeliśmy historię tej kobiety. Była to, oczywiście, tragedia banalna i stara jak świat. Kochała i została oszukana, czy też sama zdradziła kochanka. Pewne jest, że zgrzeszyła — każdemu z nas może się to zdarzyć. Wówczas zgorszona rodzina i oburzone przyjaciółki zamknęły jej, rzecz naturalna, drzwi przed nosem.

Musiała nieboga sama walczyć przeciw całemu światu. Z kamieniem młyńskim swej hańby u szyi staczała się coraz niżej i niżej. Przez jakiś czas utrzymywała siebie i dziecko za dwanaście szylingów tygodniowo, które zarabiała tyrając niemiłosiernie przez dwanaście godzin na dobę; z tego sześć szylingów płaciła za dziecko, a reszty używała do związania końca z końcem.

Czy jednak można porządnie związać jeden koniec z drugim za sześć szylingów na tydzień? Supełek jest tak słaby, że oba końce się rozłażą. Przypuszczam więc, iż pewnego dnia cała nędza i ponura monotonia wegetacji stanęły jej przed oczami wyraźniej niż zwykle. Widmo kostusi wyszczerzyło do niej zęby. Strach kobietę obleciał. Po raz ostatni zwróciła się do swych bliskich o ratunek, ale ci cnotliwi ludzie odgrodzili się od niej murem obojętności. Głos upadłej kobiety nie został wysłuchany. Cóż miała począć? Poszła pożegnać się z dzieckiem. Wzięła je w ramionai ucałowała. Była znużona życiem i rozpacz rozdzierała jej serce, ale przed dzieckiem się nie zdradziła. Wetknęła mu w rączynę czekoladkę za pensa i wyszła. Za ostatnie parę szylingów kupiła bilet do Goring.

Najbardziej jej gorzkie wspomnienia wiązały się zapewne z lasami i jasnozielonymi łąkami w tych stronach. Niewiasty jednak mają osobliwą predylekcję do przyciskania noża, który rani im serce. Możemy się przeto domyślić, że ból

nieszczęsnej bohaterki tej historii mieszał się z promiennymi wspomnieniami najsłodszych chwil, spędzonych nad cienistą tonią, tam gdzie wysokie drzewa tak nisko skłaniają swe gałęzie ku wodzie.

Przez cały dzień błądziła po lesie nad brzegiem rzeki, a kiedy nadszedł wieczór i zmierzch zarzucił na wodę swój czarny welon, wyciągnęła ramiona ku niemej Tamizie, która dobrze znała jej troski i radości. I wzięła ją rzeka staruszka w czułe ramiona, i położyła umęczoną głowę na swoim łonie, i ukoiła jej ból.

Wielką była grzesznicą — w grzechu żyła i w grzechu umarłą, przebacz jej, Panie! I odpuść innym, gdyby poszły w jej ślady.

Goring na lewym brzegu, a Streatley na prawym, urocze to miejscowości — warto i w jednej, i drugiej zatrzymać się parę dni. Okolica aż po Pangbourne zachęca, by w słoneczny dzionek wypłynąć pod żaglem lub nocą powiosłować w księżycowym blasku. Piękne to strony! Chcieliśmy tego dnia machnąć się aż do Wallingford, ale skusiło nas słodkie i uśmiechnięte oblicze rzeki. Zatrzymaliśmy się na chwilę koło Goring. Przy moście wyszliśmy z łodzi i udaliśmy się do Streatley, gdzie w gospodzie „Pod Bykiem” zjedliśmy drugie śniadanie, ku wielkiemu zadowoleniu Montmorency'ego.

Mówią, że wzgórza po obu stronach rzeki łączyły się kiedyś w jeden łańcuch i zagradzały jej drogę. Podobno tutaj, pod Goring, Tamiza się kończyła tworząc rozległe jezioro. Nie czuję się na siłach ani obalić, ani poprzeć tych twierdzeń. Tylko powtarzam, co słyszałem.

Streatley, jak większość miast i wsi nad Tamizą, pamięta czasy Brytów i Sasów. Goring nie dorównuje urodzie tej ślicznej mieściny. Kto więc ma do wyboru, niechaj zatrzyma się w Streatley. Nie chcę przez to powiedzieć, że Goring jest brzydkie. Poza tym leży bliżej kolei żelaznej, co ma swoje znaczenie, gdybyście chcieli ulotnić się nie płacąc rachunku za hotel.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Pranie. Ryby i rybacy. O sztuce wędkarskiej. Rzetelny wędkarz. Bajka o rybce.

W Streatley spędziliśmy dwa dni. Oddaliśmy tam ubrania do pralni. Najpierw chcieliśmy sami uprać je w rzece wedle wskazówek Jerzego. Spotkało nas niepowodzenie. A właściwie coś znacznie gorszego, gdyż dopiero po praniu nie śmieliśmy pokazać się ludziom na oczy. Przedtem nasze ubrania były strasznie brudne, to prawda. Ale od biedy można je było nosić. Po operacji... ha, cóż! — rzeka między Reading a Henley przejaśniała, bo cały brud wypiły z niej nasze marynarki i spodnie.

Praczka w Streatley powiedziała nam, że „widzi się zmuszoną” policzyć potrójną taryfę, ponieważ niewiele miało to wspólnego z praniem, a polegało raczej na odkopywaniu ubrań spod potężnej warstwy mułu.

Nie pisnęliśmy ani słowa i uregulowaliśmy rachunek.

Okolice Streatley i Goring są wielkim ośrodkiem rybackim. Doskonale się tutaj łowi ryby. Rzeka obfituje w szczupaki, płocie, klenie, kiełbie, a nawet węgorze. Możesz siedzieć przez cały dzień z wędką w ręku.

Niektórzy tak robią. Rzecz jasna, nigdy nic nie złapali. Nie słyszałem, żeby ktoś złowił coś w Tamizie, wyjąwszy piskorze i zdechłe koty, które przecież nie mają nic wspólnego z rybami. Miejscowy przewodnik rybacki ani słówkiem nie wspomina o złapaniu czegokolwiek. Ogranicza się tylko do stwierdzenia, że są to „wymarzone okolice dla wędkarzy”. Chętnie to poświadczę na podstawie tego, co widziałem na własne oczy.

Na całym świecie nie ma takiego drugiego miejsca, gdzie tyle byłoby rybaków lub gdzie by można tak długo łowić

ryby. Jedni przyjeżdżają na dzień, inni zostają cały miesiąc. Kto chce, może i rok posiedzieć tu z wędką — wynik jest zawsze taki sam.

„Przewodnik dla wędkarzy znad Tamizy” zapewnia, że „można tam złowić również szczupaka i okunia”. To jednak nie odpowiada prawdzie. Można tam spotkać szczupaka i okunia. Wiem coś o tym. Zobaczysz całe ich ławice, gdy wybierzesz się na spacer po brzegu. Podpływają, do połowy wynurzają się z wody i otwierają pyszczki, czekając na biskwity. Kiedy się kąpiesz, otacza cię cała ich zgraja, plączą ci się pod nogami i grają na nerwach. Ale nie dadzą się wziąć na robaka i haczyk ani żadne inne rzeczy — nie ma głupich!

Sam nie jestem dobrym wędkarzem. Swego czasu wiele uwagi poświęcałem tym sprawom i zdawało mi się, że coraz lepiej sobie poczynam.

Ale starzy specjaliści oświadczyli mi, że wielkiej kariery na tym polu nie zrobię, i radzili, bym dał sobie spokój. Świetnie — mówili — zarzucam wędkę, mam niemałe zadęcie do wędkarstwa, wrodzonego lenistwa też by mi wystarczyło. A jednak mowy nie ma, żebym się czegoś dochrapał w sporcie wędkarskim. Nie dostaje mi wyobraźni.

Mówili ci znawcy, że jako poeta, autor brukowych powieści, reporter i tak dalej mogę sobie radzić wcale dobrze, kto jednak chciałby zdobyć pozycję w świecie wędkarskim nad Tamizą, musi mieć znacznie bujniejszą fantazję i bez porównania lepsze pomysły niż to wszystko, na co mnie stać.

Niektórym zdaje się, że aby zostać dobrym rybakiem, wystarczy umieć łgać jak z nut i nawet się nie zarumienić. To błąd. Czysta blaga nie liczy się wcale. Bujać gości potrafi najostatniejszy z kibiców. Dopiero po detalach opisu, barwach przydających prawdopodobieństwa opowiadaniu, po atmosferze ścisłej, niemal pedantycznej prawdomówności, jaka otacza całą historię — poznaje się wytrawnego wędkarza.

Kto bądź może przyjść i powiedzieć:

— Och, wczoraj wieczór złowiłem piętnaście tuzinów okuni.

Albo:

— W zeszły poniedziałek wyciągnąłem kiełbia, który ważył osiemnaście funtów i miał trzy stopy, licząc od pyska do ogona.

Takie zalewanie kolejki nie wymaga ani kunsztu, ani dowcipu. Jest świadectwem tupetu, niczego więcej.

O nie! Wytrawny wędkarz wstydziłby się łgać w taki sposób. Jego metoda warta jest odrębnego studium.

Wchodzi bez słowa, w kapeluszu na głowie. Zagarnia najwygodniejsze krzesło. Zapala fajkę i pyka w milczeniu. Przez jakiś czas pozwala młodzieży chełpić się i zadzierać nosa.

Potem, korzystając z chwilowej przerwy w rozmowie, wyjmuje fajkę z ust, stuka nią o ruszt kominka, wysypuje popiół i rzuca uwagę:

— Hm, we wtorek wieczór przytrafiło mi się coś, o czym nikomu słowa nie powiem. Nie warto.

— O! Czemuż to? — pytają.

— Bo mowy nie ma, żeby mi ktoś uwierzył, gdybym opowiedział, jak to było — odpowiada stary wyga z niewzruszonym spokojem i bez cienia goryczy. Nabija fajkę i prosi oberżystę o szkocką whisky za trzy szylingi, zimną.

Następuje chwila ciszy. Nikt nie śmie zaprzeczyć słowom nestora. Szczwany lis musi więc prowadzić rzecz dalej bez słowa zachęty.

— Nie — mówi marszcząc brwi. — Sam bym nie dał wiary, gdyby mi ktoś to opowiedział. A jednak fakt pozostanie faktem. Siedziałem tam całe popołudnie i dosłownie nic nie złapałem — nie liczę paru tuzinów klenia i tych dwudziestu młodych szczupaków. Właśnie miałem dać za wygraną, bo jakoś nic mi nie szło, gdy nagle czuję, że linka zdrowo szarpnęła. Myślę sobie — pewnie znów jakiś drobiazg. I już go chciałem odrzucić, aż tu... niech mnie

piorun spali... nie mogę utrzymać wędziska! Pół godziny trwało — tak, panie, pół godziny! — nim wyciągnąłem tę rybę. I przez cały czas niewiele brakowało, a wędzisko by trzasło. Dostałem ją nareszcie i jak myślicie — co to było? Jesiotr! Czterdzieści funtów żywej wagi! Wzięty na wędkę, panie drogi! Nie dziwię się, że panu szanownemu oko zbielało. Szefie, to samo, jeśli łaska.

Po czym zaczyna opowiadać, jak ludzie nie mogli nadziwić się jego rybie, co na przykład powiedziała żona, gdy przyszedł do domu, i jak się na ten temat wypowiedział Joe Buggles.

Zapytałem kiedyś właściciela gospody nad rzeką, czy czasem nie daje mu się we znaki słuchanie tego, co w kółko opowiadają rybacy.

— Nie. Tera już nie, panie drogi. Na początku doskwierało mi to mało wiele. Ale, mój Boże, tera mogę z moją starą słuchać tego od rana do nocy. Do wszystkiego się człowiek przyzwyczai. Do wszystkiego przywyknie, mój złoty.

Znałem pewnego młodzieńca, niezwykle rzetelnego człowieka. Gdy się wziął do wędkarstwa, postanowił, że nigdy nie wyolbrzymi swego połowu więcej niż o dwadzieścia pięć procent.

— Jeśli złowię, dajmy na to, czterdzieści ryb — mówił — będę opowiadał, że było ich pięćdziesiąt. Ale nie posunę się dalej, kłamstwo to grzech.

Jednakże system dwudziestopięcioprocentowy funkcjonował tak źle, jakby go w ogóle nie było. Mój znajomy zupełnie się zgubił. Największa liczba ryb, jaką w ogóle złapał w ciągu jednego dnia, wynosiła trzy sztuki, a przecież nie można dodać dwudziestu pięciu procent do trzech — przynajmniej do trzech rybek.

Podwyższył więc stopę procentową do trzydziestu trzech i jednej trzeciej. Ale i to okazało się do niczego, kiedy złapał jedną rybę lub dwie. Aby uprościć rachunki, nasz rybak postanowił mnożyć wszystko przez dwa.

Przez parę miesięcy trzymał się tego systemu, ale potem znów się do niego rozczarował. Nikt mu nie wierzył, gdy zapewniał, że tylko podwaja, a sławy i tak nie zdobył, gdyż skromna kalkulacja nie pozwalała rnu zmierzyć się z żadnym wędkarzem. Złowił na przykład trzy rybki, a powiedział, że sześć. I zazdrość go pożerała, gdy słyszał, jak facet, który na jego oczach złapał tylko jedną, rozgłaszał, że zagarnął dwa tuziny.

W końcu wróg kłamstwa ułożył się z samym sobą (i odtąd trzymał się tego z żelazną konsekwencją), że każdą złowioną rybę będzie liczył za dziesięć i poniżej dziesiątki nigdy nie zejdzie. Wyjaśnijmy to na przykładzie:

Gdy nic nie złapał, mówił, że dziesięć. System gwarantował więc co najmniej dziesięć rybek. To była jego podstawowa zasada. Jeśli natomiast wynalazca systemu jakimś cudem złowił jedną rybkę, mówił o dwudziestu, dwie liczyło się za trzydzieści, trzy za czterdzieści, itd., itd.

Jest to sposób prosty i łatwy w użyciu. Ostatnio mówiło się nawet o rozciągnięciu systemu dziesiętnego na całe wędkarskie bractwo. Istotnie, Zarząd Główny Stowarzyszenia Wędkarzy znad Tamizy już dwa lata temu zalecił stosowanie metody mego przyjaciela, ale uchwała Zarządu napotkała pewne opory ze strony starych członków organizacji. Seniorzy oświadczyli mianowicie, że gotowi są rozważyć to zalecenie, gdy liczba zostanie podwojona i każdą rybkę będzie się uważało za dwadzieścia.

Jeżeli, będąc nad górną Tamizą, znajdziecie kiedyś wolny wieczór, radzę wstąpić do jednej z owych małych wiejskich oberż i usiąść w barze. Z pewnością spotkacie tam paru starych wędkarzy sączących grog, którzy w ciągu pół godziny opowiedzą wam tyle bajek o rybce, że przez miesiąc na widok ryby czkawka was będzie dusiła.

Drugiego dnia naszego pobytu w Streatley Jerzy i ja... nie wiem, co się stało z Harrisem, zaraz po południu wyszedł ogolić się, potem wrócił i spędził równe czterdzieści minut na pucowaniu obuwia — od tego czasu nie widzieliśmy go

do tej chwili... otóż, kiedy zostaliśmy sami, Jerzy, ja i pies wybraliśmy się wieczorem na wycieczkę do Wallingford. W drodze powrotnej wdepnęliśmy do małej gospody nad Tamizą, żeby nieco odsapnąć i — wszyscy wiedzą, po co jeszcze wstępuje się do gospody.

Weszliśmy do pokoju gościnnego i usiedliśmy. Zastaliśmy tam starszego jegomościa, który palił długą glinianą Fajkę. Od słowa do słowa, zaczęliśmy z nim gawędzić.

Powiedział nam, że piękną dziś mieliśmy pogodę, a my, że wczoraj też było cudownie, po czym zapewniliśmy się wzajemnie, że i jutro dzień będzie jak złoto. Jerzy dorzucił, że żniwa zapowiadają się bardzo pomyślnie.

Następnie jakoś się zgadało, że jesteśmy nietutejsi i że jutro rano wyjeżdżamy.

Na tym rozmowa na razie się urwała. W milczeniu wodziliśmy oczami po izbie. Wzrok nasz zatrzymał się na okrytej kurzem szklanej gablotce, wiszącej wysoko nad kominkiem. Znajdował się w niej pstrąg. Podziw mnie ogarnął. Była to ryba wprost potwornych rozmiarów. Na pierwszy rzut oka wydało mi się nawet, że to sztokfisz.

— Aha! — powiedział stary widząc, że patrzę na pstrąga. — Piękny okaz, co?

— Nadzwyczajny — szepnąłem.

Jerzy zapytał jegomościa, ile może, jego zdaniem, ważyć ten pstrąg.

— Osiemnaście funtów, sześć uncji — odparł nasz nowy przyjaciel wstając i zdejmując marynarkę z kołka. — Tak — dodał. — Trzeciego lipca będzie szesnaście lat, jak go złowiłem. Wziąłem go tuż za mostem, na piskorza. Słysząc, że się pokazał na rzece, powiedziałem: już ja go dostanę, i tak się stało. Wiele takich okazów panowie dziś tutaj nie zobaczą, jak myślę. Dobranoc, panowie, dobrej nocy życzę.

I wyszedł. Zostaliśmy sami.

Po tym, cośmy usłyszeli, nie mogliśmy oderwać oczu od pstrąga. Była to, doprawdy, wspaniała ryba. Jeszcześmy się na nią patrzyli, gdy miejscowy woźnica, który właśnie

zajechał do gospody, stanął w drzwiach izby z kuflem piwa w ręku. Spojrzał na pstrąga.

— Nielicha rybka, co? — powiedział Jerzy zwracając się do przybysza.

— Ano, nielicha, można powiedzieć, panie szanowny — odparł tamten. Pociągnął piwa i dodał: — Pana pewnie tutaj nie było, jak ta ryba została złowiona?

— Nie było nas — zapewniliśmy go. — Jesteśmy nietutejsi.

— Ano właśnie. Jak nietutejsi, to wtedy nie mogli tu być. Będzie niedługo pięć lat, jak złapałem tego pstrąga.

— Ach! To pan go złowił? — zapytałem.

— Tak, proszę pana — odparł poczciwiec. —

Złapałem go kawałek poniżej śluzy, znaczy się, poniżej tej śluzy, co jest dzisiaj, bo wtedy nie było. Stało się to w piątek po południu. A najciekawsze to, żem złowił go na muchę. Mój Boże! Przyszedłem na szczupaki i ani mi się śniło o pstrągu. Gdym ujrzał tego konia na haczyku, zbaraniałem, jak pragnę zbawienia. Ważył, widzisz pan, dwadzieścia sześć funtów. Dobranoc panom, dobranoc.

W pięć minut potem wszedł trzeci gość i opowiedział nam, jak złapał tego pstrąga wczesnym rankiem na klenia. Gdy wyszedł, zjawił się zażywny i bardzo godny jegomość w kwiecie wieku. Usiadł przy oknie.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Wreszcie Jerzy zwrócił się do nieznajomego.

— Bardzo pana przepraszam. Mam nadzieję, że wybaczy nam pan tę śmiałość. Jesteśmy tutaj na zupełnie obcym gruncie. Mój przyjaciel i ja bylibyśmy niezmiernie zobowiązani, gdyby zechciał pan opowiedzieć nam, w jaki sposób złowił pan tego oto pstrąga.

— Co? Kto panom powiedział, że to ja go złowiłem? — ze zdziwieniem zapytał nieznajomy.

Odparliśmy, że nikt nam nie mówił, ale odczuliśmy to instynktownie.

— Hm, to ciekawe, to bardzo ciekawe — odparł, śmiejąc się, zażywny pan — bo w rzeczy samej nie omyliliście się, panowie. Tak, tak, ja go złapałem. Ale jak panowie na to wpadli? A to się panom udało! Ciekawe, ciekawe!

I opowiedział nam, jak pół godziny się mordował, zanim wyciągnął pstrąga na brzeg, i jak złamał przy tym wędzisko. Wróciwszy do domu dokładnie zważył rybę — miała trzydzieści cztery funty z okładem!

Po jego wyjściu przyszedł do nas właściciel gospody. Opowiedzieliśmy mu wszystkie historyjki, jakie słyszeliśmy o jego pstrągu. Ogromnie go to ubawiło. Śmialiśmy się wszyscy serdecznie.

— Popatrz, popatrz! Jim Bates, Joe Muggles, pan Jones i ten stary Bill Maunders wmawiali panom po kolei, że to do nich uśmiechnęło się szczęście. Cha! cha! cha! A to dobre! — wołał zacny oberżysta, trzymając się pod boki. — Już ja ich znam! Widziałbym pstrąga! Daliby mi wystawić tutaj na pokaz, gdyby sami go złowili! Dużo bym z niego widział! Cha! cha! cha!

Potem opowiedział nam, jak to było naprawdę. Złowił pstrąga przed wielu laty, gdy był małym chłopcem. Zawdzięczał to nie żadnym tam sztuczkom i podstępom, tylko po prostu owemu niewytłumaczonemu szczęściu, jakie zawsze czeka na chłopaka, który idzie na wagary i w słoneczne popołudnie łowi ryby, używając do tego sznurka przywiązanego do zwyczajnej witki.

Pstrąg, którego przyniósł do domu, wybawił go od lania, jakie byłby oberwał za to, że nie poszedłdo szkoły. A nawet pan nauczyciel powiedział, iż ryba warta jest dyktanda i reguły trzech razem wziętych.

W tym momencie ktoś wywołał gospodarza. Znów spojrzeliśmy na pstrąga.

Była to doprawdy niezwykła sztuka. Im dłużej patrzyliśmy, tym większy podziw nas ogarniał.

Jerzy tak się rozpalił, że wlazł na poręcz krzesła, aby lepiej się przyjrzeć pstrągowi.

Krzesło zachwiało się, Jerzy stracił głowę i chciał przytrzymać się gablotki. Z wielkim brzękiem rymnęła o podłogę. Na tym, co z niej zostało, leżał Jerzy i krzesło.

— Czy rybie nic się nie stało? — zawołałem strasznym głosem, zrywając się z miejsca.

— Chyba nie — odparł Jerzy. Wstawał ostrożnie i rozglądał się wokół siebie.

Niestety! Pstrąg rozleciał się na tysiąc kawałków. Mówię: tysiąc, ale może było ich dziewięćset. Nie liczyłem.

Dziwne i zagadkowe wydało nam się, że wypchana ryba rozleciała się na drobne kawałki.

Zjawisko istotnie byłoby całkiem niezwykłe, gdybyśmy mieli do czynienia z prawdziwą wypchaną rybą. Ale nie mieliśmy.

Pstrąg był z gipsu.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Śluzy. Jerzy i ja fotografujemy się. Wallingford. Dorchester. Abingdon. Ojciec dzieciom. Gdzie najlepiej się utopić? Trudny odcinek. Demoralizująca atmosfera Tamizy.

Wczesnym rankiem następnego dnia opuściliśmy Streatley. Dowiosłowaliśmy do Culham i tam, w odnodze Tamizy, spędziliśmy noc pod namiotem.

Między Streatley a Wallingford rzeka jest niezbyt interesująca. Poczynając od Cleve, na przestrzeni sześciu i pół mili nie ma ani jednej śluzy. Jest to powyżej Teddington najdłuższa trasa bez przeszkód. Klub oksfordzki tutaj odbywa eliminacje ósemek.

Brak śluz dogadza wprawdzie sportsmenom, ale ci, którzy szukają na rzece innego rodzaju przyjemności, wcale nie są zadowoleni.

Sam jestem gorącym zwolennikiem śluz na Tamizie. Miło urozmaicają one monotonię wioślarskiej drogi. Lubię, siedząc w łódce, powoli wynurzać się z chłodnej głębi komory ku nowej przestrzeni wodnej i świeżym widokom. Albo opuścić się w dół, zniknąć, że tak powiem, z powierzchni ziemi, a potem czekać, aż zazgrzytają posępne wrota śluzy i wąskie pasemko światła dziennego w ich środku zacznie się rozszerzać — i znów ściele się przed tobą piękna, roześmiana w słońcu rzeka w całej swej krasie. Wypływasz łódeczką z więzienia, w którym niedługo pobyłeś, wypływasz i rzeka bierze cię w swoje objęcia.

Jakże malownicze są te zakątki, jakie piękne te śluzy! Gruby stary dozorca, jego uśmiechnięta żona, jasnooka córeczka są* zawsze miłymi partnerami krótkiej, przelotnej rozmówki. Spotykasz tam inne łodzie. Dzielicie się rzecznymi

plotkami... O, tak. Bez śluz okrytych kwieciem Tamiza by przestała być krainą z bajki.

Gdy mowa o śluzach, przypomina mi się nieszczęśliwy wypadek, którego ofiarą omal nie padłem wraz z Jerzym pewnego letniego poranka w Hampton Court.

Pogoda była cudowna. Śluza roiła się od łódek. Jak to się często zdarza na rzece, przedsiębiorczy fotograf wycelował aparat w liczną grupę wioślarzy, których wody śluzy unosiły w górę.

Nie od razu zorientowałem się, że będzie wspólna fotografia. Dlatego ogromnie zdziwiło mnie,gdym ujrzał, że Jerzy pośpiesznie wygładza spodnie, wichrzy sobie czuprynę, czapkę wbija na czubek głowy a la korsarz, robi minę na poły uprzejmą, na poły smętną, siada w pozie pełnej wdzięku i stara się ukryć nogi.

Pierwszą moją myślą było, że Jurek ujrzał niespodzianie znajomą pannę, i rozglądałem się chcąc zobaczyć, kto to jest. Całe towarzystwo w komorze śluzy wyglądało, jakby ludzie nagle zamienili się w kamienie. Wszyscy stali lub siedzieli w pozycjach tak dziwnych i wymyślnych, jakie widziałem przedtem raz tylko — na japońskim wachlarzu. Dziewczęta uśmiechały się społem. Podobne były do aniołków. A faceci, jak jeden mąż, marszczyli brwi i robili groźne i wzniosłe miny.

Wreszcie olśniła mnie prawda. Bałem się teraz, że nie zdążę. Nasza łódź wysunęła się na czoło, byłoby więc bardzo niełądnie z mej strony, gdybym zepsuł facetowi kliszę. Tak sobie pomyślałem.

Szybko zmieniłem więc front i zająłem pozycję na dziobie, opierając się z niedbałym wdziękiem o bosak, w postawie, która wyrażała zręczności siłę. Poprawiłem włosy, zrobiłem sobie loczek na czole, przybrałem wyraz tęsknej zadumy z lekką domieszką zjadliwej ironii, z którą, jak mówią, bardzo mi do twarzy.

Zamarliśmy w oczekiwaniu decydującego momentu, gdy nagle ktoś z tyłu zawołał:

— Ej! Patrz na swój dziób!

Nie mogłem się odwrócić i zobaczyć, co się tam stało i kto miał się przyjrzeć swej twarzy. Spojrzałem ukradkiem na fizjonomię Jerzego. Nic jej nie można było zarzucić — w każdym razie nie dostrzegłem defektów, które by dały się usunąć. Zerknąłem zezem na własny nos. To, co zobaczyłem, czyniło zadość najbardziej wybrednym gustom.

— Spójrz na swój dziób, kapuściana głowo! — głos był ten sam, tylko donośniejszy.

Ktoś inny krzyknął:

— Wyjmiesz ten dziób, czy nie? Ej, wy tam! Ci dwaj z psem!

Żaden z nas nie śmiał się odwrócić. Przyczajony fotograf trzymał rękę na aparacie i w każdej chwili mógł pstryknąć. Czy oni na nas wołali? Co znaczą te żarty?

W tej chwili wrzeszczeli już wszyscy. Tuż za nami huknął tubalny bas:

— Wasza, wasza łódka! Wy dwaj! W czerwonej i czarnej czapce! Na zdjęciu będą wasze trupy, jeśli się zaraz nie ruszycie.

Popatrzyliśmy na naszą łódkę i zobaczyliśmy, że zawadziła dziobem o luźną belkę w ścianie komory. Poziom wody szybko się podnosił i łódka coraz bardziej zadzierała rufę do góry. Jeszcze chwila i pójdziemy na dno. Obaj błyskawicznie chwyciliśmy wiosła. Dwoma potężnymi uderzeniami w ścianę rękojeścią wiosła uwolniliśmy łódź z potrzasku. Odrzuciło nas w tył. Rymnęliśmy na dno łódki.

Nie wyszliśmy dobrze na tym zdjęciu. Jak można się było spodziewać, nasze pieskie szczęście chciało, że fotograf puścił w ruch swą piekielną maszynę akurat wtedy, gdyśmy obaj leżeli na plecach robiąc dzikie miny, które wyrażały dwa pytania: „Gdzie jestem?” i „Co tu się dzieje?” Była to chwila, gdy nasze nogi wyprawiały dzikie harce w powietrzu.

Dwie pary obcasów grały niewątpliwie główną rolę na tym zdjęciu. Rzeczywiście, poza nimi niewiele było widać. Zajęły cały pierwszy plan. Za nimi można było dostrzec

drobne fragmenty innych łódek i strzępy krajobrazu. Wszystko jednak i wszyscy, którzy pozowali wraz z nami do wspólnego zdjęcia, wyszli tak niepozornie, blado i mizernie w porównaniu z naszymi piętami, że ludziska aż się rumienili ze wstydu i nie chcieli podpisywać zamówień na fotografie.

Właściciel statku parowego zamówił sześć odbitek, ale gdy zobaczył negatyw, odwołał zamówienie. Oświadczył, że zapłaci, jeśli ktoś pokaże mu na zdjęciu jego statek. Nikt nie mógł spełnić tego warunku. Statek bowiem schował się za prawą piętą Jerzego.

W ogóle powstało mnóstwo nieprzyjemności. Fotograf uważał, że my dwaj powinniśmy wziąć po tuzinie odbitek, skoro zajęliśmy dziewięć dziesiątych miejsca na fotografii. Spotkał się z odmową. Wyjaśniliśmy, że wolno mu było sfotografować nas od stóp do głów, ale bardziej by nam dogadzało, gdyby to nie było do góry nogami.

Wallingford leży sześć mil powyżej Streatley. Jest to bardzo starożytne miasto, któremu historia Anglii ma wiele do zawdzięczenia. Wallingford był prymitywną osadą złożoną z lepianek, w czasach gdy gnieździli się tutaj Brytowie. Potem przepędziły ich stąd rzymskie legiony i na miejscu wałów z wypalonej gliny wzniosły potężne fortyfikacje, których śladów Czas dotąd nie zdołał zatrzeć, albowiem starożytni murarze dobrze znali swoje rzemiosło!

Czas więc zatrzymał się przed rzymskimi wałami, ale samych Rzymian starł szybko na proch. Na tym samym miejscu walczyli z kolei okrutni Sasi i Duńczycy, chłopy jak dęby. Potem przyszli tu Normanowie.

Było to miasto otoczone wałami i ufortyfikowane aż do wojny domowej, kiedy wiele ucierpiało w czasie ciężkiego oblężenia przez Fairfaxa. Gdy wreszcie po długiej obronie miasto padło, wały zrównano z ziemią.

Między Wallingford a Dorchester pojawiają się wzgórza. Krajobraz staje się bogatszy i bardziej malowniczy. Dorchester leży w odległości pół mili od rzeki. Kto ma niewielką łódkę, może się tam dostać wodą. Najlepiej jednak

wysiąść przy śluzie w Day i odbyć spacer na przełaj. Dorchester jest rozkosznym starym miasteczkiem, pogrążonym w głuchej i sennej ciszy.

Podobnie jak Wallingford, Dorchester był grodem jeszcze w zamierzchłych czasach Brytów. Nazywał się wówczas Caer Doren, „miasto nad wodą”. Później Rzymianie zbudowali tu obóz warowny. Do dziś zachowały się niskie wały, którymi otoczyli swą siedzibę. W czasach saskich Dorchester był stolicą Wessex. Istotnie, starożytne to miasto niegdyś wielkie było i potężne. Dziś siedzi sędziwy gród z dala od rozgwaru świata, kiwa głową i drzemie.

Piękny krajobraz roztacza się na brzegu koło Clifton Hampden, prześlicznej wioski, która wśród ciszy i kwiatów zachowała się z dawnych dobrych czasów. Jeżeli chcesz przenocować w Clifton, najmądrzej zrobisz, gdy zatrzymasz Się pod „Stertą Jęczmienia”. Jest to, moim zdaniem, najciekawsza i najbardziej staroświecka gospoda nad górną Tamizą. Stoi nieco na uboczu, z mostu na prawo. Niskie szczyty, słomiana strzecha i okna z maleńkimi szybkami sprawiają, że gospoda wygląda jak ilustracja do historycznej powieści. Wnętrze jest jeszcze bardziej niegdysiejsze.

W takiej gospodzie nie bardzo mogłaby się zatrzymać bohaterka współczesnej powieści. Jest to zawsze kobieta „szalenie wysoka” i bez przerwy czytamy o niej, że „wstała i wyprostowała się dumnie”. Pod „Stertą Jęczmienia” raz po raz stukałaby głową o powałę, gdyby się zachowała jak w powieści.

Również pijakom nie mógłbym polecić tej gospody. Za dużo tu niespodzianek w postaci schodków w korytarzach, ni stąd, ni zowąd prowadzących to na dół do jednego pokoju, to w górę — do drugiego. Zadaniem ponad siły dla pijanego byłoby wejść tutaj na górę do sypialni, a nawet gdyby się wdrapał, nie znalazłby swego łóżka.

Nazajutrz zerwaliśmy się bardzo wcześnie, bo chcieliśmy po południu być w Oksfordzie. Zdumiewająca to rzecz, że tak wcześnie można wstać, gdy się noc spędza na świeżym

powietrzu. Opatulony pledem leżysz na deskach łódki, walizę masz za poduszkę i wcale nie marzysz o tym, żeby , jeszcze pięć minut”, jak to jest w twoim zwyczaju, kiedy wylegujesz się w puchach. Zjedliśmy prędko śniadanie i już o pół do dziewiątej minęliśmy śluzę w Clifton.

Od Clifton do Culham brzegi Tamizy są płaskie, jednostajne i nieciekawe. Gdy jednak przeprawisz się przez śluzę w Culham — najzimniejszą i najgłębszą ze wszystkich — krajobraz się poprawia.

W Abingdon rzeka płynie ulicami miasta. Abingdon jest typową mieściną prowincjonalną —

cichą, niezmiernie przyzwoitą, czystą i rozpaczliwie nudną. Miasteczko szczyci się swą starożytnością, wątpić jednak należy, czy wytrzymałoby porównanie z Wallingford lub Dorchester. Kiedyś było tu słynne opactwo. W obrębie resztek poświęconych murów warzy się dzisiaj jasne piwo.

W abingdońskim kościele Świętego Mikołaja można zobaczyć statuę Johna Blackwalla i jego żony, Jane. Oboje żyli szczęśliwie w małżeńskim stadle, i zmarli jednego dnia, 21 sierpnia 1625. W kościele Świętej Heleny upamiętniony został fakt, że zmarły w roku 1637 W. Lee „wydał ze swych lędźwi dwieście bez trzech”. Napis ten właściwie odcyfrowany oznacza, że pan W. Lee dochrapał się stu dziewięćdziesięciu siedmiu potomków. Był on pięć razy burmistrzem Abingdon, a jako rodzic wywarł dobroczynny wpływ na przyrost mieszkańców miasta. Wątpię, by znalazł wielu naśladowców w naszym przeludnionym XIX wieku.

Droga z Abingdon do Nuneham Courtenay jest urocza. Warto zwiedzić park w Nuneham. Można to zrobić we wtorek lub czwartek. W zamku znajdziecie piękny zbiór obrazów i innych osobliwości.

Nigdzie tak dobrze nie można się utopić, jak w basenie koło stacji wodnej w Sandford. Prąd głębinowy jest tutaj niezwykle silny i jeśli się naniego napatoczysz, sprawa załatwiona. Obelisk oznacza miejsce, w którym dwie osoby utonęły podczas kąpieli. Schodków pod tym pomnikiem

używają jako skoczni młodzieńcy, którzy chcą sprawdzić, czy to miejsce rzeczywiście jest niebezpieczne.

Śluza i młyn w Iffley, na milę przed Oksfordem, są tematem często powracającym u mistrzów pędzla rozmiłowanych w Tamizie. Jednakże model sprawia zawód tym, którzy widzieli jego malarskie ujęcie. Zauważyłem, że mało rzeczy na tym świecie dorównuje swojemu obrazowi w sztuce.

Śluzę w Iffley minęliśmy o pół do pierwszej, po czym zrobiliśmy na łodzi porządek, przygotowaliśmy się do lądowania i przyłożyliśmy się do wioseł, by machnąć ostatnią milę naszej drogi.

Szlak między Iffley a Oksfordem jest najtrudniejszym odcinkiem Tamizy. Trzeba by się urodzić na tym odcinku, żeby się na nim wyznać. Byłem tu kopę razy, ale dotąd go nie rozgryzłem. Kto potrafi przepłynąć prosto, bez żadnych zakrętów, z Oksfordu do Iffley, bez trudu poradzi sobie mieszkając pod jednym dachem z żoną, teściową, swą najstarszą siostrą i gosposią, która już służyła u jego rodziców, gdy on, dziś głowa domu, był jeszcze w powijakach.

Najpierw tedy prąd znosi cię na prawy brzeg, potem na lewy. Następnie rzuca na środek, okręca trzy razy i niesie znów w górę rzeki. Zawsze kończy się to próbą rozbicia łódki o uniwersytecką barkę.

W tym stanie rzeczy wchodziliśmy w drogę wielu łódkom, a i one nie były nam dłużne. Posypało się, rzecz jasna, mnóstwo brzydkich wyrazów.

Nie wiem, skąd się to bierze, ale na rzece każdy jest podminowany. Byle głupstwo, na które machnąłbyś ręką na suchej ziemi, doprowadza cię do szału, jeśli zdarzy się na wodzie. Gdy Harris lub Jerzy wygłupią się na lądzie, zbywam ich wybryk pobłażliwym uśmiechem. Ale gdy zaczną robić głupstwa na rzece, od razu mieszam ich z błotem. Kiedy jakaś łódka wlezie mi w drogę, mam ochotę złapać wiosło i rozpłatać łby całemu towarzystwu!

Ludzie łagodni jak baranki w łodzi stają się gwałtowni i łakną krwi. Kiedyś wybrałem się na spacer żaglówką z pewną młodą damą. Była to osoba niezmiernie potulna i delikatna. Ale na rzece! Uszy więdły, gdy się jej słuchało.

— Szlag by go trafił! — wołała, kiedy jakiś niefortunny wioślarz wszedł jej w paradę. — Gdzie on ma oczy?

Albo:

— Diabli nadali tę starą szmatę! — krzyczała, kiedy żagiel nie chciał się rozpiąć jak należy. Chwytała go w ręce i brutalnie nim szarpała.

A przecież, jak mówiłem, na lądzie była osobą gołębiego serca i bardzo miłą dziewczyną.

Atmosfera rzeki wywiera zdecydowanie ujemny wpływ na charakter człowieka. Oto — moim zdaniem — przyczyna, dla której nawet flisacy są czasem niegrzeczni między sobą i używają takich słów, że na pewno potem, gdy już ochłoną, sami nad tym ubolewają.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Oksford. Jak Montmorency wyobraża sobie niebo. Wynajęta łódka, jej uroki i zalety. „Chluba Tamizy”. Zmiana pogody. Rozmaite aspekty rzeki. Wieczór wcale nie wesoły. Marzenia o rzeczach nieosiągalnych. Miła pogawędka. Jerzy gra na banjo. Żałobna melodia. Jeszcze jeden słotny dzień. Ucieczka. Kolacyjka i toast.

W Oksfordzie spędziliśmy dwa bardzo przyjemne dni. Strasznie tam dużo psów. Montmorency stoczył w pierwszym dniu jedenaście potyczek, a w drugim czternaście, i niezawodnie uważał, że dostał się do raju.

Wśród ludzi fizycznie zbyt słabych lub organicznie za leniwych na to, by znajdowali przyjemność w orce pod prąd, rozpowszechnił się zwyczaj wynajmowania łodzi w Oksfordzie i wiosłowania z nurtem. Ale człowiek pełen energii niewątpliwie woli wycieczkę w górę rzeki. Nie zawsze dobrze jest płynąć z prądem. Więcej zadowolenia można znaleźć naprężając mięśnie na plecach, walcząc z nurtem i torując sobie drogę mimo oporu żywiołu — tak uważam, przynajmniej wtedy, gdy Harris i Jerzy wiosłują, a ja siedzę przy sterze.

Tym, którzy jednak zamierzają z Oksfordu wyruszyć na rzekę, radzę: weźcie własną łódź — jeśli, oczywiście, nie możecie zabrać cudzej bez obawy, że was nakryją. Łódki, które można wynająć na Tamizie powyżej Marlow, bywają bardzo porządne. Są dostatecznie wodoszczelne i rzadko, jeśli się z nimi ostrożnie obchodzić, rozlatują się w kawałki lub idą na dno. Jest tam na czym usiąść i znajdziesz

wszystko lub prawie wszystko, czego ci trzeba, byś mógł obracać wiosłem i sterować.

Tylko nie wyglądają efektownie. Łódka, jaką wynajmujesz na rzece powyżej Marlow, nie należy do kategorii tych, w których można błysnąć elegancją i zadać szyku. Bardzo szybko osadza ona w miejscu wszelkie tego rodzaju zapędy swych chwilowych panów. Oto jej główna, żeby nie powiedzieć —jedyna, zaleta.

Facet, płynący najętą łódką, jest cichy i pokornego serca. Najchętniej trzyma się cienistej strony rzeki i płynie pod osłoną drzew. Przeważającą część drogi odbywa wczesnym rankiem lub późną nocą, kiedy na rzece mało jest ludzi, którzy by mogli go zobaczyć.

Człowiek w wynajętej łódce, ujrzawszy osobę znajomą, wyskakuje na brzeg i chowa się za drzewem.

Pewnego lata z dwoma przyjaciółmi wynająłem łódź na kilkudniową wycieczkę. Żaden z nas nigdy przedtem czegoś podobnego nie widział, a gdyśmy zobaczyli, nie mogliśmy zgadnąć, co to jest.

Napisaliśmy do przedsiębiorcy, żeby zarezerwował dla nas dwójkę ze sternikiem. Gdyśmy przyszli z bagażem do przystani i podaliśmy swoje nazwiska, szef powiedział:

— Aha, wiem. Panowie prosili o dwójkę ze sternikiem. W porządku. Jim, dawaj „Chlubę Tamizy”.

Chłopak oddalił się i po pięciu minutach wrócił, szarpiąc się z jakimś przedpotopowym kawałem drewna, który wyglądał, jakby go dopiero co odkopano, i to bez zachowania elementarnych środków ostrożności, wskutek czego doznał nowych uszkodzeń.

Na widok tej rzeczy pomyślałem zrazu, że to jest jakieś wykopalisko z czasów rzymskich. Co — nie wiedziałem, ale miałem wrażenie, że są to szczątki trumny.

Okolice nad górną Tamizą obfitują w pamiątki po Rzymianach, dlatego mój domysł mógł być trafny. Jednakże pewien poważny młody człowiek, który liznął nieco geologii, wyśmiał mą hipotezę i dodał, że każdy człowiek jako tako

rozgarnięty (młodemu uczonemu bardzo było przykro, ale rzetelność nie pozwalała mu zaliczyć mnie do tej kategorii) od razu pozna, że jest to skamielina wieloryba. Zwrócił nam uwagę na kilka szczegółów świadczących o tym, że wieloryb pochodzi z ery przedlodowcowej.

Aby przeciąć spór, odwołaliśmy się do chłopca z przystani. Powiedzieliśmy mu, żeby nic się nie bał i wyznał szczerą prawdę. Czy to jest skamieniały wieloryb z ery przedlodowcowej, czy trumna wczesnorzymska?

Chłopak odparł, że to jest „Chluba Tamizy”.

Zrazu odpowiedź wydała nam się bardzo dowcipna, któryś z nas dał mu nawet dwa pensy w nagrodę za bystrość umysłu, jaką się popisał. Ale gdy chłopak uczepił się tego kawału i, jak na nasz gust, za długo się go trzymał, gniew nas ogarnął.

— No, no, kawalerze! — ostro wziął go kapitan naszej załogi. — Dosyć błazeństw! Odnieś tę balię mamusi i dawaj łódkę!

Wówczas podszedł do nas sam konstruktor łodzi i dał nam inżynierskie słowo honoru, że to naprawdę jest łódź. Prawdziwa dwójka ze sternikiem, wybrana dla nas na wycieczkę w dół rzeki.

Długo jeszcze psioczyliśmy na nią. Naszym zdaniem mógł przynajmniej pobielić to pudło wapnem lub wysmarować dziegciem. Powinien przecież coś zrobić, żeby można odróżnić naszą łódkę od starego śmiecia. Mistrz uważał jednak, że zrobił wszystko, co do niego należało.

A nawet poczuł się dotknięty naszymi uwagami. Oświadczył, że wybrał nam najlepszą łódź,jaką ma na składzie, i nadmienił, że spodziewał się wdzięczności z naszej strony.

— „Chluba Tamizy” — mówił — jest na chodzie, tak jak tu stoi (powinien powiedzieć: tak jak się trzyma kupy), od dobrych czterdziestu lat, jeśli dobrze pamiętam, i nikt jeszcze się na nią nie poskarżył. Z jakiej racji — zakończył — panowie mieliby być pierwsi?

To nas trochę przekonało.

Wzmocniliśmy tę tak zwaną łódź za pomocą sznurka, znaleźliśmy kawał tapety i zakleili bardziej dziurawe miejsca. Po czym zmówiliśmy pacierz i weszliśmy na pokład „Chluby Tamizy”.

Za wypożyczenie tych szczątków na sześć dni zdarli z nas trzydzieści pięć szylingów, choć mogliśmy to samo, wszystko razem, kupić za cztery i pół szylinga na jakimkolwiek przybrzeżnym targu, na którym sprzedaje się drewno wyłowione z rzeki.

Na trzeci dzień pogoda się zmieniła — uwaga! mówię w tej chwili o naszej obecnej wycieczce. Gdy wyruszaliśmy z Oksfordu w drogę powrotną, gęsty deszczyk na dobre się rozpadał.

Rzeka — kiedy słońce iskrzy się wśród roztańczonych fal i pozłaca szarozielone pnie buków, błyska na ciemnych i chłodnych ścieżkach leśnych, goni cienie po mieliznach, sypie diamenty z kół młyńskich, śle pocałunki liliom, baraszkuje ze spienionymi wodami śluz, srebrzy okryte mchem stare mury i mosty, opromienia maleńkie wioszczyny, zdobi każdą ścieżkę i łąkę, wplątuje się w krzaki, uśmiechnięte wyziera z każdej zatoczki, wesoło połyskuje na dalekim żaglu, przepaja słodyczą powietrze — wtedy rzeka jest złotą bajką.

Ale rzeka — zimna i posępna, gdy deszcz bez ustanku siąpi na jej brunatne i gnuśne wody i łka cicho jak zrozpaczona kobieta w ciemnym pokoju, gdy lasy, nieme i posępne, okrywają się całunem gęstej mgły, a drzewa stoją na brzegu jak widma, w milczeniu patrzące oczami pełnymi wyrzutu, jak widma złych uczynków, jak zjawy przyjaciół opuszczonych w nieszczęściu — taka rzeka jest tylko nawiedzaną przez duchy wodą w krainie próżnych żalów.

Słońce — to krew życia Natury. Matka Ziemia, gdy słońce ją opuści, patrzy na nas oczami pełnymi tępego bólu. Smutno nam wtedy z nią obcować, bo czyni wrażenie, jakby nas nie znała, jakbyśmy stali się jej obojętni. Jest wtedy jak

wdowa, która straciła ukochanego małżonka. Dzieci dotykają matczynej ręki, zaglądają w oczy rodzicielce, lecz ona nie raczy się do nich uśmiechnąć.

Przez cały dzień wiosłowaliśmy na deszczu i bardzo nam było smutno. Z początku udawaliśmy, że nas to bawi. W każdym razie jest to urozmaicenie — mówiliśmy — i chętnie zobaczymy, jak zmienny jest wygląd rzeki. Trudno było oczekiwać, że przez cały czas będziemy mieli słońce. Wcale na to nie liczyliśmy. Przyroda — zapewnialiśmy się — zawsze jest piękna, nawet we łzach.

I rzeczywiście przez kilka godzin Harris i ja byliśmy entuzjastycznie usposobieni. Śpiewaliśmy romans o życiu Cygana. Jakże rozkoszne to życie! Wędruje Cygan wśród burz i w blasku słońca, smaga go każdy wiatr. Kocha deszcz, swego największego dobroczyńcę, i drwi z tych, którzy nie lubią złej pogody.

Jerzy bardziej trzeźwym okiem ocenił sytuację i przylgnął do parasola.

Przed drugim śniadaniem podnieśliśmy budę i siedzieliśmy pod nią przez całe popołudnie. Tylko na dziobie zostawiliśmy niewielki otwór, przez który jeden z nas mógł wiosłować i wyglądać na rzekę. W ten sposób zrobiliśmy dziewięć mil i na noc zatrzymaliśmy się nieco poniżej śluzy w Day.

Byłbym nieszczery, gdybym powiedział, że spędziliśmy wesoły wieczór. Deszcz lał z niewzruszonym uporem. Wszystko w łodzi było mokre i lepkie. Kolacja zupełnie się nie udała. Zimny pasztet cielęcy, gdy nie jesteś głodny, nie chce ci przejść przez gardło. Miałem ochotę na smażoną rybę i kotlet. Harris bąknął coś o rybce pod beszamelem i resztkę swego pasztetu podsunął Montmorency'emu. Spotkał się jednak z odmową. Montmorency, wyraźnie obrażony propozycją Harrisa, wzgardził naszym towarzystwem i usiadł samotnie na drugim końcu łodzi.

Jerzy poprosił, byśmy mówili o czym innym, przynajmniej póki nie upora się z zimną wołowiną, bez musztardy.

Po kolacji graliśmy w durnia. W ciągu półtorej godziny Jerzy wygrał cztery pensy — ma chłopak szczęście do kart! — a Harris i ja przegraliśmy równo po dwa pensy.

Wówczas postanowiliśmy skończyć z hazardem. Jak to określił Harris, gra zbyt daleko posunięta wywołuje niezdrowe podniecenie. Jerzy zaproponował nam rewanż. Nie chcieliśmy jednak przedłużać naszych zapasów z Losem.

Potem przyrządziliśmy grog, siedliśmy w koło i ucięliśmy sobie pogawędkę. Jerzy opowiedział nam o pewnym swoim znajomym, który przed dwoma laty wybrał się w górę rzeki. Facet przespał w mokrej łodzi jedną noc, właśnie taką jak dziś, i nabawił się zapalenia stawów. Nic mu nie pomogło. W dziesięć dni później zmarł w strasznych męczarniach. Był to bardzo jeszcze młody człowiek — zapewniał Jerzy — i właśnie miał się żenić. — To jeden z najbardziej przykrych wypadków jakie znam — oświadczył nam Jerzy na zakończenie.

Ta historia przypomniała Harrisowi przyjaciela, który poszedł do wojska na ochotnika i spędził jedną deszczową noc pod namiotem w obozie Aldershot. — A plucha była taka sama jak dziś — dodał Harris. Na drugi dzień jego przyjaciel obudził się kaleką na całe życie. Harris obiecał przedstawić nas swemu przyjacielowi, jak wrócimy do Londynu. Serca nam będą krwawiły, gdy go ujrzymy.

To oczywiście wywołało miłą pogawędkę o ischiasie, febrze, grypie, zapaleniu płuc i bronchicie. Harris zauważył, że byłaby głupia sytuacja, gdyby jeden z nas ciężko się rozchorował, bo daleko stąd do najbliższego doktora.

Po tej rozmowie nabraliśmy ochoty na coś swawolnego. W chwili słabości zaproponowałem Jerzemu, by sięgnął po banjo i spróbował nam zagrać jakąś melodyjkę.

Na pochwałę Jerzego trzeba powiedzieć, że nie dał się prosić. Nie było głupiego gadania, że nuty zostawił w domu, ani żadnego innego certolenia. Natychmiast wyciągnął instrument i zaczął grać: „Cudne czarne oczy”.

Dotąd zawsze mi się zdawało, że to zwykła, banalna piosenka. Bardzo mnie zdziwiło, że Jerzy odkrył w tej śpiewce bogatą żyłę smutku.

W miarę jak rozbrzmiewały posępne dźwięki, Harrisa i mnie brała coraz większa ochota rzucić się sobie w ramiona i łkać, ale udało nam się powstrzymać łzy w oczach i w milczeniu wysłuchaliśmy do końca rozdzierającego lamentu.

Gdy przyszła pora na refren, podjęliśmy rozpaczliwy wysiłek, żeby się rozweselić. Napełniliśmy szklanki i zawtórowaliśmy Jerzemu. Drżący ze wzruszenia głos Harrisa wysunął się naprzód, a Jerzy i ja podążaliśmy za nim o parę słów w tyle.

Gdy spojrzeniem w krąg potoczysz, Mówią mi twe czarne oczy, Że nie kochasz mnie. Ach, te cud...

Na tym urwaliśmy. Niewymowny żal, z jakim Jerzy zaakompaniował do „Ach!”, tak strasznie nas przygnębił, że musieliśmy się załamać. Harris łkał jak małe dziecko, a pies zaczął wyć tak strasznie i tak długo, że mogło mu pęknąć serce albo szczęka.

Jerzy chciał jeszcze zanucić jedną zwrotkę. Zdawało mu się, że jak się rozśpiewa i rozegra, a interpretację da bardziej swobodną, wrażenie będzie znacznie weselsze. Opinia większości była jednak stanowczo przeciwna dalszym jego twórczym poszukiwaniom.

Nie pozostało nam nic innego jak iść spać. Wyglądało to tak, że zdjęliśmy ubrania i na dnie łódki przez trzy lub” cztery godziny obracaliśmy się z jednego boku na drugi. Potem spaliśmy niespokojnie do świtu. O piątej rano wszyscy wstali i zjedli śniadanie.

Drugi dzień naszej drogi powrotnej niczym się nie różnił od pierwszego. Deszcz lał bez przerwy. Opatuleni w nieprzemakalne płaszcze siedzieliśmy pod namiotem i wolno spływaliśmy w dół rzeki.

Jeden z nas — nie pamiętam już kto, ale zdaje się, że ja — kilka razy spróbował nieśmiało podjąć stary motyw cygański: jesteśmy dziećmi natury i przepadamy za

deszczem. Ale nie chwyciło. Słowa: „Gwiżdżę na deszcz i śmieję się: cha! cha!” tak pasowały do naszych nastrojów, że aż ściskały za gardło, po cóż więc było to śpiewać?

W jednej sprawie zgadzaliśmy się wszyscy: niech się dzieje, co chce — wypijemy ten kielich goryczy aż do samego dna. Wybraliśmy się na wycieczkę, postanowiliśmy zabawić na Tamizie przez dwa tygodnie — i zabawimy. Nawet gdyby przyszło trupem paść! No tak, przykre by to było dla naszych przyjaciół i krewnych, ale nie ma rady. Uważaliśmy, że ulec niepogodzie byłoby w naszym klimacie bardzo niebezpiecznym precedensem.

Jeszcze tylko dwa dni — zachęcał nas Harris. Jesteśmy młodzi i silni. Wytrzymamy do końca. Nic nam nie będzie.

Koło czwartej zaczęliśmy się zastanawiać, co będziemy robić dziś wieczór. Właśnie minęliśmy

Goring. Postanowiliśmy dowiosłować do Pangbourne i tam spędzić noc.

— Jeszcze jeden wesoły wieczór! — mruknął Jerzy.

Rozważaliśmy perspektywy tego wieczoru. W Pangbourne będziemy o piątej. Obiad skończymy, dajmy na to, o pół do siódmej. Potem możemy szwendać się po wsi, na deszczu, aż do kolacji. Albo będziemy siedzieli w źle oświetlonym barze i czytali kalendarz.

— No cóż, w „Alhambrze” byłoby nieco weselej — powiedział Harris, ośmielając się wychylić głowę na zewnątrz, aby spojrzeć na niebo.

— A potem kolacyjka u… — tak mi się jakoś wyrwało.

— Uhm. Trochę szkoda, że dobrowolnie przykuliśmy się do tej łódki — zauważył Harris.

Przez chwilę panowało milczenie.

— Ba! Gdybyśmy nie postanowili czekać na pewną śmierć w tej obmierzłej, pies ją trącał, trumnie — zaczął Jerzy rzucając łódce spojrzenie pełne głębokiej niechęci — to może warto by wspomnieć, że parę minut po piątej odchodzi z Pangbourne pociąg, wiem o tym na pewno, który to pociąg

wysadziłby nas w mieście akurat w porę, żeby zjeść co nieco i pójść do przybytku,o jakim była tu mowa.

Nikt więcej się nie odezwał. Patrzyliśmy po sobie i każdy widział odbicie swych nędznych i występnych myśli na twarzach towarzyszy. Bez słowa wyciągnęliśmy i zapakowaliśmy walizę. Spojrzeliśmy w górę i w dół rzeki — ani żywej duszy!

Dwadzieścia minut później można było ujrzeć, jak trzy postacie, eskortowane przez psa o podejrzanym wyglądzie, skradały się od przystani koło „Łabędzia” ku stacji kolejowej. Osobnicy ci byli ubrani — ani schludnie, ani elegancko — jak następuje:

Czarne buty, brudne; flanelowy kostium wioślarski, bardzo brudny; miękki brązowy kapelusz, sponiewierany; płaszcz nieprzemakalny, zmoczony. Stroju dopełniał parasol.

Oszukaliśmy dozorcę przystani w Pangbourne. Nie mieliśmy czoła przyznać mu się, że uciekamy przed deszczem. Zostawiliśmy łódź wraz z całą jej zawartością pod jego opieką, przykazując mu, by czekał na nas jutro o dziewiątej rano. Gdyby jednak — dodaliśmy — zdarzyło się coś nieprzewidzianego, co by nie pozwoliło nam tu wrócić, napiszemy list.

Na stację Paddington w Londynie przybyliśmy o siódmej i stamtąd pojechaliśmy prosto do wyżej wspomnianej knajpki, gdzie nieco się posililiśmy. Został tam Montmorency i nasze życzenia, co ma być na kolację o pół do jedenastej. I pojechaliśmy dalej, w stronę Leicester Square.

W „Alhambrze” zwróciliśmy na siebie powszechną uwagę. Gdyśmy zjawili się przed okienkiem kasy, kazali nam, i to w grubiańskich słowach, wejść za kulisy od Castel Street, i powiedzieli, że spóźniliśmy się całe pół godziny.

Wytłumaczyliśmy kasjerowi, nie bez trudności, że nie jesteśmy „światowej sławy akrobatami z Himalajów”. Wziął od nas pieniądze i kazał wpuścić na widownię.

Odnieśliśmy tam jeszcze większy sukces. Ze wszystkich stron spojrzenia pełne podziwu witały nasze opalone na brąz

twarze i malownicze stroje. Byliśmy magnesem dla kilkuset par oczu.

Przeżyliśmy wspaniałe chwile.

Po pierwszym balecie wyszliśmy z teatru i wróciliśmy do restauracji, gdzie już czekała kolacja.

Muszę wyznać, że bardzo mi smakowała. Przez dziesięć dni żyliśmy, w zasadzie, tylko zimnym mięsem, plackami i chlebem z dżemem. Był to wikt prosty i pożywny, ale nie miał w sobie nic podniecającego. Aromat burgunda, zapach francuskich sosów, widok czystych serwetek, długich bułek paryskich — wszystko to stukało do bram naszego wnętrza jak najmilszy gość.

Przez jakiś czas w milczeniu rąbaliśmy kolację i popijaliśmy winem. Aż przyszła wreszcie pora, kiedy nie trzeba już było siedzieć sztywno i mocno trzymać nóż i widelec. Oparliśmy się wygodnie o poręcze krzeseł. Już nam się nie spieszyło, zachowywaliśmy się swobodnie. Wyciągnęliśmy nogi pod stołem, serwetki pospadały na podłogę — nikt się nie schylił, by je podnieść. Dopiero teraz mieliśmy dość czasu, by krytycznym okiem spojrzeć na zadymiony sufit. Kieliszki zostawiliśmy na stole, w zasięgu naszych dłoni. Czuliśmy się dobrze. Byliśmy zamyśleni i pobłażliwi.

Harris, który siedział najbliżej okna, odsunął zasłonę i wyjrzał na ulicę.

Wilgotna jezdnia połyskiwała w mroku, mrugało mętne światło latarń kołysanych przez wiatr, deszcz bez przerwy pluskał w kałużach, woda ciekła z rynien i spływała wezbranymi rynsztokami. Nieliczni, zmokli przechodnie śpieszyli zgarbieni pod ociekającymi wodą parasolami. Kobiety zadzierały spódnice.

— No tak — powiedział Harris sięgając po kieliszek. — Zrobiliśmy piękną wycieczkę. Serdeczne za to dzięki Matce Tamizie. Sądzę też, że czas był ostatni się z nią pożegnać. Piję za zdrowie trzech przyjaciół, którzy uszli z łodzi cało i zdrowo. A Montmorency stanął na tylnych łapach przy oknie,

wyjrzał w noc i szczeknął krótko na znak, że solidaryzuje się z toastem.

Spis treści

ROZDZIAŁ PIERWSZY
ROZDZIAŁ DRUGI
ROZDZIAŁ TRZECI
ROZDZIAŁ CZWARTY
ROZDZIAŁ PIĄTY
ROZDZIAŁ SZÓSTY
ROZDZIAŁ SIÓDMY
ROZDZIAŁ ÓSMY
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY
ROZDZIAŁ JEDENASTY
ROZDZIAŁ DWUNASTY
ROZDZIAŁ TRZYNASTY
ROZDZIAŁ CZTERNASTY
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY
ROZDZIAŁ SZESNASTY
ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY
ROZDZIAŁ OSIEMNASTY
ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY